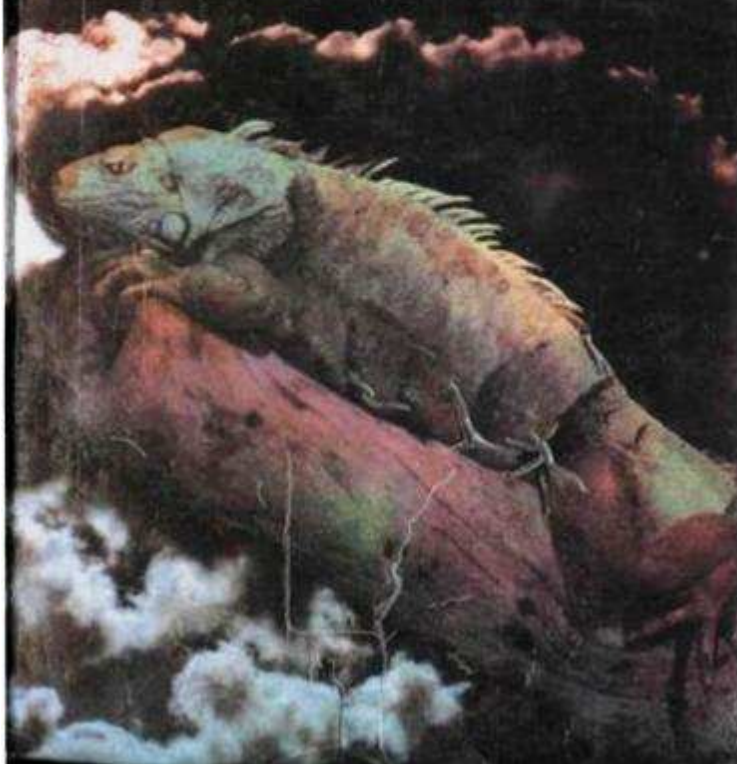


**MICHAEL GUY**

**OPERACJA**

**ZŁOTE RUNO**



**MICHAEL GUY**

**OPERACJA**

# **ZŁOTE RUNO**

Wszystkie tropy wiodą do jednej osoby, do człowieka kierującego potężnym Syndykatem Zbrodni. Felipe Carreno jest bezwzględny i okrutny. Na jego rozkaz giną ludzie, miliardowe sumy zmieniają właścicieli... On sam jednak pozostaje nieuchwytny.

Międzynarodowa Agencja do Walki z Kokainą podejmuje wyzwanie.

W egzotycznej scenerii, w mrocznych zaułkach Santa Marta, wśród pięknych kobiet, w skwarze tropikalnego słońca toczy się pasjonująca rozgrywka, w której stawką są wielkie pieniądze, życie i śmierć.



MICHAEL GUY  
OPERACJA  
ZŁOTE  
RUNO



Tytuł oryginału: *Operation „Golden fleece”*

Projekt okładki:

*Maciej Sodowski*

Redaktor prowadzący:

*Taida Załuska-Szopa*

Redaktor:

*Elżbieta Nowicka*

Redaktor techniczny:

*Andrzej Tyczyński*

© Copyright for the Polish edition by „Orbita”,

Warszawa 1993

ISBN 83-7034-086-5

# I

Wczesnym popołudniem ruch w alei Francisco de Miranda był już duży. Samochody sunęły powoli, a policjanci na skrzyżowaniach mieli pełne ręce roboty. Na chodnikach też było tłoczno. Inspektor Lefranc, zdążając w kierunku hotelu „Astoria”, rozglądał się bacznie, czy ktoś go nie śledzi. Przystawał więc zniecierpliwiony przy wystawach, zatrzymywał się przy słupach ogłoszeniowych i obserwował ludzi. Nikt jednak nie wzbudził jego podejrzeń.

Na podjeździe okazałego hotelu panował ożywiony ruch. Służba podstawiała wozy gości, wnoszono i wynoszono walizki, odprowadzano na parking podjeżdżające właśnie samochody. Gdy Lefranc znalazł się na początku podjazdu, ustawiono akurat piaskowego forda taunusa. Boy zatrzęsął drzwiami i wszedł do budynku. W chwilę później z hotelu wyszedł wysoki mężczyzna w kwiecistej koszuli i szerokim kapeluszu. Oczy miał osłonięte ciemnymi okularami. Zamierzał właśnie otworzyć drzwi wozu, gdy z boku nadjechał motocykl. Prowadzący go pochylił się nisko nad kierownicą, a pasażer uniósł pistolet maszynowy. Gruchnęła seria wystrzałów. Mężczyzna osunął się na chodnik. Wokół niego szybko zaczęła się rozszerzać kałuża krwi, motocykl zaś gwałtownie zawrócił i wypadł na ulicę. Inspektor Lefranc zdołał tylko dostrzec wykrzywioną twarz strzelca i ciemny kask kierowcy. Po chwili motocykl zniknął w sznurze pojazdów.

Na podjeździe zrobiło się zamieszanie. Portierzy, przypadkowi przechodnie i hotelowy detektyw podbiegli do leżącego mężczyzny. Krzyczano, aby się odsunąć, ale tłum gapiów rósł. Lefranc przecisnął się trochę bliżej i spojrzał na nieruchome ciało. Rzut oka wystarczył: inspektor przekonał się, że nie był to Felipe Carreno, chociaż zabity był bardzo do niego podobny. Do spotkania więc nie dojdzie. Niepotrzebnie przepłacił za informację, gdzie można było go spotkać.

Tymczasem zawyły syreny i pod hotel podjechały dwa migające światłami wozy policyjne. Policjanci szybko usunęli gapiów. Błyskał flesz fotografa, obmacywano kieszenie zabitego, wezwano ludzi z recepcji. Policjanci byli sprawni i obojętni. Jeszcze jeden trup... Nie nowina w tym portowym mieście. Santa Maria leży na szlaku wędrówki białego proszku. Bywało, że pijani marynarze dźgali się nożami, a strzały rozlegały się nie tylko w portowych spelunkach, ale i w eleganckich dzielnicach. Lefranc pogapił się jeszcze chwilę - kto by ominął takie wydarzenie? - i ruszył wolno ulicą. A więc usiłowano zabić Felipe Carreno, a on się wywinął. Przeczuwał? Wiedział? Czy nadzieja na spotkanie została przekreślona? W każdym razie teraz będzie znacznie trudniej o kontakt. Ścigani stają się zwykle bardziej ostrożni. Lefranc usiłował wymyślić plan dalszego działania. Carreno zapewne ma przyjaciół, zna różne meliny, więc zaszyje się gdzieś. Chociaż... Tego człowieka ściga własna organizacja, musi więc postępować nietypowo. Gdzie więc uskoczy z hotelu „Astoria”? Kto może orientować się w jego sytuacji? Kobieta, z którą jest związany? Gdzie jej szukać?

Zły na siebie - bo nic mądrego nie przychodziło mu do głowy - powędrował do portu. W przystani jachtowej cumował

do długiego pomostu trochę już sfatygowany jacht o dumnej nazwie - „Zew oceanów”. W cieniu nadbudówki siedział jakiś człowiek w spodenkach kąpielowych; sprawiał wrażenie znużonego turysty. Ale inspektor wiedział, że obok tego żeglarza znajduje się doskonale zamaskowany, choć łatwo dostępny schowek z bronią.

- Cześć, George. Gdzie Jean?
- Pitrasi żarcie. Jakoś szybko wracasz. Załatwione?
- Jego ochroniarz nadział się na pistolet maszynowy. Przypuszczam, że Felipe odskoczył dość daleko.
- Do diabła! A więc dał gdzieś nogę.
- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Teraz zapewne będzie bardziej chętny do rozmów.
- Ba, ale jak go odszukać?
- Nadaj telegram do bazy.
- Robi się, szefie.

„Do szefa operacji «Złote runo».

Ogłaszam polowanie na Felipe Carreno. Straciliśmy go z oczu. Potrzebujemy informacji o jego przeszłości i współnikach.

Leon”.

Gromadka hipisów przyplłynęła statkiem na kolumbijski brzeg z Kingston. Odróżniali się od pozostałych pasażerów pstrokacizną strojów, długimi włosami. Grali na gitarach. Niektórzy z nich wodzili po otoczeniu szklanym wzrokiem. Podczas odprawy paszportowo-celnej funkcjonariusze patrzyli na hipisów podejrzliwie, lecz się ich nie czepiali. Przejrzeli tylko uważnie paszporty, wbili odpowiednie stemple i pozwolili im opuścić statek. Hipisi ruszyli niskim, ruchliwym, mocno

zarośniętym brzegiem ku miastu. Minęli stare zaułki, przeszli szeroką, pełną hoteli ulicą i wydostali się na pagórki po wschodniej stronie Santa Maria. Na skraju sporej łąki, tuż przy zaroślach, stała stara opuszczona szopa. Poczuli się jej gospodarzami: naznosili suszu, rozpalili ognisko i zabrali się za przygotowanie stawy. Jedni gotowali w kociołkach zupę, inni piekli kawałki mięsa i podgrzewali konserwy. Paru, ułożywszy się na trawie, ucięło sobie drzemkę.

Podczas tej podróży Kuba trzymał się Allana i jego przyjaciółki Pauli. Rozpalili ognisko i wzięli się do roboty. Kuba pomagał kroić jarzyny, Paula mieszała w kociołku, Allan zaś podsycał ogień i usiłował ułożyć nowy song o tęsknocie i wiecznej wędrówce. A późnym popołudniem hipisi, grupkami, ruszyli do miasta. Allan i Paula również się wybrali. Dołączył do nich Kuba. W pobliżu wejścia do portu rozdzielili się: Paula i Allan postanowili zrobić zakupy, Kuba zaś powiedział, że musi podłapać w porcie parę groszy. Zamierzał sprzedać swe rzeźbione w drzewie figurki. Miał ich jeszcze kilka. Pokręcił się więc zrazu przy statkach, a potem poszedł na przystań jachtową. Udało mu się dwa razy dobić szczęśliwie targu. Wreszcie podszedł do „Zewu oceanów”. Nudzący się mężczyzna krzyknął do niego z pokładu:

- Co tam masz, chłopie?
- Świętych, proszę pana.
- Jeśli katoliccy, to wskakuj.
- Innych nie robię.

Gdy Kuba, znalazłszy się na pokładzie, pokazywał żeglarzowi figurki, ten powiedział półgłosem:

- Dobrze się maskujesz, przyjacielu.
- Nabrałem już wprawy. Co słyhać?



- Niezbyt dobrze. Na tego faceta akurat polują. Czy malarz jest już na miejscu?

- Powinien się zjawić. Co mamy robić?

- Ulica Targowa, antykwariat. Facet nazywa się Alfonso Goias. Obstawcie budę i jego.

- Kontakt?

- W razie alarmu - tu, a jeśli spokój - w tawernie „Pod wesołym delfinem”.

- W porządku. A teraz płac za figurkę i znikam.

Niedługo po odejściu Kuby na pokładzie jachtu pojawił się George.

- Jest radiogram, wodzu.

- Dawaj.

„Do Leona

Dokładniejsze dane prześlemy w wieczornym seansie, nie spodziewajcie się jednak zbyt wiele. Za wszelką cenę podjąć trop. To wyścig o głowę Felipe.

Szef operacji «Złote runo»”.

- Durnie! Barany! Gnoje!

- Panie Pasco...

- Stul pysk, śmierzdielu! Trzeba was posłać w interior kozy pasać, to nie dla was ta robota! Gdzie mieliście oczy, psie syny?!

- Przysięgam na Boga i Najświętszą Panienkę, że był całym jak tamten na fotografii.

- Pewnie się oglądałeś pod tym hotelem za kurwami, ty knurze! Dupę miałeś w głowie, a nie robotę! Podobny... Toć gapileś się w zdjęcie jak sęp w ściervo - i co? Nie poznałeś!

- Taki sam wygląd, kapelusz, okulary...  
- Różniście w portki, wy skunksy! Baliście się podejść bliżej i zajrzeć w ślepie!

- Tłok...

- Ty gnoju! Za ciasno ci było? Właśnie w tłoku można podejść bezpiecznie.

- Zmylił nas.

Tłumaczyli się z coraz mniejszym przekonaniem, że wyjdą z tej historii cało. Augustino Pasco już na samym początku „rozmowy” sprzął ich po pyskach, jeszcze nim powiedział pierwsze słowo. Dopiero potem zaczął wymyślać.

- Że też wasze matki urodziły takich kretyńców! Po co was nosi ta święta ziemia? Powinny was ryby ogryzać!

- Myśleliśmy, proszę pana...

- Trzeba było nie myśleć, tylko robić! Powtórz, jaki dostałeś rozkaz, ty durniu!

- Stanąć koło hotelu i czekać. Gdy obiekt wyjdzie i będzie wsiadał do samochodu, wtedy podjechać i...

- I co, ty synu osła i mulicy?

- Zlikwidować.

- A wyście co zrobili, osły nieszczęsne? Rąbnęliście zupełnie innego faceta!

- Tak jakoś wyszło, proszę pana.

Pasco nie mógł powstrzymać wybuchu wściekłości i rzucił się na niefortunnych podwładnych z pięściami. Nie śmieli się poruszyć, więc krew z rozkwaszonych nosów kapała im na koszule. Marzyli, aby skończyło się tylko na biciu. Już przywykli... Augustino Pasco znany był z tego, iż rządził podległym personelem właśnie przy pomocy pięści. A dziś miał szczególne powody do złości, gdyż był już po bardzo nieprzyjemnej rozmowie z szefem. Wezwał go bowiem sam Jose Predrera, pełnomocnik Syndykatu w Santa Maria - bazie wysyłki z Kolumbii

kokainy - i zarzucił mu nieudolność w przeprowadzeniu tak ważnej akcji. Zadał mu pytanie, które przyprawiło Pasco o paroksyzm strachu: „Powiedz mi, kochany Augustino, dlaczego Felipe Carreno nie wyszedł sam do samochodu, lecz wysłał ucharakteryzowanego goryla? Czyżby miał przecucie? Jaki wyciągasz z tego wnioski?” „Czegoś się zapewne obawiał, szefie” - odparł Augustino. „Obawiał? Tylko obawiał? Nie, on wiedział!” Nie zadawał mu już więcej żadnych pytań - to jedno wystarczyło. Nie daj Boże, aby szef doszedł do wniosku, iż podwładny przestał być użyteczny. I Augustino znów wściekł się na tych dwóch kretynów.

- Bodaj was piekło pochłonęło! Kto dał sygnał do akcji?!
- Gonzales.
- Ty durniu! Mrówki ci rozum zjadły, czy jak?!
- On też gadał, że to nasz obiekt.
- Już ja was urządzę! Popamiętajcie mnie! Precz mi z oczu!
- Tak jest, panie...

Zginając się w pokornych ukłonach, cofali się w stronę drzwi. Pasco był wściekły, ale nie tylko na nich. Sam doskonale wiedział z operacyjnej praktyki, że takie pomyłki są możliwe. Powinien zdublować wykonawców, zwrócić uwagę na inne wyjścia z hotelu. A on trzymał się tylko jednego scenariusza. Gdy Carreno zażądał rachunku i podstawienia wozu, uznał, iż najlepiej będzie zabić go na podjeździe.

Pasco niepokoił się również tym, że coś zgrzytnęło w sprawnym dotychczas mechanizmie Syndykatu. Nie znał, oczywiście, wszystkich bonzów, ale się orientował, iż Felipe Carreno jest ważną osobistością. I taki facet idzie raptem na odstrzał? I co może wyniknąć z tej pomyłki pod „Astorią”? Walka wewnątrz? Felipe ma zapewne swoje zaplecze, ludzi i meliny.

Gdy walka rozpali się na dobre, komuś może przyjść do głowy pomysł, aby ukarać winnego pierwszej porażki. Teraz mogli wyjść z opresji, gdyby dostali Carreno. Ale jak go wytropić?

Dzień był męczący. Komisarz Vincente Ruiz, szef policji w Santa Maria, klął jak pijany furman. Co za afera! Jakiś człowiek - po sprawdzeniu okazało się, że mieszkał w hotelu dwa dni - wyszedł do swego auta i dostał serię z pistoletu maszynowego. Sprawcy zbiegli. Wozy policyjne pokreśliły się po mieście, lecz nie natrafiono na ślad zamachowców. Nazwisko zabitego nic nikomu nie mówiło. I nie znaleziono żadnych informacji o ewentualnej rodzinie. Motyw rabunkowy należało wykluczyć, nic mu bowiem nie zabrano. Zemsta? Czyja? Za co?

Ruiz popędził podwładnych na poszukiwania. Grzmiał na cały budynek, że mają sprawdzić minuta po minucie, całe czterdzieści osiem godzin pobytu tego faceta w mieście: ile razy się wysikał, z kim rozmawiał, gdzie kupował papierosy. „Wszystko! Natychmiast! Nie wracać bez informacji!” - ryczał.

Pod koniec dnia komisarz pojechał do „Esplanady”, błyszczącego kolorowymi światłami kasyna. Wokół otoczonego bujną zielenią budynku stało już sporo aut. Bywanie tu należało do dobrego tonu. Grano ostrożnie - większe stawki były domeną narwanych przybyszów - tańczono, trochę pito. Załatwiano interesy. I plotkowano. Pilnie obserwowano, kto z kim przestaje. Tu też kreowano gwiazdy sezonu.

Komisarz szedł powoli szerokimi schodami. Portierzy kłaniali mu się uniżenie - przez tę chwilę czuł się kimś ważnym? Wszedł do sali restauracyjnej. Przy niektórych

stolikach siedzieli już goście. Pod jedną ze ścian znajdował się długi bar, naprzeciw niewielka estrada. Ruiz poszedł do baru. Gdy ulokował się na wysokim stołku, barman podał mu pudełko cygar.

- Pan komisarz pozwoli. Świeży transport.
- Dziękuję, Oskarze.
- Podać to, co zwykle?
- Dziś daj mi podwójną z lodem.

Cygaro dobrze usposabiało komisarza. Lubił tak siedzieć, popijając wolno szkocką, i zerkać na eleganckich ludzi. Gdy tylko zaczął tu bywać, niejednokrotnie zżerała go zazdrość. Oto ludzie z forszą, których stać na wszystko, a tymczasem on może sobie pozwolić tylko na jedną szklaneczkę. Wpuszczają go zaś tylko dlatego, że jest policjantem i powinien mieć ten lokal pod szczególną opieką.

- Jak dziś idzie gra, Oskarze?
- Groszowe stawki, panie komisarzu.
- Nikt więc nie rozbije banku.
- Na to wygląda, panie komisarzu.

Oskar był powściągliwy w rozmowie, lecz od czasu do czasu udzielał komisarzowi informacji - i dlatego ten go cenił.

- Słyszałeś, Oskarze, co zdarzyło się pod „Astorią”?
- Podobno kogoś zabito. Czy to prawda?
- Spójrz na tę fotografię.
- Nie znam faceta.
- Nie bywał tu? A może był tu wczoraj lub przedwczoraj?
- Wykluczone, panie komisarzu.

Niektórzy goście przechodzili do dalszych sal, gdzie grano, inni zajmowali miejsca przy stolikach. Przy barze przybywało ludzi. Komisarz pociągnął łyk. Tymczasem przy drzwiach zrobiło się jakieś zamieszanie. Portier zgiął się w ukłon, kelnerzy

usuwali się na boki - do kasyna wkroczyła sama Vera La Pampa. Ubrana młodzieżowo, hojnie obnażała swe wdzięki. Przepłynęła przez salę - takie właśnie robiła wrażenie - i zatrzymała się obok komisarza.

- Witam nasza najpiękniejszą.
- Pan jak zwykle łaskawy.
- Jestem tylko prawdomówny, panno Vero.
- Tyle tu pięknych kobiet...
- Nie umywają się do pani, panno Vero. Wprawdzie obwieszają się świecidełkami, lecz i tak nie dorównują pani urodą.
- Pan jest złośliwy, panie komisarzu.

Patrzył na nią pożądliwie - burzyła się w nim krew. W myślach zdzierał z niej skąpą sukienkę, kryjącą zgrabną, niemal dziewczęcą figurę, jędrne piersi i zgrabne nogi. Ciągle nie mógł się dowiedzieć, z kim Vera La Pampa sypia. Występuje w „Esplanadzie”, śpiewa, otaczają ją mężczyźni, otrzymuje podarki, nie mówiąc o kwiatkach, lecz wydaje się, że nikogo nie wyróżnia. Wieczorami odwozi ją do domu kierowca z kasyna. A może ona się tylko wspaniale maskuje? Parę razy komisarz widział, jak wpatruje się w Verę Jose Predrera, ten najbardziej tajemniczy i najbardziej niebezpieczny człowiek w mieście. Powszechnie uważano go za bogatego handlowca, komisarz znał jednak jego prawdziwe oblicze. Zaufany, pełnomocny człowiek Syndykatu. Ważny. Wpływowy. Nie mógł się jednak do niego przyczepić - nigdy nawet nie zapłacił mandatu za złe parkowanie. Komisarz wołał zresztą z daleka omijać tego człowieka.

- Pa, komisarzu, na mnie już czas.
- Teraz zamieniam się w słuch.
- Dziś zaśpiewam tylko dla pana.
- Pani jest niezwykle wspaniałomyślna. Będę szczęśliwy...

„Astoria” tętniła życiem prawie przez cały dzień. Jean pokręcił się trochę po hallu, nim wziął się do roboty. Musiał działać ostrożnie. Syndykat ma tu na pewno swoich ludzi, niechętnych konkurencji. Przepytawał wszystkich wytrwale. Sprzedawca gazet coś sobie przypomniał. Człowiek ze stoiska filatelistycznego - nie. Najbardziej jednak pomogła mu windziarka. Zdziwiła się, że policja pyta ją znów o to samo - a Jean nie próbował niczego tłumaczyć. Powiedziała, że parę razy widziała tego człowieka. Był sam? Nie, zawsze w męskim towarzystwie. Mieszkał na trzecim piętrze. Czy wtedy, gdy strzelano przed wejściem, też go widziała? Nie. Jest tego pewna. Potem Jean zagadnęła pokojową z trzeciego piętra. Ta znów powtórzyła poprzednie zeznania, ale stosowny banknot pozbawił ją skrupułów. Pamiętała tego człowieka. Mieszkał w hotelu chyba trzy dni. Wychodził rzadko, a odwiedzali go tylko sąsiedzi. W dwóch pokojach obok mieszkali młodzi ludzie. Czy któryś był do niego podobny? Owszem, ten zabity. Czyżby? Skąd to wie? Przecież wszyscy zbiegli się, usłyszawszy strzały, a policjanci pokazywali zdjęcia.

- A co robili wtedy ci dwaj?
- Opuścili hotel.
- Razem?
- Proszę pana, na tym piętrze codziennie zmieniają się goście. Czy można wszystkich zapamiętać?
- Więc nie widziała ich pani?
- Nie mam pojęcia, kiedy wyszli. Było takie zamieszanie...
- Jeśli nie wyszli głównym wejściem, to którą?
- Służbową windą lub schodami.
- Rozumiem, zniknęli bez śladu.
- Zostało tylko trochę rzeczy. Zostawił je ten ze zdjęcia, pan Scipio Gonzales.

Ślad urywał się na schodach dla personelu. Jean zszedł nimi na podjazd. Przepytał kręcących się tam ludzi, ale nikt nie rozpoznał człowieka ze zdjęcia - jakby zapadł się pod ziemię, zdematerializował się po przekroczeniu progu hotelu. Również żaden z taksówkarzy zgromadzonych dosyć licznie na pobliskim postoju nie umiał powiedzieć nic konkretnego.

Trzeba się wycofać, zwłaszcza że w recepcji kręcili się ludzie z policji - nie miał co do tego wątpliwości, chlubił się bowiem tym, iż bezbłędnie rozpoznawał glińiarzy. Nawet wytrawnych, a co dopiero prowincjonalnych. Gdy się jednak oddalił trochę od hotelu, zorientował się, iż jest śledzony. Młodzieniec w kwiecistej, modnej koszuli kilka razy zatrzymywał się przed oknami wystawowymi, zwalniał kroku, przystawał. Trzeba się było go pozbyć. Dochodząc do przystanku autobusowego, Jean skręcił błyskawicznie i dopadł ruszającego wozu. Przecisnął się do środka, wywołując kąśliwe uwagi pasażerów. Młodzieniec zakręcił się w miejscu, lecz nie był już w stanie niczego zrobić. Machał tylko gwałtownie ręką, usiłując zatrzymać taksówkę. Jean zaś przejechał jeden przystanek i wyskoczył z autobusu. Ukrył się w jakiejś bramie, rozglądając się wokół. Wydawało mu się, że tamten upolował taksówkę i teraz goni autobus. Dom miał wyjście na sąsiednią ulicę i Jean dotarł szczęśliwie do portu. To była akurat pora, kiedy miał iść do tawerny „Pod wesołym delfinem”, znanej w portowym świątku. W paru jej salkach kłębił się tłum marynarzy różnych bander, rybaków i lumpów, usiłujących zdobyć łatwy grosz, albo chociaż wypić na cudzy koszt piwo. Można było usłyszeć tu najbardziej nieprawdopodobne opowieści z czterech stron świata, dowiedzieć się, gdzie najlepiej robić interesy, zamustrować się na statek, kupić ryby z połowu albo też oberwać za nieopatrne słowo.



Jean przepchał się do bocznej salki, gdzie gwar był jakby mniejszy. Było tu trochę luźniej. Od razu też spostrzegł przyjaciół. Obsiedli stolik i popijali piwo. Jean zerknął na boki i szeroko się uśmiechając, zawołał:

- A wy tu skąd, włóczęgi?!
- Witaj, stary przyjacielu!
- Można się przysiąść?
- Naturalnie. Siadaj i opowiadaj, gdzieś bywał.
- Długo by gadać. W gardle mi zaschło, język mam jak wiór.
- To łyknij piwa.

Pokleпали się po ramionach, a każdy postronny obserwator - którego obecności nigdy wykluczyć nie można - musiał dojść do wniosku, iż jest to rzeczywiście spotkanie starych znajomych. „Pod wesołym delfinem” krzyżowało się wiele dróg i spotykało wielu druhów. Gdy jednak Jean już usiadł i łyknął piwa, Lefranc spytał niecierpliwie:

- Dlaczego się spóźniasz?
- Musiałem się pozbyć ogona.
- Jesteś pewny, że odpadł? Miałby nas jak na widelcu.
- To jakiś początkujący gówniarz. Zgubiłem go, na pewno.
- I co ustaliłeś?
- Nasz przyjaciel jednak był w „Astorii”. Wystawił swego goryla, a sam z jeszcze jednym prysnął.
- W takim razie musiał wiedzieć, co się święci.
- Zapewne.

Kuba i malarz Vincente na razie wtrącali się do rozmowy, Lefranc zresztą obrócił się zaraz ku nim.

- A co u was, chłopcy?
- Nic szczególnego. Na oko, przychodzą tam sami zwyczajni klienci. Taka obserwacja nic nie daje.

- A właściciel?  
- Ten staruszek siedział, siedział, a potem zamknął budę i podreptał do domu. Po drodze zrobił zupełnie zwyczajne zakupy.

- Trudno go cały czas obstawiać.  
- Najlepiej będzie założyć pluskwę. Jeśli przychodzą do niego faceci z wiadomościami, to na pewno ich namierzemy.

- To jest myśl, chłopaki! Różnijcie dokładniej teren.

- Zrobi się.

Tu mogli rozmawiać dosyć swobodnie, gdyż gwar był taki, że żadne ich słowo nie mogło być słyszane. Lefranc obserwował tylko, czy ktoś się za bardzo do nich nie zbliża.

- Teraz posłuchajcie, gdyż wszyscy powinniśmy być jednako zorientowani.

- Mniej więcej wiemy, w czym rzecz.

- Raczej mniej niż więcej. A więc: o Syndykacie monopolizującym w Kolumbii handel kokainą - wiecie. Ale... Otóż jeden z wysoko postawionych funkcjonariuszy Syndykatu, Felipe Carreno, uznał, że trzeba się wycofać. Podobno są po temu powody. Do centrali w Nowym Jorku dotarł sygnał, a nam właśnie polecono to sprawdzić. Dostaliśmy też zadanie zdobycia niektórych dokumentów Syndykatu, w czym może być pomocny właśnie ten Carreno. Planowano to jako swoisty test wiarygodności. Jako punkt ewentualnej informacji wskazano antykwariat prowadzony przez człowieka o nazwisku Alfonso Goias. On właśnie sprzedał informację, że Carreno zjawił się w mieście i zatrzymał się w hotelu „Astoria”. Tu jednak zrobiono na niego zamach.

- Czyli Syndykat go rozszyfrował.

- Na to wychodzi. Czymś się gdzieś zdradził. Albo był przeciek z jego otoczenia.

- Ale wykonał odskok.

- Tak jest. Wykonał odskok i zniknął. Jak go teraz odszukać? Gdy wyjedzie gdzieś dalej, część naszej misji będzie skończona.

- A te dokumenty?

- Na razie nie mamy pomysłu, jak do nich dotrzeć.

- Musimy więc delikatnie grzebać w tym gównie.

- Trafnie to ująłeś, Kuba. Tak właśnie jest.

Umilkli. Pociągali piwo, częstując się papierosami. Mieli o czym myśleć. Wszyscy na ochotnika wstąpili do Międzynarodowej Agencji do Walki z Kokainą. Byli starannie dobierani. Wiedzieli, że zadanie jest trudne, a teraz właśnie piętrzyły się dalsze komplikacje.

- W takim razie trzymajmy się na razie antykwariatu.

- A może pogrzebać głębiej w życiu Felipe Carreno? Może w jego przeszłości kryje się jakaś wskazówka?

- Prosiłiśmy centralę o informacje i czekamy na odpowiedź.

- Cholernie twardy orzech do zgryzienia.

- Z antykwariatem trzeba ostrożnie, chłopcy. Ten staruszek tylko tak niepozornie wygląda, ale w gruncie rzeczy to chytra sztuka.

- Bardzo chciałbym dorwać się do tych papierów.

Kasyno było czynne do późnej nocy. Eleganckie towarzystwo schodziło się dopiero po dziesiątej. Mniej więcej o tej właśnie porze na podjeździe przed hotelem zatrzymał się czarny mercedes, a za nim masywny porsche. Kierowca mercedesa wyskoczył i otworzył tylne drzwi. Z wozu wysiadł szczupły

mężczyzna w białym letnim garniturze. Ruszył wolno schodami, a za nim szło dwóch ochroniarzy z, drugiego samochodu. Wyszamerowani portierzy gięli się w niskich ukłonach. Tego goście znali tu wszyscy. Był nim sam Jose Predrera. Szedł sztywno, ledwie zauważając ludzi. Tylko niektórym racył skinię głową lub rzucić przelotne spojrzenie. W barze barman, nie czekając na zamówienie, podał mu koktajl. Jose wspiął się na wysoki stółek i powiódł wzrokiem po sali. Była prawie pełna. Dyskretne oświetlenie, cichy gwar rozmów, bezszelestne kroki kelnerów, dźwięk sztućców, światła załamujące się w brylantach. Prawie słyszało się miły uchu szelest pieniędzy.

Predrera, oczywiście, nie pozostał niezauważony. Ledwie ujął szklanke, gdy pojawił się szef kasyna, zawsze elegancki, niemal wytworny Paulo Comez. Barmani i ochroniarze wiedzieli, że wtedy trzeba trzymać się nieco dalej. Ci dwaj zawsze mieli z sobą do pogadania. Paulo przyjrzał się bacznie szefowi. Umiał czytać nawet w tej nieprzeniknionej twarzy.

- Czy widziałeś już mój balet? Nie? Żałuj. Mówię ci, dziewczyny pierwsza klasa. Nogi zadzierają wyżej głów.

- Już je próbowałeś?

- Na razie tylko jedną, szefie.

- I tak samo dobra jak w tańcu?

- Jeszcze lepsza! Zwija się jak wąż.

- Paulo, zgubią cię te baby.

- Nie, przecież z żadną z nich nie wiązę się na dłużej.

- Paulo, powiedz mi, z kim ostatnio sypiał Carreno?

- Felipe? Miał taką jedną modelkę.

- Wiem. Ale z kim jeszcze?

- On nie skakał z kwiatka na kwiatek, szedł raczej równo: pół roku - i zmiana.

- A żona?

- To stara historia, Jose. Ona wyjechała do Pasto i nigdzie się nie pokazuje.

- Jak się rozeszli?

- W wielkim gniewie. On miał wtedy jakąś aktoreczkę, a ona była piekielnie zazdrosna. Felipe musiał wybulić jej spory grosz. À propos... Słyszałem, że coś nie wyszło?

- Pasco spaprał robotę. Wysłał dwóch gówniarzy, a oni nie rozpoznali obiektu.

- Kogoś jednak załatwili.

- Goryla Carreno. Ten skurwiel kazał mu się ubrać tak, jak się sam nosi, i nasi go podziurawili. A Felipe prysnął.

- To ci pech...

- To gorzej niż pech, Paulo.

Oczywiście nawet taki znany człowiek jak Comez nie powinien znać prawdziwego powodu rozdrażnienia szefa. A sprawa była poważna. Likwidację tego człowieka zleciła „góra” Syndykatu. Predrera specjalnie w tym celu jeździł do Medelin.

- Ty, Jose, jesteś za to odpowiedzialny. To poufna informacja: Carreno szykuje zdradę, wacha się z Amerykanami. Plan jest prosty: wycofać się z interesu, sprzedać im rozmaite wiadomości - a facet wie bardzo dużo - Amerykanie zaś umożliwią mu zmianę skóry, ukrycie się. Ale ktoś taki jak Carreno nie może tak zwyczajnie wstać od stołu i po prostu wycofać się z gry.

- Coś mi świta, szefie.

- Słucham.

- Kobieta... Młoda kobieta. Była chyba sekretarką w jakimś przedsiębiorstwie handlowym.

- I co dalej?
  - Mieli dziecko. Felipe był wtedy żonaty, więc ona wychowywała dziecko sama. Potem chyba gdzieś wyjechała. Ale nie jestem pewny...
  - Zwyczajna przygoda. Ona ma nie tylko tego bękarta.
  - To nie tak. Teraz sobie przypominam, że Felipe opowiadał o tym dziecku - że zdrowo się chowa, że takie inteligentne.
  - Był zadowolony?
  - Bardzo. Mówił, że chyba wdało się w ojca.
  - Kobieta i dziecko, powiadasz?
- Paulo widział, że zainteresował szefa, gdyż ten odstawił kieliszek i zeskoczył ze stolka.
- Bywaj, Paulo.
  - Do zobaczenia, szefie...

Na przedmieściu Santa Maria, w małym pałacyku pamiętającym czasy rozkwitu hiszpańskiego panowania, ulokowało się Muzeum Ziemi. Zbierano tu eksponaty z całej Kolumbii - od Andów po Morze Karaibskie i Orinoko. Zwiedzających było mało, pałacyk leżał zresztą na uboczu, a dojechać doń można było tylko przez kilka wąskich, krętych uliczek, więc nie wszyscy tam zbaczali, mimo wzmianki o muzeum w przewodnikach. Oprócz głównego wejścia przez taras, było też wejście od zaplecza. Na ciężkich drzwiach widniała tabliczka: „Magazyn”. W kantorku zawsze siedziało - beczynnienie - dwóch ludzi. Zazwyczaj palili cienkie cygara i popijali soki. Za ich plecami znajdowały się drzwi prowadzące do pokoju z kilkoma szafami pancernymi. Tam właśnie urzędował Frederico Cazalla. Samotny wdowiec, weteran roboty operacyjnej w Syndykacie, człowiek

dość długo włóczący się po świecie, znalazł tu wreszcie upragniony spokój. Po zakończeniu pracy, a przesiadywał w tej opancerzonej izbie dosyć długo, ruszał swym wysłużonym volkswagenem do miasta. Wynajmował małe mieszkanie przy placu Wolności, naprzeciw statuy Bolívara. Dochodząca dwa razy w tygodniu kobieta sprzątała mu i robiła większe zakupy. Frederico uwielbiał gotowanie. Oddawał się z wielkim zadowoleniem sprawom kulinarnym, a potem, najedzony, oglądał stare, pornograficzne pisma. One zastępowały mu życie seksualne.

Gdy Cazalla wjechał na parking i wysiadł z auta, od muru oderwał się jakiś cień. Cazalla, mimo upływu lat, nie stracił jeszcze operacyjnych odruchów. Ujął szybkim ruchem kolbę pistoletu.

- Witaj, Frederico! Kopę lat...
- To ty, Alfredo?
- Odłóż tego gnata. Tak witasz przyjaciela?
- Co cię tu przyniosło?

Alfredo Lopez był rzeczywiście starym druhem Cazalli. Pracowali razem jakiś czas na Karaibach i w Meksyku, potem ich drogi się rozeszły. Spotykali się raczej rzadko i dlatego też pojawienie się Lopeza zaskoczyło go. Alfredo jednak zdawał się nie tracić humoru, śmiał się i klepał kolegę po ramieniu.

- Akurat tędy przechodziłem i pomyślałem o tobie.
- I wiedziałeś, że tu mieszkam?
- Chłopcy mi kiedyś powiedzieli.
- Kto?
- Coś ty, Frederico! Wypytyujesz jak glina. Co cię napadło?
- Dawno się nie widzieliśmy...
- I dziwi cię moja tu obecność? Człowieku, mam tu butelczynę. Czasem człowiek kogoś potrzebuje. Żona mi umarła,

gdyż zbyt rzadko bywałem w domu, no i szefowie ostatnio bardzo mnie ganią. Wiem, że i ty żyjesz samotnie...

- Napić się zawsze można...

Frederico sporo już wiedział o samotności. Niby wystarczała mu praca i zdjęcia porno, a jednak... Gdy po pogrzebie żony wrócił do domu, uświadomił sobie, iż został sam. Pił cały wieczór i cały następny dzień. Z wielkim trudem powrócił do zwyczajnego życia. Wtedy właśnie objął w posiadanie swe pancerne szafy. Tam schronił się ze swoimi bólami. Alfredo zaś w dawnych czasach był jego dobrym kumpem.

Poszli na pierwsze piętro. Frederico zakrzętnął się przy kuchni, gość zaś wyjął z torby butlę wina.

- Jak żyć, to żyć. Napijemy się. Teraz jest inaczej niż kiedyś.

- Inaczej? Co masz na myśli?

- Teraz ty jesteś urzędnikiem, Frederico, nie siedzisz bezpośrednio w robocie, ale ja patrzę na wszystko z bliska i czasami ogarnia mnie smutek.

- Napij się, będzie ci weselej.

- Tylko na chwilę, niestety.

- O czym ty właściwie gadasz, Alfredo?

- Idą, przyjacielu, ciężkie czasy. Gliniarze biorą się za nas coraz ostrzej, a my... Szefowie się gryzą, Frederico. A jeśli brakuje jedności, to sam wiesz...

- To źle. Znasz jakieś szczegóły?

- Jest taki bardzo łebski facet, on mógłby rozwinąć interes. Ty go też znasz. I co? Ci nasi sklerotycy siedzą na ciężkiej forsie i nie chcą niczego nowego. On zaś chciałby urozmaicić kanały przerzutowe, wprowadzić nowe towary i w ogóle zrobić ruch w interesie.

- Mówisz, że go znam? Kto to taki?



- Felipe Carreno. Pamiętasz, jaki bystrzak?  
- Tak go chwalisz, jakbyś był jego człowiekiem, Alfredo.  
- Ja? Jego? Mylisz się. Jestem niczyj, czyli Syndykatu. Ile lat już w tym siedzę? Sam wiesz. Chodzi mi tylko o to, aby interes dobrze się rozwijał. Wszyscy z niego przecież żyjemy.

- Felipe Carreno? To rzeczywiście niegłupi facet.

Alkohol już dobrze zmroczył mózg Frederico, mimo to przypomniał sobie, że Jose Predrera pytał o dokumenty związane z tym człowiekiem. Na wszelki wypadek postanowił więc zbić Lopeza z tropu i znów zaczął wspominać początki ich pracy. Nie było tych wspomnień zbyt wiele, lecz powtarzane z pijackim uporem zdawały się obezwładniać rozmówcę. Alfredo podniósł się wreszcie z krzesła.

- Dzięki ci, stary przyjacielu. Tłukła mnie straszna chandra.

- I ja ci dziękuję.

- My, stara gwardia, powinniśmy się trzymać razem.

- Pewnie!

- Jeszcze wpadnę do ciebie.

- Przychodź, przyjacielu, drzwi są zawsze otwarte. Gdy tylko Alfredo wyszedł, gospodarz spróbował uporządkować myśli i wrażenia. Po tej rozmowie czuł jakiś nieokreślony niepokój. Nie przychodził mu jednak do głowy żaden pomysł. Powiedzmy, że wizyta była zupełnie przypadkowa.

„Do L e o n a

Felipe Carreno, używający też nazwiska Antonio Martinez, pochodzi z San Augustine Wybił się o własnych siłach, przechodząc w Syndykacie wszystkie szczeble służbowe. Ostatnio w ścisłym kierownictwie. Rozwiedziony, z żoną nie utrzymuje kontaktów. Kochanki zmieniał kilka razy. Ostatnia: Manuela

Paenz, modelka. Ludzie z nim związani: Alfredo Lopez, Domingo Caicedo, Pedro Flores. Jeśli zaczęto polowanie, to znaczy, że go rozszyfrowano. Tym samym staje się on podatniejszy na współpracę. Linia działania: nawiązać kontakt z Carreno i uzyskać informacje o dokumentach. Jego samego chronić tylko w ramach technicznych możliwości, bez narażania naszych ludzi. Meldować często.

Szef operacji «Złote runo»”.

## II

Do antykwariatu wybrali się nocą we trzech: Kuba, George, który był specjalistą od zamków, i Jean. Malarz wynajął auto i czekał w pobliżu. Dwaj pozostali weszli do bramy i przedostali się na tyły domu. W ciemnym korytarzu mieściły się wspólne ubikacje i tamtędy też wychodził antykwariusz. Spodziewali się w tych tylnych drzwiach solidnych zamków, lecz George uporał się z nimi błyskawicznie. Weszli do środka. Rozejrzeli się i umieścili jeden mikrofonik pod blatem długiego stołu, a drugi na półce w pobliżu stolika. Tam bowiem antykwariusz - według relacji inspektora - stał najczęściej podczas rozmów z klientami. Działali szybko. Po paru minutach rozpoczęli odwrót. Bu-dynek był pogrążony w głębokim śnie. Czuwający na korytarzu Jean dał znak, że wszystko w porządku. Wysunęli się ostrożnie na pustą ulicę, za rogiem wsiedli do samochodu.

Przed południem malarz zaparkował wóz niedaleko antykwariatu, a inspektor wszedł do środka. Chcieli wypróbować działanie podsłuchu. W ten upalny dzień nie było klientów, a właściciel wydawał się drzemać w fotelu koło okna. Na widok inspektora trochę się ożywił.

- Znów mam zaszczyt powitać szanownego pana.
- Akurat tędy przechodziłem, panie Goias.
- To niezbyt rozsądne, panie...

- Jourdouin. Leon Jourdouin. A do antykwariatu przecież może wejść każdy. Mnie, na przykład, interesują Inkowie. Jestem archeologiem.

- Oczywiście, panie Jourdouin. Czym mogę służyć? Jeśli zaś chodzi o Inków...

- Chwileczkę. Najpierw drobna reklamacja. Otóż zapomniał pan powiedzieć, iż dostaję namiar na zwierzynę.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Panie Goias, przed hotelem „Astoria” zastrzelono człowieka bardzo podobnego do tego, o którym mówiliśmy.

- Sądzi pan, że chodziło właśnie o niego?

- Tak myślę. Po pierwsze: podobieństwo. Po drugie: ten właściwy był akurat w hotelu i pod tym względem pańska informacja się zgadzała.

- Kto to zrobił?

- Sprawcy zbiegli.

Zapanowała cisza, przerywana brzęczeniem much. Lefranc stał przy długim, zawalonym książkami stole, właściciel zaś oparł się o przenośną drabinkę. Widział stąd fragment chodnika i wejście do sklepu. Nieduży, grubawy, jakby trochę rozlazły człowieczek. Brzydki. Twarz w bruzdach, nos mięsisty, lekko opadająca dolna warga. W centrali powiedziano inspektorowi: „On wie bardzo dużo, ale każe sobie słono płacić. Uważaj, gdyż dokładnie nie wiadomo, dla kogo pracuje. Informacje zaś, jeśli ich udzieli, będą pewne. Przy pierwszym kontakcie powołaj się na przyjaciela z Managui. To powinno wystarczyć. Skąd ten człowiek ma wiadomości? Prawdopodobnie prowadzi swoiste biuro handlowe.

- Pan mnie zadziwia, panie Jourdouin. Jaka zwierzyna?

- A jak to nazwać, jeśli na niego polują?

Lefranc wprawdzie nie znał dobrze antykwariusza, ale

zauważył jego wzburzenie. Najwidoczniej rozumiał sens tego zdarzenia. Coś się dzieje w Syndykacie. Rozłam? Wojna domowa?

- Co się właściwie stało, panie Goias?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

- Kiedy mogę przyjść?

- Potrzebuję nieco czasu, panie Jourdouin. Niech pan wpadnie za dwa dni. Być może coś dla pana przygotuję.

- Postaram się. I jeszcze jedno, panie Goias. Czy może zna pan takich miłych ludzi jak Alfredo Lopez, Domingo Caicedo czy Pedro Flores?

- Jakby znajome nazwiska. Co pan chce wiedzieć?

- Gdzie są teraz?

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Będę wdzięczny.

- Uprzedzam, że to kosztuje.

Lefranc z przyjemnością wyszedł z tego zatęchłego pomieszczenia na świeże powietrze. Miał wrażenie, że połknął tam miliony mikrobów. Na rogu ulicy spotkał Kubę. Hipis zbliżył się do inspektora. Trzymał w ręku papierosa. Poprosił o ogień i cicho powiedział:

- Działa wspaniale.

- On jest wystraszony i dlatego uważajcie. Coś się może stać. I w ogóle bądźcie czujni.

Aspirant Mateo Rodriges z komendy policji działał szybko. Po ataku gniewu komisarza zaczął swą robotę oczywiście od „Astorii”. Wywiadowcy ustalili, że człowiek o nazwisku Enrico Maguez mieszkał w pokoju numer trzysta dwadzieścia jeden. Przebywał w hotelu dwa dni, wychodził tylko do restauracji. Żadnych dam w jego towarzystwie nie zauważono. Fryzjer

hotelowy zeznał, że był u niego z kolegą. Mówił do niego „Chaco”, a tamten do swego towarzysza zwracał się per „Iberyczyk”. Aspirant kazał sprawdzić uzyskane dane. Policyjny komputer odpowiedział, iż ci dwaj osobnicy są notowani jako ludzie Syndykatu. Pracowali razem z Felipe Carreno...

Aspirant ucieszył się z tego sukcesu, lecz jego radość przyćmiewał fakt, iż o zabójcach wiedział tylko tyle, że byli to dwaj młodzi ludzie, dysponowali motocyklem, a kierowca był bardzo sprawny - poprowadził przecież maszynę niebezpiecznym slalomem. Ten drugi umiał celnie strzelać. Na razie jednak wybrał się do szefa z tym, co miał. Komisarz był w złym humorze. Właśnie dzwonił do niego prokurator z pretensjami, że on ciągle nie ma nic na biurku, chociaż morderstwa dokonano w biały dzień, na oczach wielu ludzi. Jakby komisarz mógł wyciągnąć przestępców niczym magik króliki z cylindra. - Złapcie ich - zakończył rozmowę prokurator. - Sam ich złap, mądralo! - wściekał się komisarz w ciszy gabinetu. Aspiranta przyjął więc chłodno, narzekając w duchu na los, który każe mu pracować z takimi niedoświadczonymi ludźmi. Wskazał mu bez słowa krzesło, sam zaś rozparł się w obrotowym fotelu, dmuchając dymem z cygara.

- No? Melduj!

- Ten zabity facet należał do współników Felipe Carreno.

Poruszył szefa tą informacją. Komisarz przestał się obracać w fotelu, wyciągnął nogi pod biurkiem i oparł się dłońmi o blat. Straciwszy nagle całą nonszalancję, spytał:

- Masz pewność?

- Facet figuruje w naszym rejestrze.

- Był sam?

- Miał kumpla. Ale tam był i trzeci gość.

- Kto taki?  
- Na razie niezidentyfikowany. Mam tylko portret pamięciowy.

- Przy sobie?
- Oczywiście, panie komisarzu.

Dokładnie się przyjrząwszy, komisarz nabrał przekonania, że rysunek postaci, przy całej swej niedoskonałości, przypominał Felipe Carreno. Ruiz zetknął się z nim i zapamiętał tę interesującą twarz ze starannie wypielegnowanymi wąsikami. Długo patrzył, nim położył rysunek na biurku.

- Mów wszystko, co wiesz.  
- Oni zamieszkali dwa dni temu w „Astorii”. Po dokładnym zbadaniu wszystkich danych bezspornie ustaliłem, iż zniknęli właśnie w chwili morderstwa.

- Czyli jakby pod jego osłoną?  
- Właśnie, panie komisarzu. Wszyscy biegli zobaczyć, co się stało przed głównym wejściem, a oni się zmyli.

- Atak jakby na zamówienie? Czyżby się czegoś domyślali?  
Czy wiesz coś o powodach tego zamachu?

- Na razie nic, panie komisarzu.
- Co mówią ludzie? Przypuszczenia, domysły, plotki...
- Kobiety twierdzą, że poszło o babę, a mężczyźni, że o forszę.

Komisarz myślał intensywnie nad sytuacją. Carreno... Strzelali więc do jego ochroniarza? I nagle olśnienie: przecież ten zabity był podobny do Felipe, ucharakteryzowany na niego! Czyżby więc zaczęły się tam jakieś porachunki? Felipe Carreno przeznaczony do odstrzału? Nie chcąc okazywać emocji, komisarz wstał. Aspirant również się podniósł.

- Motor nie igła, Rodrigez. Poszukajcie wzdłuż ulicy po obu stronach hotelu. Może ktoś coś zapamiętał? Rusz głową,

przyjacielu. Jeśli znajdziemy sprawców, wyjaśni się też motywy zamachu.

- Tak jest, panie komisarzu.

- Szukaj też tego gościa z portretu, tylko bardzo ostrożnie. Najmniejszy fałszywy krok może go spłoszyć. Idź więc i działaj, Mateo.

- Zrobię, co będę mógł, panie komisarzu.

Wychodząc z gabinetu aspirant nie zauważył, że komisarz zaczął marsz po przekątnej pokoju. Musiał jakoś uporządkować myśli. Carreno. Co się właściwie stało? Komisarz Ruiz znał już na tyle Syndykat, aby zdawać sobie sprawę z pozycji tego człowieka. Wewnętrzna walka? Co z niej może wyniknąć? Gdzie ten człowiek może być? Zniknął... I komisarz Ruiz zarządził, aby mu nie przeszkadzano. Nie istnieje dla nikogo. Usiadł w fotelu i rozmyślał paląc cienkie, czarne cygara. Wreszcie nacisnął guzik przy biurku. Gdy w drzwiach ukazała się sekretarka, rzucił jej niecierpliwie:

- Połącz mnie natychmiast z Rudolfo Camino.

Wiercił się niespokojnie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, póki nie odezwał się dzwonek telefonu.

- Rudolfo? Jak ci leci na emeryturze?

- Jakoś żyję. Co się stało, Vincente?

- Mam do ciebie mały interes.

- Jeszcze mogę ci się na coś przydać?

- Gdzie cię można spotkać?

- Przyjdę do ciebie odetchnąć policyjnym powietrzem.

- Poślę po ciebie wóz.

- Czyli będzie jak za dawnych czasów: wstawaj, Rudolfo, wóz już podjeżdża. To lubię...

- Zaraz jadą.

- Dobrze, Vincente. Czekam.



Komisarz jeszcze raz nacisnął dzwonek. Wpadła spłoszona sekretarka.

- Gdy przyjedzie pan Camino, proszę go zaraz przyprowadzić do mnie - powiedział.

- Rozumiem, panie komisarzu.

Jose Predrera siedział nieruchomo, wspierając głowę na rękach, wpatrzony w stojącego przed nim Augustino Pasco. Mówił cicho, z naciskiem, starannie wymawiając słowa, co było wyrazem skupienia:

- Nie mylisz się, Augustino?

- Absolutnie, szefie. W hotelu był facet z fotografią Carreno i wypytywał o niego.

- Co za jeden? Policja?

- Chyba nie. Policja była już wcześniej. Badali ludzi i nawet sporządzali pamięciowy portret.

- Poszedł ktoś za nim?

- Tak jest, ale...

- Rozumiem. Urwał się tym twoim gnojom.

- Niestety, szefie...

- Kogo ty zwerbowałeś, Augustino? Skrzyknałeś pastuchów z interioru i chcesz robić, delikatną robotę?

- Ukarzę winnego.

- Ty, Augustino...

- Wiem, szefie: wyleźć ze skóry, a znaleźć.

- Właśnie. Twoja w tym głowa, pamiętaj. Musisz go odszukać. Dowiedz się też, o co wypytuje policja. Czy domyślasz się, skąd był ten facet?

- Może od Jankesów?

- Możliwe. Złap go. Czy wszystko zrozumiałeś?

- Tak jest, szefie.

Po odprawieniu Pasco Predrera kazał przywołać Bernarda. Był to człowiek od tajnych, najczęściej osobistych poleceń szefa, wypróbowany w kilku trudnych akcjach. Chłop rosły, masywny, z silną pięścią. Mimo pozornej ociężałości umiał poruszać się bardzo zwinnie, jak rozdrażniony tygrys. Ludzie bali się go i nie wchodzili mu w drogę. Gdy zjawił się w gabinecie, Jose zaprosił go do stolika. Wyjął z barku butelkę wódki i nalał po kieliszku.

- Pamiętam, że lubisz rosyjską wódkę.
- To jest wspaniały trunek, szefie.
- Czy nie osłabia ci refleksu?
- Jeszcze mi się to nie zdarzyło, szefie.
- Jesteś u nas kawał czasu, Bernard. Czy pamiętasz może człowieka o nazwisku Carreno?

- Pamiętam.

Bernard był powściągliwy w odpowiedziach. Carreno... Wysooko postawiony człowiek. Członek kierownictwa. Jeśli o takim mowa - sprawa musi być poważna. Lepiej więc milczeć i czekać.

- Dostaniesz zadanie, Bernard.
- Słucham, szefie.
- Znajdź kogoś z najbliższej ochrony Carreno, gdzieś sprzed pięciu lat. Z tych najbliższych...

- Tak jest, szefie.

- To jest ściśle tajne. Gdy znajdziesz takiego, za łeb go i do mnie. Musi być zdolny do mówienia, gdyż oczekuję informacji.

- Wszystko jasne, szefie.

- O zadaniu wiemy tylko my dwaj, pamiętaj.

- Załatwione, szefie.

Odprowadził Bernarda, poczęstowawszy go jeszcze jednym kieliszkiem wódki. Tamten wypił ją jak wodę, bez skrzywienia.

Wódka rozchodziła się po ciele przyjemnym ciepłem. Rozjaśniała myśli. Dziecko... Predrera ciągle o nim rozmyślał. Jak znaleźć dziecko? Jego narodziny muszą być odnotowane w jakichś księgach. Chrzcziny też. Właśnie! Nacisnął gwałtownie guzik przy biurku. Gdy zjawiała się sekretarka, rzucił niecierpliwie:

- Niech przyjdzie Pasco. Natychmiast!

Nudzili się setnie. Aparatura włączona, pozostawało tylko czekać. Przeważnie było słycać pokasywanie właściciela, kroki, szelest papierów. Czasem tylko wchodzili do antykwariatu klienci i wtedy w słuchawce pobrzmiwały pytania o poszukiwane książki, ceny i możliwości ich zdobycia. Raz trafił się nudziarz, który długo i zawile zwracał antykwariuszowi głowę gadaniem o starociach i białych krukach. To malarz, to Kuba wychodzili z samochodu na mały spacer. Klęli tę zafajdaną robotę. Lefranc zapewne zostawił dla siebie smakowite kąski, a ich wepchnął w takie gównno. Trzeba tylko siedzieć, siedzieć, siedzieć... Nagle Kuba usłyszał stuknięcie drzwi i głos:

- Witam cię, stary szczurze. Ciągłe tkwisz w swej norze?
- Uważaj, bo ugryzienie szczura może być niebezpieczne.
- Ja się nie boję.
- Indianie znają takie trucizny, że nic cię nie uchroni.
- Na pewno u ciebie nic nie wypiję. Ty mi zapłacisz, a ja pójdę sobie do chińskiej restauracji.
- Zapłacę? Za co?
- Ile kosztuje u ciebie głowa?
- Co to za towar?
- Czy wiesz, gdzie jest hotel „Astoria”?

- Coś słyszałem. Nie łączę po hotelach, bo jestem za biedny.
- Biedny? Gadają, że ty śpisz na forsie.
- Ludzie są zawistni, Simon. Chcą zgnoić człowieka.

Rozmówcy chyba poruszali się po pokoju, gdyż głosy były raz cichsze, to znów wyraźniejsze.

- Skoroś taki biedak, Alfonso, to pewnie cię nie stać na ten towar.

- Zależy, co to jest.
- Koło „Astorii” zastrzelono człowieka.
- Słyszałem. Co to się wyrabia! Zabijają już w biały dzień.
- Z tym facetem to nie był przypadek.
- Zaciekawiasz mnie, Simon.
- Był to gość z osobistej ochrony Felipe Carreno. I co ty na to?

- Ten towar śmierdzi starzyzną.
- Zgoda. Mam jednak coś lepszego. Płacisz, staruszk?
- Muszę wiedzieć za co. Nie kupię kota w worku.

Kuba dotknął lekko ramienia malarza, a gdy ten obrócił głowę, powiedział cicho:

- Pójdę za tym facetem.
- Dobra...

Tymczasem w antykwariacie rozmowa zdawała się dochodzić do kulminacyjnego punktu.

- Dobra, staruszk. Otóż w tym hotelu był też sam Felipe Carreno. Ochroniarz wyszedł do wozu, ucharakteryzowany na szefa. Tam go rąbnęli, a Felipe wycofał się niepostrzeżenie.

- Ktoś dał mu cynk?
- Właśnie. Jakbyś przy tym był, staruszk.
- Kto?

- Człowiek pracujący u Augustino Pasco.
- I to jest ta wiadomość?
- Tak. Właśnie ta. Nazwisko.
- Biorę. Cena jak zwykle, Simon.
- Tym razem dorzuć jednak parę peso, bo warto.
- Niech będzie, Simon. A więc kto?
- Ernesto Santovenia. Pomocnik Pasco.
- Dlaczego to zrobił?
- Bo ja wiem? Może nie podoba mu się Pasco lub Jose Predrera? Może nadepnęli mu na odcisk? W każdym razie ostrzegł ich i Carreno się wywinął.
- Czy to pewne? Skąd ty znasz takie tajemnice?
- Wątpisz w moje informacje, ty szczurze? Zawsze były pewne.
- Niech będzie. Ale skrewisz tylko raz, Simon. Pamiętaj.
- Wiem. No, to ja się zmywam.
- Bądź zdrow, Simon.

W drzwiach antykwiariatu pojawił się elegancik: na głowie szeroka panama, lekkie, kwieciste wdzianko, kolorowa koszula, białe spodnie. W garści laseczka. Wymachiwał nią wesoło. Wyglądał na człowieka bardzo z siebie zadowolonego, jakby trafił los na loterii. Popatrzył jeszcze z uśmiechem na drzwi antykwiariatu i pomaszzerował ulicą, nie zwracając uwagi na hipisa - często się tu kręcili.

- Od kogo te kwiaty?
- Jak zwykle, proszę pani.

Vera La Pampa pytała właściwie tylko po to, aby jakoś skwitować przesyłkę. Odpowiedź była przecież znana: kwiaty przesyła codziennie ten sam człowiek, Jose Predrera. Zawsze przed południem pukał do jej drzwi posłaniec z kwaciarni i przynosił

bukiet. Wytrwale. Cierpliwie. Ostatnio jednak Vera zadawała sobie coraz częściej pytanie, na jak długo temu wielbicielowi starczy cierpliwości. Na razie bawili się w słówka i uśmiechy, wysłuchiwała komplementów, ale widziała narastające w nim pożądanie. I zniecierpliwienie. Jose Predrera był przyzwyczajony do absolutnego posłuchu. A słyszała - personel kasyna był dobrze poinformowany i nie stronił od plotek - że lubił kobiety.

Przeglądając się w lustrze, pomyślała, że ciągle jeszcze nie korzystała ze wszystkich walorów młodości. A ona mija szybko. Gdy skończy się powodzenie, co ją czeka? Wegetacja. A gdzie przyjemności?

Nic tak jednak nie poprawia samopoczucia kobiety, jak wizyta w salonie piękności. U pani Boltone bywała cała tutejsza śmietanka. Obsługa była sprawna i wielce fachowa, chociaż, oczywiście, kosztowna. Jakże jednak tam nie bywać? Od razu spadłaby o oczko niżej w towarzyskiej hierarchii. Vera powiedziała więc służącej, że wychodzi. Dobrze trafiła: jej ulubiona fryzjerka Gabriela była akurat wolna. Vera poddała się zabiegom i leniwie rozmyślała, jak spędzić dzisiejszy wieczór, czyli czas po występie w kasynie. Pochylona nad nią Gabriela powiedziała cicho:

- Ma pani pozdrowienia.
- Tak? Dziękuję, Gabrielo. A od kogo?
- Kazał się pani pięknie kłaniać. Gdy zapytałam, jak się nazywa, wtedy odparł, że jest pani znajomym z Kadyksu.
- Jeszcze raz dziękuję, Gabrielo.
- Jakieś przyjemne wspomnienie?
- Tak, tak. Mówił coś jeszcze?
- Że pamięta i ma nadzieję na spotkanie.
- Gdzie go widziałaś? Dlaczego do mnie nie zadzwonił?
- Pewnie wiedział, że pani bywa u nas. Twierdził, że ma

mało czasu. Gdzieś wyjechał. Aha, nie należy o tym nikomu mówić, tak powiedział.

- Rozumiem.

Postanowiła już o nic nie pytać. Czekwała niecierpliwie, aż Gabriela skończy ją czesać. Nie usiadła przy stoliku, aby wypić kawę - tu był taki zwyczaj - od razu poszła do domu. W głowie miała chaos. Dopiero gdy usiadła w fotelu w swym saloniku, zaczęła przypominać sobie tamto lato. Po jakichś męczących występach zrobiła sobie urlop. Postanowiła spędzić dwa tygodnie na plaży, pluskać się w morzu, opalać, nie myśleć o niczym. Pełny relaks. I tak się właśnie stało. Wybrała Kadyks.

On pojawił się po kilku dniach. Przystojny, ładnie zbudowany mężczyzna o przyjemnym uśmiechu i z poczuciem humoru. Zajął miejsce obok. Przez pół dnia nie zwracał na nikogo uwagi, potem zerknął raz i drugi, uśmiechnął się i zaproponował kawę. Tym ją zaskoczył. Zgodziła się, bo lepsza taka znajomość niż zaczepki włóczących się po plaży napalonych młodzieńców, myślących tylko o tym, co ma pod kostiumem. I nie żałowała. Antonio był wspaniałym towarzyszem. Pół dnia spędzali nad morzem, kąpali się, pływali motorówką, próbowali surfingu, a nawet wznieśli wielki zamek z piasku. W kolejnych dniach bywali w przytulnych kafejkach i eleganckich restauracjach, zwiedzali okoliczne miejscowości. Antonio był interesującym rozmówcą. Wiedziała, że jej pragnie, ale traktował ją jak wielką damę. Do łóżka poszli po tygodniu znajomości, gdy do jego wyjazdu pozostały tylko trzy dni.

Antonio Martinez mówił o sobie, że jest handlowcem, prowadzi międzynarodowe interesy i dużo podróżuje. Nic sobie nie obiecywali, obyło się bez zobowiązań. Dali sobie niezwykle

dużo i rozstali się jak para przyjaciół. Na całe dwa lata. A dziś... Przypomnił sobie. Pamiętał. Więc go zobaczy? Ciekawe, jak dojdzie do spotkania? I dlaczego tak tajemniczo? To wszystko było niezwykle fascynujące i podniecające.

- Panie komisarzu, przyszedł pan Camino.

- Proś, proś. I podaj nam dwie kawy.

Rudolfo prawie się nie postarzał. Może tylko wolniej chodził? Dosyć wysoki, chudy, nieco przygarbiony, twarz w bruzdach i mocno już szpakowaty wąs, włosy też rzadkie. Posiwał. Komisarz poderwał się z fotela.

- Wstawaj, stary! Nic się nie zmieniłeś!

- Cześć, komisarzu. Ty, jak widzę, zawsze z humorem.

- Siadaj, staruszk. Napijemy się kawy.

- Wielkie dzięki. Kawa rozjaśnia umysł. Rozumiem, Vincente, że chcesz mnie pobudzić do myślenia.

- Właśnie.

- Nieraz wieczorami wspominam dawne sprawy. Wiesz, że nie wszystko pamiętam? Skleroza czepia się człowieka...

- Zaraz ożywimy nasze mózgi, Rudolfo.

- Co masz? Koniak?

- Znakomity trunek. Napijemy się.

- Lekarz wprowadził mi zakaz, ale Bóg z nim. Przy takiej okazji... Masz kłopoty, Vincente?

- Kłopoty? Nie, tak bym tego nie nazwał. Raczej muszę sobie coś przypomnieć.

- Ach, tak...

Camino czuł się w tym gabinecie znakomicie. Kawa mu smakowała, sączył koniak szybciej niż komisarz, palił cienkie długie cygara i śmiał się wesoło. Był zadowolony z przyjęcia.



Tymczasem komisarz uznał, iż wystarczy tych przyjemności - jeszcze się facet spije i co wtedy? Postanowił przejść do konkretów.

- Rudolfo, czy Carreno działał już za twoich czasów?
- Carreno? Zaraz, zaraz, niech się zastanowię.
- Przystojniak, z małymi wąsikami.
- Tak, przypominam go sobie. A co się stało?
- Dzieje się coś dziwnego, staruszku. Polują na niego.
- I ty się dziwisz, Vincente? Mało to razy likwidowali swoich?

- Warto jednak wiedzieć, co w trawie piszczy.
- Rozpuść więc swoje psy gończe i niech nasłuchują.
- Otóż to. Nie chcę robić szumu, Rudolfo. Czy ja wiem, kogo tu mam u siebie?

- Też prawda. Na pewno są wtyczki.
- Tu trzeba delikatnie, staruszku. Carreno jest na muszce, a jednak się wymknął. Ma więc ludzi i jakieś meliny. Kogo? Gdzie? Ty kiedyś grzebałeś w tych sprawach, może sobie coś przypominasz? Te moje młodziaki nic tu nie zrobią. Im trzeba dawać świeże tropy. Coś sprzed pięciu lat jest dla nich nieomal historią starożytną.

- Cóż, można pomyśleć, komisarzu. Wolny strzelec Camino oddaje się do dyspozycji.

- Chodzi mi po głowie, że droga do Carreno może prowadzić przez kobiety. Ma przecież powodzenie.

- Też pomyślałem o tym, Vincente. Zajrzę w domu do starych notatek. Może coś się znajdzie?

Wypili jeszcze po koniaku, pogadali o technice policyjnej roboty, powzdychali nad starymi, dobrymi czasami i Camino zaczął się zbierać. Na odchodnym zapewnił gospodarza, iż bierze się do sprawy z całą gorliwością. Komisarz zaś gratulował sobie pomysłu. Śledztwo w tej delikatnej sprawie pójdzie

bocznym torem, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Niech podwładni działają oficjalnie - nic prawdopodobnie z ich śledztwa nie wyniknie - a on tymczasem dowie się wszystkiego. Przecież głównym problemem dla niego, komisarza policji, było utrzymywanie delikatnej równowagi pomiędzy wymaganiami zwierzchników - „macie zbyt nikłe rezultaty w zwalczaniu narkotyków” - a Syndykatem, z którym obawiał się starcia komisarz. Co innego, gdyby miał w garści jakieś mocne atuty. A tak, lepiej ich nie drażnić. Łapano czasem drobnych handlarzy, komisarz zapewniał burmistrza, iż walczy z narkotykami bardzo energicznie - i na tym się kończyło. Komisarz odwiedzał kasyno, gapił się na gości, łykał swój przydział alkoholu, wypalał cygaro, podziwiał nogi Very La Pampy i wracał do codziennych zajęć. No, a teraz chyba los daje mu szansę. Gdyby tak dorwać tego Carreno... To prawie jak trafienie głównej wygranej na loterii. Cała pula dla niego. Felipe, rozgniewany na Syndykat, ujawni co trzeba, a on wie dużo. I wtedy komisarskie bytowanie zdecydowanie się odmieni.

Elegancik szedł spokojnie ulicą, cicho pogwizdywał, czasem przystawał przy sklepowych wystawach czy ulicznych przekupniach. Kuba musiał poruszać się bardzo ostrożnie, aby mu nie podpaść. Gość jednak niczego się nie domyślał. Zatrzymał się nieco dłużej w kawiarni pod parasolami, pił napój przez słomkę, a po zaspokojeniu pragnienia wpakował się do sklepu. Kupił tam flaszkę wina i jakieś jedzenie. Zapewne będzie oblewał udany interes. I znów marsz ulicami. Cały czas kierowali się jednak ku starej dzielnicy.

I wreszcie brama. Za nią studniowate podwórko z dużym drzewem pośrodku. W dwupiętrowych oficynach wchodziło się

do mieszkań z długiego balkonu i Kuba, stojąc w bramie, widział eleganta, jak wspina się na drugie piętro i wchodzi do mieszkania. Odczekał jeszcze jakiś czas. Człowiek w białych spodniach zabrał się zapewne do przyniesionego wina. Nie mógł tkwić w bramie zbyt długo, gdyż kręciło się tu sporo ludzi. Zapamiętał więc adres i powoli ruszył dalej. Malarz siedział jeszcze w samochodzie i słuchał targu antykwariusza o jakąś książkę. Na widok Kuby westchnął.

- Ale nudy... Jakiś staruch truje i truje.
- Musisz przecierpieć, przyjacielu. Ryzyko zawodowe.
- Co u ciebie?
- Facet opija teraz udany interes.
- Dobra, Kuba. Ja posłucham sobie dyskusji o białych kruchach, a ty wal do chłopaków i zamelduj. Lefranc czeka na wiadomości.

- Masz rację.

Do przystani jachtowej było stąd niezbyt daleko. Tamci byli już po posiłku i George szykował się do wyjścia, aby podjąć obserwację antykwariusza po zamknięciu sklepu. Jean prowadził radiowy nasłuch, a Lefranc rozłożył się na pokładzie z kolekcją małż i koralowców - to dla sąsiadów, aby widzieli naukowy cel ich pobytu tutaj. Kuba podszedł do burty i powiedział tak głośno, by słyszano go na innych jachtach:

- Proszę pana, pan podobno szuka dobrego miejsca do podwodnego polowania. Czy tak?

- Tak, to prawda.
- Ja tu trochę nurkowałem i poznałem te wody.
- Tak? W takim razie proszę na pokład, pogadamy.
- Niech pan weźmie mapę.
- Oczywiście.

Rozłożyli mapę na pokładzie i kucnąwszy, pochylili się nad

nią. Kuba, wodząc palcem po papierze, opowiedział inspektorowi o elegancie. Lefranc był zadowolony.

- Dobra robota, Kuba.

- Mam chodzić za nim cały czas?

- I tak nie wiemy, jak i kiedy skontaktuje się z tym Ernesto Santovenia. Teraz potrzebny nam jest tamten, a nie jakiś drobny cwaniaczek.

- Nie jest wcale drobny, jeśli ma takie znajomości.

- Masz rację.

- Może go przyciśniemy? Będzie miał dwa wyjścia: albo oberwać po mordzie, albo zaproponujemy mu pieniądze.

- A ty co byś wybrał, Kuba?

- Ja bym spróbował z pieniędzmi - przy jednoczesnym odstraszaniu. On mi wygląda na takiego, co sprzedaje dla zysku nawet własną matkę, a co dopiero obcego faceta.

- Kuba, pochodź za tym cwaniaczkiem cały jutrzejszy dzień. Nim zaczniemy jakąś akcję, trzeba coś o nim wiedzieć. Weź ze sobą malarza. Tylko ostrożnie, chłopaki. Tacy mają instynkt dzikiego zwierza, nie mówiąc o ewentualnych kumplach, którzy mogą się kręcić w pobliżu.

- Tak, szefie: wypić jajko, nie dziurawiąc skorupy...

„Do szefa operacji «Złote runo»

Pytanie: czy można wycisnąć z Alfonso Goiasa coś więcej oprócz kupowanych wiadomości? Czy istnieje do niego jakiś inny klucz? On się wykręca.

Leon”.

Bernard długo się zastanawiał nad poleceniem szefa. Sprawa nie była zbyt jasna. To, że jakiś facet idzie na odstrzał, nie budziło wątpliwości, jednak Felipe Carreno nie był zwyczajnym

pionkiem. To człowiek „góry”. Dziś wygląda na przegranego, a w takich grach stawką jest zwykle życie, lecz kto wie, jakie jeszcze siły ma do dyspozycji? Ludzie Felipe Carreno... Kto ich może znać? Na pewno nie młodzi pracownicy. Werbowano ich w przeludnionych, slumsowych przedmieściach lub w biednych wioskach w głębi kraju, toteż pracę dla Syndykatu traktowali jak łaskę boską trzymali się jej rękami i nogami, a gdy ginęli, zaraz zjawiali się na ich miejsce następnymi. Wykonywali każdy rozkaz bez zastanowienia. Bernard w gruncie rzeczy gardził nimi. Był przecież cenionym specjalistą, a nie zwyczajnym nożownikiem. Z kim więc rozmawiać? Szukał w myślach, przerzucał nazwiska, aż wreszcie przypomniał mu się Frederico Cazalla, człowiek od dawna pracujący dla Syndykatu. Było trochę kłopotu z odszukaniem go, lecz pełnomocnictwo szefa dawało wszelkie możliwości. Otrzymał numer telefonu i zadzwonił niezwłocznie. Gdy usłyszał nieco ochryply głos, przedstawił się:

- Bernard, z polecenia szefa.
- Słucham.
- Powinniśmy porozmawiać.
- Jestem bardzo zajęty.
- Sprawa jest pilna, a szefowi bardzo na niej zależy.
- Jakiego rodzaju jest ta sprawa?
- Chodzi o przeszłość. Trzeba sobie coś przypomnieć.
- Dobrze. Na zbiegu ulic Nadmorskiej i Żeglarskiej jest mały bar. Będę tam za godzinę. Znasz mnie?
- Kiedyś się widzieliśmy.
- Poznasz: starszy, siwawy człowiek. Położę przed sobą paczkę papierosów i zapalniczkę.

Frederico Cazalla siedział samotnie. Bernard poznał go nawet bez umówionego znaku.

- To ja dzwoniłem.
- Proszę siadać.
- Nazywam się Bernard.
- Mnie znasz, więc nie muszę się przedstawiać. Czego Jose potrzebuje tak pilnie?
- Chodzi o pięć lat wstecz.
- A dokładniej?
- Obstawa Felipe Carreno. Muszę mieć zamiar na kogoś z nich.

- Rozumiem.

Bernard oczywiście nie mógł znać myśli swego rozmówcy, a on zastanawiał się właśnie, skąd nagle wzięła się moda na Felipe? Co chwila ktoś o niego pyta. I nagle przyszedł mu na myśl Lopez. Nie, mimo wszystko nie powie o nim. Po tym ostatnim spotkaniu pozostał mu jakiś sentyment. A tu właśnie przyszedł łapacz ludzi. Łamignat. I biedny będzie ten, na którego zwróci on uwagę.

- Carreno i jego ludzie... Miał różnych.
- Potrzebuję, dwóch, trzech.
- Nie znam ich późniejszych losów.
- Jakoś sobie poradzimy.
- Był u niego niejaki Marco. Młody, przystojny, ładnie śpiewał.

- Kto jeszcze?
- Miguel. Mówiono, że zaufany.
- Czy masz któregoś z nich w polu widzenia?
- Niestety...
- Może jakieś poszlaki?
- Marco był stąd, mieszkał na Zielonych Wzgórzach.
- Czy znalazłeś osobiście Felipe Carreno?
- Tylko z widzenia. On był z góry, a ja szeregowy wykonawca.

- Serdeczne dzięki za pomoc. Pozdrowienia od szefa.

Bernard posłał zaraz człowieka, aby się przespacerował po Zielonych Wzgórzach. Dzielnica ta, a raczej przedmieście Santa Maria, cieszyła się nie najlepszą opinią. Wśród niskich krzaków poustawiano budy i szopy, trochę mizernych domków, i tak powstało osiedle ubogich. Żyli z drobnych, dorywczych zarobków i machlojek. Dziewczyny przeważnie się sprzedawały. Stamtąd właśnie pochodziło sporo ludzi Syndykatu. Być może, istnieje tam jakiś ślad człowieka zwanego Marco. Wyśłannik był sprytnym chłopakiem i Bernard spodziewał się sukcesu. Do wieczora jednak tamten się nie pokazał. Rano też go nie było. Bernard zaniepokoił się wtedy nie na żarty. Gdy do południa nadal nie było wiadomości, postanowił działać. Od policjanta świadczącego Syndykatomu drobne usługi dowiedział się, iż poprzedniego wieczoru w tamtej dzielnicy miała miejsce, nożownicza bójka, w której zabito człowieka. Ciało zawieziono do kostnicy. Bernard posłał tam jednego ze swoich. Ów wrócił z wiadomością, że od ciosu nożem zginął właśnie wysłany na Zielone Wzgórza wywiadowca. Sprytny chłopak, a jednak... Przypadek? Bernard nie zameldował szefowi o wydarzeniu, postanowił najpierw dociec, co się stało. Czyżby chodzenie po tropach Felipe Carreno było aż tak niebezpieczne?

Aspirant Rodriguez wędrował długą i szeroką aleją, zatrzymując się przy kioskach, ulicznych czyścicielach butów, sprzedawcach kwiatów i przeróżnych pamiątek, sklepikach, domowych dozorcach. Wszędzie prowadził uprzejme pogawędki o tamtym pamiętnym dniu. Był po cywilnemu, więc łatwiej zyskiwał sympatię. Rozpytywał nawet bawiące się koło domów

dzieci. Okazało się, że wielu ludzi widziało ten motocykl i tych facetów - chociaż niektórzy rozmówcy mylili dni - lecz nie pamiętali szczegółów. Motocykl? Tylko mignął. Wygląd? A diabli ich wiedzą. Zaiste, detektyw musi mieć świętą cierpliwość.

Aż wreszcie... Wyrostek z rozwichrzoną czupryną wysłuchał aspiranta, pomyślał chwilę, drapiąc się za uchem, i powiedział:

- Dwóch facetów?
- Właśnie.
- Na motocyklu?
- Widziałeś ich?
- Mignęli mi jacyś w kraciastych koszulach.
- A numer motoru?

I aspirant wsunął mu w garść banknot. Wyrostek momentalnie wyrecytował dane motoru. Opisał też dosyć dokładnie tych dwóch. Teraz poszło już łatwiej. Gdy wymieniał konkrety, ludzie przypominali sobie coraz więcej szczegółów. Można było zacząć sporządzać portret pamięciowy kierowcy, gdyż jego jakoś lepiej zapamiętano. Po kilku godzinach wytężonej pracy miał już na papierze twarz człowieka. Pokazywał rysunek ludziom, a ci z przejęciem kiwali głowami: „Ten”. Lecz kim on jest?

Sprzedawca owoców, handlujący prawie przy końcu alei, długo i dokładnie przyglądał się rysunkowi, wreszcie, rozejrzawszy się wokoło, powiedział zniżając głos:

- Znam go. To Anselmo.
- Co za jeden?
- Taki tam. Żyje nie wiadomo z czego.
- Gdzie mieszka?

Wahanie. I znów trzeba było zapłacić. Aspirant westchnął w duchu, lecz wyjął banknot. Tak oto topnieje skromna pensyjka.



Dziś właśnie chciał się umówić z dziewczyną. Pieniądze jednak pomogły.

- Na ulicy Kotlarskiej.

- Ma motor?

- Jeździ na nim jak szalony.

- Śmierdzi groszem?

- Owszem, ma forszę. Panie szanowny, ale ja nic nie widziałem i nie słyszałem. Do protokołu nie zeznam ani słowa.

- W porządku. Nie będzie żadnego zeznania. Dziękuję.

Aspirant już się przyzwyczał do takich obaw. Ludzie nie chcą być zamieszani w trudne sprawy. Szczególnie gdy podejrzewają, że chodzi o ludzi z Syndykatu. Lepiej być głuchym, ślepym i niemym. Przewidywał też, że numery rejestracyjne motoru są fałszywe.

Zaczęły napływać dane od wywiadowców. Anselmo został zidentyfikowany bez większego trudu. Ulica Kotlarska, numer siedem, na pierwszym piętrze. Była to czynszowa kamienica. Ludzi mrowie, na ocienionym paroma drzewami podwórku kłębiła się gromada rozkrzyczanych dzieci. Sam Anselmo mieszka ze starą matką. Dobry syn utrzymujący rodzicielkę. Wzruszające...

Aspirant dość dobrze znał starą dzielnicę. Ciasne uliczki, kiedyś chodziły po nich tylko osiołki i muły - dziś przeciskają się też małe samochody - zawsze tam tłoczno, domy raczej zaniedbane, sypiące się tynki, po kątach śmierdzi kotami, a mieszkańcy często przypominają ptactwo boże. Żyją nie wiadomo z czego, tylko część z nich pracuje, inni czepiają się do-rywczych zajęć lub kombinują.

Następne meldunki doniosły, że Anselmo wychodzi gdzieś rano i wraca wieczorem. Ma pieniądze, w każdym razie, jak na ludzi z tej dzielnicy, jest nieźle sytuowany, systematycznie

kupuje papierosy i nie stroni od wina. Gdzie jest ta jego praca? Odpowiedź zdumiała aspiranta: Anselmo chodzi do Muzeum Ziemi, wejściem od tyłu. Wniosek z tego, że tam mieści się jedna z melin Syndykatu. Komisarz po wysłuchaniu meldunku zadumał się głęboko i dopiero po długiej chwili spytał:

- Magazyn? Cóż oni tam przechowują? Prochy? Broń?

- Tego jeszcze nie wiemy. Dopiero nam wpadli w oko.

- To może być ciekawe, Mateo. Jakaś nitka i jakiś kłębuszek.

- Co zrobimy, panie komisarzu?

- Musimy mieć cierpliwość pająka polującego na muchę. Zaczaić się i czekać. Nie spuszczać tych ludzi z oka ani na chwilę. Rozszyfrować ich szczegółowo. No, a jeśli to magazyn, więc coś tam przechowują. Muszą przywozić i wywozić ten towar. Obracać nim.

- Postaramy się, panie komisarzu.

„Do Le o n a

Alfonso Goias ma sporo na sumieniu. Nie wdając się w szczegóły, można mu zasugerować ekstradycję. Ale to ostateczność. Póki dostarcza wiadomości - handlujcie z nim.

Szef operacji «Złote runo»”.

### III

- Nastaly straszne upaly, panie Jourdouin. Trudno wytrzymać.

- Ale tu u pana jest przyjemny chłodek, panie Goias.

- Całe szczęście.

- Ale miasto na tym słońcu zarabia. Przyjeżdżają turyści.

- Turyści rzadko odwiedzają antykwariaty. Wydają swoje pieniądze raczej na rozrywki.

- A więc interesy idą słabo?

- Tak właśnie można powiedzieć, panie Jourdouin.

- To przykre.

Goias był wyraźnie zde gustowany. Nie okazywał zwykłej werwy, stękał, narzekał, snuł się niespokojnie z kąta w kąt, co chwila zerkał przez okno, jakby wypatrując tych ciągle nieobecnych klientów.

- Pewnie trzeba będzie zamknąć sklepik.

- Czy coś się stało, panie Goias?

- Czasem się zastanawiam, po co mi to wszystko? Jestem starym człowiekiem, mam małe potrzeby.

- Pan mi jednak coś obiecał.

- I co pan da mi w zamian, panie Jourdouin? Życie wieczne? Przywróci mi pan młodość?

- Pieniądze, za które można mieć wiele rzeczy. W handlu zresztą zawsze tkwi jakieś ryzyko.

Lefranc był przekonany, że te fochy starego służą podbiciu

ceny. Przedstawi tu istne Himalaje trudności, oceany swych poświęceń, a potem zaśpiewa sporą sumkę. I będzie jeszcze oczekiwał za swe wysiłki wdzięczności. Słuchał więc spokojnie, przygotowując kontrargumenty. A Goias znów zaczął spacer od drzwi do okna.

- Ryzyko... Mój Boże... Co pan nazywa ryzykiem? Nagłą śmierć?

- No, może nie aż tak...

- Proszę pana, taki handel to nie zabawa klockami.

- Rozumiem. Chodzi o cenę.

- Kim pan właściwie jest, panie Jourdouin?

- Już pan o to pytał. Archeologiem.

- Ale interesuje się pan raczej współczesnością.

- Jedno drugiemu nie przeszkadza. Bo na czym polega archeologia? Trzeba szukać, kopać, dopasowywać, odgadywać...

- Umarli zaś nie mają nic przeciw temu. W przeciwieństwie do żywych.

- Czego pan się boi, panie Goias?

- Życie jest trudne, panie Jourdouin.

- To prawda.

- Pan wpadł tu na chwilkę i wyjdzie, a ja...

- Archeologia też nie jest łatwa, panie Goias. Może obsunąć się ściana wykopu, może spaść kamień...

Ciągle trudno było przejść do rzeczy. Goias tym swoim narzekaniem tylko utrudniał sprawę. Czyżby pojawiły się jakieś komplikacje? Oczywiście nie chciał przed nim ujawniać prawdziwego celu swego pobytu w mieście. A jeśli szanowny antykwariusz dojdzie do wniosku, że więcej zarobi sprzedając właśnie tego ciekawskiego archeologa? Nie wiadomo też, na ile frontów pracuje.

- Miał pan coś dla mnie przygotować.

- Są duże trudności, panie Jourdouin.
  - Zdaję sobie z tego sprawę.
  - Pana interesuje Felipe Carreno.
  - I paru innych.
  - Otóż, proszę pana, wybuchła mała wojna.
  - I to jest ta trudność?
  - Carreno się zdematerializował.
  - Zginął?
  - O ile mi wiadomo, jeszcze nie. Za to dosyć skutecznie zatarł za sobą ślady. W jego sytuacji konspiracja jest zresztą zrozumiała. Polują na niego.
  - Z jakiego powodu?
  - Bardzo niebezpieczne pytanie. Pan w ogóle zadaje dużo pytań, panie Jourdouin. Każde z nich zaś pachnie dziś krwią.
  - Stosuje pan kwieciste metafory, a mnie interesują konkrety.
  - To nie żadne literackie ozdóbki, lecz rzeczywistość.
  - Więc na czym stoimy?
  - Na tym, że przy takim podbiciu stawki handel staje się w ogóle niemożliwy.
- Trudno było coś z antykwariusza wycisnąć, gdyż ciągle zasłaniał się grożącym mu niebezpieczeństwem. Odmawiał bliższych informacji. Wreszcie wykrztusił, że zgubił tropy.
- A ci ludzie, o których wspominaliśmy?
  - Jednego z nich, Lopeza, widziano w mieście. Pozostali są chyba ze swoim szefem, gdyż tu się nie pokazują.
  - A coś bliższego o nich?
  - Muszę się rozejrzeć.
  - Dobrze, ale czy Carreno rzeczywiście nie może liczyć na czyjąś pomoc?
  - Kogo pan ma na myśli?

- Przyjaciół, kochanki, rodziców, wuja, ciotkę...
- Nic o tym nie wiem.
- Z kim sypia?
- Płaci pan każdą cenę?
- Oczywiście w granicach rozsądku. Przyjaciel z Managui mówił, że z panem można się porozumieć.
- To prawda.

Goias łypnął na Lefranca złym wzrokiem. Najwidoczniej wzmianka o Managui zaskoczyła go, ale obaj udawali, że nic się nie stało. To małe ostrzeżenie pomogło, gdyż antykwariusz stał się jakby rozmowniejszy.

- Mam niesprawdzone wiadomości, że jakieś dwa lata temu Felipe kręcił ze śpiewaczką Vera La Pampa. Chyba się z sobą przespali.

- Co to za jedna?
- Występuje w naszym mieście, w kasynie „Esplanada”.
- Rozumiem. Dziękuję i za to.

Lefranc opuszczał antykwariat z uczuciem ulgi. Wymęczył go ten stary. „Esplanada”? Vera La Pampa? Diabło mało, lecz trzeba tam zajść. Potem się zastanowi, co zrobić dalej.

Przeszłość człowieka... Camino długo się zastanawiał, od czego zacząć robotę. Siedział popijając wystygłą herbatę i przeglądając różne szpargały. Lubił kiedyś robić rozmaite notatki. Nosił te luźne kartki w kieszeniach, potem układał je w szufladach biurka. Były mu często pomocne w wielu sprawach. Camino był bowiem zdania, że jeżeli ktoś zaczął naruszać prawo, prędzej czy później powróci do tego procederu. I to się sprawdzało - jak obliczył - w dziewięćdziesięciu procentach.

Carreno... W związku z czym mógł pojawić się w polu widzenia policjanta? Handel narkotykami? Nie, to hurtownik, a oni w Santa Maria łapali od czasu do czasu tylko detalistów. Jeśli w ogóle łapali... Na razie znajdował w informacjach tylko drobiazgi. Szukał jednak wytrwale.

I Carreno jednak się pojawił... W czymś zeznaniu, że na Karaibach jest szefem kanału przemytu kokainy na północ. Ktoś wspomniał, że dawał dyspozycje wysyłkowe. Co jeszcze wiadomo o nim? Elegancki. Znakomite maniery. I nic konkretnego. Dlaczego budził taki strach wśród ludzi Syndykatu? Czy nie on właśnie usuwał niepotrzebnych? Sędziowie i egzekutor? Wielki Czyściciel?

I zapiski o dawno przebrzmiałych wydarzeniach. Byli jacyś ludzie, coś robili, została ta niepotrzebna już o nich wiedza. Znów Carreno. Obserwacja: żyje niezbyt dobrze z żoną. Zdradza ją, a ona jest wściekle zazdrosna. Camino przerzucił kilka kartek i znów natknął się na to nazwisko. Krótki zapis: ma dziecko z jakąś dziewczyną...

Camino przejrzał zawartość szuflady i stwierdził, że to już wszystko, czym dysponował. Tylko tyle. Nigdy przecież nie zajmował się Carreno jako obiektem dochodzeń. On pojawiał się tylko okazyjnie. Policji brakowało odwagi, aby dobrać się do tak wysoko postawionego faceta. Bali się Syndykatu, jego nie-małych wpływów. Komisarz Ruiz znał swoje miejsce i możliwości i pewnie dlatego trzyma się tak długo na tym stanowisku.

Zostawmy jednak stare czasy. Dziecko? Carreno i jego dziecko? Z kim? Notatki są sprzed kilku lat, więc dziecko już podrosło. Czy może być jakimś śladem? Dobry jest każdy punkt zaczepienia. Trzymajmy się więc dziecka. Jeśli przyszło na świat - musiało być gdzieś zarejestrowane. I zapewne je

ochrzczono. Czy matka podała nazwisko ojca?

Camino wyruszył na polowanie. Zajrzał do urzędu - miał tam znajomych z dawnych czasów - więc nie stawiano mu przeszkód w poszukiwaniach. Dzieci bez ojców od lat czterech do sześciu. O Felipe Carreno nawet nie pytał. Nie wyobrażał sobie, aby pozwolił wpisać siebie do rejestru. Gdy tak szperał w papierach, wpadły mu w oko znajome nazwiska. Gomez Avilla. To ojciec. Matka: Pilar Rincona. Avilla? Nazwisko to figurowało w jego notatkach. Zapisał, że mają córeczkę Marię. Jeszcze ówczesny adres...

Na ulicy Gołębiej coś się jednak przez te ostatnie lata zmieniło. Wielka handlowa firma wykupiła niewielkie domki - a w jednym z nich mieszkała wtedy Pilar Rincona z córką Marią - i wybudowała okazały supermarket. Na obszernym parkingu stało mnóstwo aut. Camino obszedł budynek i wypatrzył za nim niewielki, otoczony ogródkiem domek. W cieniu rozłożystego orzecha siedziała kobieta zajęta szyciem. Camino podszedł do płotu.

- Dzień dobry pani - powiedział z uśmiechem.
- Dzień dobry.
- Wróciłem po kilku latach z zagranicy i nie mogę poznać tego miejsca. Nie wierzę własnym oczom.
- Istotnie, wiele się tu zmieniło.
- Teraz jest uciążliwie, prawda? Tyle aut...
- Straszny hałas, proszę pana. Nie tylko w dzień, ale i nocą.
- To przykre. Zlikwidowano tyle ładnych domów.
- Chcieli kupić i nasz, ale się rozmyślili. A teraz już nie znajdzie się chętny.
- Miałem tu znajomych i nie wiem, gdzie ich szukać.
- Może kogoś znam? Mieszkam tu całe życie.



- Pilar Rincona z córeczką Marią.
- Przypominam sobie. Szczupła, ładna. Może krewna?
- Nie, to znajoma z pracy. I jeszcze pan Gomez Avilla.
- Nie znam. Chyba tu nie mieszkał.
- W takim razie musiała zająć pomyłkę. A jeśli chodzi o panią Rinconę, to rzeczywiście kłopot. Mam dla niej wiadomość.
- Mówiono, że mieszka w pobliżu portu.

A więc wszystko zaczynało się zgadzać. Pilar Rincona zmaterializowała się. Camino miał więc powody do zadowolenia. Koło portu? Trochę to mgliste. Camino zastanawiał się, czy powiedzieć o tym komisarzowi. Po namyśle postanowił ujawnić tylko Gomeza Avillę. Niech go rozpracują, będzie miał go z głowy i skoncentruje się tylko na dziewczynie. Podszedł do najbliższego automatu i zadzwonił na policję. Usłyszał głos komisarza:

- I co zwojowałeś, Rudolfo?
- Zaczyna rysować się interesujący trop.
- Cieszę się.
- Czy mówi ci coś nazwisko Gomez Avilla?
- Muszę się zastanowić.
- Pomyśl, pomyśl...
- Przebadamy faceta.
- Dzięki, Vincente. Wkrótce się odezwę.

Trzeba kuć żelazo, póki gorące, więc Camino, zadowolony z rezultatów pierwszych zabiegów, pomaszzerował w kierunku portu. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że zaraz po rozmowie z nim starsza kobieta siedząca pod orzechem i wyglądająca na taką, która lubi pogawędzić, poszła do telefonu wykręciła numer i powiedziała do słuchawki:

- Pytał się taki jeden.
- Kto?

- Wyglądał na glinę. Stary, siwy, łysy.
- I co?
- Znał nazwiska i imiona. Będzie teraz węszyć koło portu.
- W porządku. Dziękuję.

Przyjacielskie sentymenty Adolfo Lopeza jakoś nie wygasły i w niedługim czasie znowu się pojawił. Przydzwigał wielką butlę wina i wołał już od progu:

- Frederico, mam wyborne wino! Niebo w gębie!
- Gdzie kupiłeś?
- Mam przyjaciela w Tumaco, oni tam tłoczą winogrona.
- Czy to czasem nie tegoroczny cienkusz?
- Człowieku! Ten facet dostarcza mi tylko dojrzałe trunki.

Spróbuj.

- Za chwilę się napijemy.
- Pomyślałem sobie, że muszę wpaść do starego przyjaciela, pogadać o dawnych, dobrych czasach. Żyjesz przecież samotnie.
- Przyzwyczailem się, Alfredo.
- Tylko praca i praca...
- Każdy ma jakieś obowiązki.

Cazalla pilnował się, aby o swoich obowiązkach raczej nie mówić. Lopez jednak zdawał się ślizgać po różnych tematach, nie zatrzymując się na żadnym. Czyli nic groźnego. Toteż Cazalla nie meldował nikomu o tym kontakcie, chociaż miał taki obowiązek. Mówiono mu: nawet jeśli zaczepi cię na ulicy kurwa, też melduj. Nigdy bowiem nic nie wiadomo... A tu... Ot, zwyczajne spotkanie. Pogadali sobie i co się stało? Nic. Tamtego zaś nie ciekawiły służbowe sprawy Cazalli. Nie zająknął się o nich ani słówkiem. W jego monotonnym życiu, a takie teraz

prowadził, było to jakieś urozmaicenie. Usiadł więc do stołu. Lopez nalał wina do kubków. Wypili po dużym łyku.

- I co, Federico?

- Dobre!

- Prawda? Posmakuj, a dopiero wtedy docenisz zalety.

- Zapewne z dobrego roku.

- Pięć lat. Nie wiem, czy pamiętasz, ale warunki były wtedy dla winorośli wyjątkowo korzystne.

- Widzę, że znasz się na winie, Alfredo.

- Co nam, człowieku, pozostało? Pracujemy, zdzieramy zdrowie i albo dostaniesz w łeb w jakimś ciemnym kącie, albo przeżyjesz. Wyrzucą cię potem jak stary śmieć. Nie jest tak?

- To prawda.

- Napijmy się, Federico. Nie ma nic lepszego niż gawęda z przyjacielem przy dobrym winie. Te chciwe forszy młodziaki nie znają prawdziwych uciech. Gdyby tak jeszcze kobieta...

- Masz może jaką?

- W naszym fachu nie można trzymać się jednej. Owszem, przychodzi do mnie pewna panienska.

- Dobra?

- Fantastyczna! Ciało ma jędrne, młode, jeszcze nie rodziła, więc wszystko ma na swoim miejscu. Wiesz co? Wpadnij kiedyś, odstąpię ci ją.

- A ona by chciała?

- Zrobi wszystko, co jej każę.

- Może to i dobry pomysł...

Ciarki przeszły go na samą myśl. Jędrne ciało... Kobieta... Rzeczywiście, czy trzeba się wyrzekać świata i ludzi? Praca pracą, lecz czasem mógłby mieć kobietę. Te myśli rozkojarzyły go, a Lopez, jakby wyczuwając sytuację, dolewał jeszcze oliwy do ognia.

- Wygoda, człowieku. Aby się czasem przespać z babą, nie musisz się zaraz żenić. Po co sobie brać na kark jakieś zobowiązania? A ile przyjemności... Zawołasz, przyjdzie, odstawi ci rozbieraną, z ciebie też zdejmie ubranie, podnieci. A potem jedziesz, ile chcesz.

- Alfredo, ona tylko z tobą, czy w ogóle?

- To nie jest zawodowa kurewka. Pewnie, trzeba jej coś dać na łaszki, ale ona nie lata po ulicy.

- I mówisz, że przyszłaby?

- Jasne. Kiedy tylko zechcesz.

- A jakby tak w sobotę wieczorem?

- Chcesz w niedzielę po niej odpocząć? Dobrze pomyślane.

- I żeby na całą noc.

- Ma się rozumieć. Zobaczysz, nie będziesz chciał jej puścić.

- A tobie to nie przeszkadza?

- Skąd! Wszystko dla przyjaciela. A zresztą, jej nie ubędzie. Przecież to nie żona. Na razie się nią podzielimy, a potem znajdziemy ci coś innego. Nic się nie martw, Frederico. Przygotuj się na sobotę, człowieku. No, jakieś picie, jedzenie...

Cazalla tak się przejął tym planowanym spotkaniem, iż nie zwrócił uwagi na wielkie zadowolenie Lopeza. Przyjaciel po prostu promieniał. Było jednak tak sympatycznie, że drobiazgi nie mogły się liczyć. Jedynym zmartwieniem była zmniejszająca się szybko zawartość butli.

Elegancik spał dosyć długo, potem mył się i szykował do wyjścia. Parę razy pojawiał się na balkonie bez koszuli. Wreszcie, gdy był już gotów, wyruszył do miasta. Obserwował go Kuba. Przeszli uliczkami starej dzielnicy. Miał tu wielu

znajomych, gdyż przystawał to przy przekupniach, to przy sterujących na rogach młodzieńcach. Rozmawiał chwilę, czasem wypalał papierosa i szedł dalej. Trochę dłużej zatrzymał się w ogrodowej kawiarence, gdzie coś pił. Szli przez miasto, kryjąc się po zacienionej stronie, aż doszli do mało ruchliwej ulicy. Domy w ogródkach od ulicy dzieliły ogrodzenia. Tu obserwacja była utrudniona, Kuba bowiem musiał trzymać się z daleka. Simon wszedł do piętrowego budynku. Tablica przy bramie informowała, że mieści się tu firma importowo-eksportowa „Owoce Południa”.

Elegancik siedział tam z pół godziny. Wyszedł stamtąd jeszcze weselszy. Czyżby dokonał udanej transakcji? Nie wyglądał na faceta od poważniejszych interesów. Teraz znów wyciągnął Kubę do miasta. Dotarli do „Inter-Clubu”. Kręcili się tu ludzie rozmaitych ras, a sam lokal zdawał się pękać od łomotu muzyki. Najwidoczniej życie klubowe rozkręcało się.

Koło drzwi stał barczysty Murzyn. Bacznie obserwował wchodzących, lecz nikogo nie zaczepiał. Dalej była salka ciemna od tytoniowego dymu i zapchana ludźmi. Panował tu straszny gwar. Simon zniknął w tym kłębowisku, tak że Kuba miał kłopoty z odszukaniem go. Przedarł się wreszcie do bufetu, kupił szklankę wina i udając, że szuka wolnego miejsca, rozglądał się po dwóch restauracyjnych salach. Szybko spostrzegł, że - wbrew pierwszemu wrażeniu - panował tu swoisty porządek. W poszczególnych kątach gromadzili się podobni sobie ludzie. Byli więc spracowani robotnicy portowi, osobno raczyli się winem i mocniejszymi trunkami marynarze, opijali tu swe drobne interesiki handlarze, a wszędzie snuły się typy podobne do Simona.

Elegancik odnalazł się wreszcie w sali bilardowej. Rozsiadł się na krześle i głośno kibicował szczupłemu Mulatowi. Tamten

był zajęty grą. Po jakimś czasie Kuba zauważył jakichś facetów. Byli wśród nich nawet dwaj znani mu z widzenia hipisi. Podchodzili kolejno do elegancika i coś sobie przekazywali z ręki do ręki. Narkotyki? Pewnie drobny handelek. Zapamiętał tych hipisów i postanowił wziąć ich potem na spytki. A Simon promieniał. Wypił trochę wina, pograł kilkanaście minut w bilard, porozmawiał z jakimiś ludźmi i wreszcie ruszył do wyjścia. Zjadł posiłek w ulicznym barze - Kubie też ciekła ślinka, ale nie chciał się zbliżyć - i poszedł w głąb starej dzielnicy. W jednym z domów siedziała w oknie kobieta. Elegancik pomachał ręką, ona mu coś odpowiedziała. Simon skręcił w bramę. A więc po „pracy” przyszedł czas na uciechy? Kuba postać jeszcze trochę, a po chwili zrezygnował z dalszej obserwacji. Był zmęczony i głodny. Poszedł więc do najbliższego baru, a stamtąd skierował się do szopy hipisów.

Kuba miał trochę szczęścia, gdyż Martin był jeszcze w stanie nadającym się do rozmowy. Kuba przez cały czas wspólnego bytowania wiedział, jak zżera go nałóg. Młody, a już bardzo zniszczony chłopak... Trudno było sobie wyobrazić, że się z tego podniesie. Raczej umrze powolną, okrutną śmiercią. Przyśiadł się do Martina i spytał z pogodnym uśmiechem:

- Jak leci, stary?
- W porządku. A co u ciebie?
- Chciałem coś zdobyć, bo mi się skończył zapas, ale nie wiem, gdzie się tu obrócić. Boję się glin.
- Człowieku! To żaden problem.
- Gdzie kupujesz? Poradź mi.
- Niedaleko portu jest lokal, który się nazywa „Inter-Club”. Tam załatwisz, ile chcesz. W sali bilardowej siedzi pewien facet.

- Opisz go, abym nie pomylił go z innym.  
- On jest dość charakterystyczny. Poznasz go od razu. To była prawda. Simon... Jakby na niego patrzył. A więc jednak... Czyli handluje wszystkim, co tylko można sprzedać. Miał więc co referować inspektorowi. Gdy Kuba opowiadał o swej wędrówce, inspektor obejrzał tę drogę na planie miasta. Zaznaczył też położenie firmy „Owoce Południa”.

- Nie ulega wątpliwości, że jest to obiekt Syndykatu.

- A gdyby tam zajrzeć? Takie małe włamanko.

Pomysł wzbudził zainteresowanie. Siedzieli w ciasnej kajucie. George, który widział ze swego miejsca kawałek pomostu i burtę jachtu, był jakby ubezpieczeniem, inni pochylali się nad planem miasta i wymieniali uwagi.

- Skoczyć nocą...

- Narzędzia są.

- Tu trzeba bezszmerowo.

- Z tyłu ogród, da się skrycie podejść.

- A jeśli są psy?

- Otrujesz je tym swoim żarciem.

- Panowie, najpierw rozpoznanie.

- Co oni tam mogą mieć? Prochy?

- Okaze się na miejscu.

Gdy Lefranc wyprostował się, ucichli wiedząc, że podjął decyzję. I rzeczywiście...

- Robimy ten obiekt, chłopcy. Malarz i Jean przeprowadzą rozpoznanie. George przypilnuje jachtu i łączności, a ty, Kuba, posłuchaj jeszcze, co się dzieje u antykwariusza.

- Jasne. Co z elegancikiem?

- Zajmiemy się nim później.

- Nawet mam na niego pomysł, Oliver. Nakryjemy go jako gliny, za prochy. Nie będzie przecież wiedział, że to lipa. Zobaczymy, co się da z niego wycisnąć.

- Pan za dużo ode mnie oczekuje, panie Pasco. Jestem tylko antykwariuszem. Kupuję i sprzedaję stare książki.

- Tak, tak... Widzę przecież, że tu pełno szpargałów.

- Czasem trafiają się wyjątkowe egzemplarze.

- Zapewne przychodzi tu sporo ludzi.

- Interes idzie niezbyt dobrze, panie Pasco.

- Zawsze jednak ktoś zajrzy.

- Oczywiście.

- Mówicie o książkach, ale chyba nie tylko...

- Czasami trafiają się bardzo inteligentni ludzie.

- Miewasz więc różne wiadomości.

- Raczej nie...

- W mieście natomiast mówią, że Alfonso Goias jest najlepiej poinformowanym człowiekiem w Santa Maria.

- Ludzie jak zwykle przesadzają.

- W każdej gadce tkwi jakieś ziarenko prawdy.

Goias denerwował się nie na żarty. Wiedział doskonale, kim jest Augustino Pasco. Tymczasem ten pomocnik głównego szefa zwał się nagle do antykwariatu i zaczął te dziwne rozmówki. Na książki oczywiście nawet nie spojrzął. Zresztą Goias nawet przez moment nie podejrzewał go o takie zainteresowania. To rewolwerowiec. Profesję miał wypisaną na gębie. Teraz tkwił na krześle, rozsunał bez ceremonii książki, oparł się rękami o stół i ćmił cygaro, gęsto pykając dymem. Goias zerknął przez okno - po chodniku spacerował dobrze zbudowany młodzian - i usiłował odgadnąć cel tej wizyty. Czyżby ktoś wpadł na trop tego sympatycznego - i, co najważniejsze, nieźle płacącego - pana Jourdouina? Ludzie Syndykatu nie żartują. Wprawdzie tamten człowiek absolutnie nie wyglądał na archeologa, tylko na twardziela, lecz każdy ma jakąś granicę wytrzymałości. Szkoda, że wysłany za tym człowiekiem chłopak - Goias



stosował czasem taką metodę - zgubił pana Jourdouina. Pytanie: czy obserwator dał się kiwnąć? W takim razie archeolog jest cwaniakiem. A Pasco gadał tak ogólnikowo, iż trudno było się zorientować w jego prawdziwych zamiarach. Najbardziej zaś niepokoiła go ta jowialność, bliska serdeczności. Nagły przyjaciel? Dlaczego?

- I co z tymi wiadomościami?
- Każdy coś słyszy, ale co jest prawdą?
- Powiedz mi więc, co słyszałeś ostatnio.
- Nic godnego uwagi.
- Słuchaj, Alfonso. Mieszkasz już tu długo, prawda?
- No, minęło trochę lat.
- Zapewne więc znałeś faceta o nazwisku Felipe Carreno?
- Niech chwilę pomyślę...

Ale urodzaj na ciekawych... Co chwila ktoś pyta o Felipe. Najgorzej, że od tego ciekawskiego nie wydebi ani grosza. Jourdouin płacił, a Pasco da najwyżej po łbie. A nie powiedzieć? Kto wie, jak ten zbir się zachowa? On przecież niszczy ludzi jak muchy.

- No? Myśl trochę szybciej.
- Carreno... Tak, pamiętam go, ale to było dawno.,
- I co pamiętasz?
- To zależy, w czym rzecz.
- Na przykład kobiety, upodobania, meliny, ludzie...

Wszystko.

- Byłem daleko od niego.
- Ale jednak rusz głową.
- Kobiety? Miał jedną, Francuzkę, nazywała się Antoinette.

Modelka.

- Bywali gdzieś razem?
- W lesie na północ od miasta jest zajazd „Gościnnny Serge”. On tam się lubił bawić.

- Widzisz, Alfonso. Tylko ruszyłeś głową, a jakie mamy rezultaty? Nie mam teraz czasu, ale jeszcze wpadnę. A ty myśl. Może jakiś adresik?

- Adresik? Mówiono wprawdzie o willi na Papuzich Wzgórzach, ale ona jest zapisana na kogoś innego. On tam przesadywał.

Goias mówił to wszystko z wielkim bólem serca. Obiecywał sobie wydębić od pana Jourdouina nieco grosza, a tymczasem musiał się zadowolić tylko uśmiechami tego draba. Bał się go jednak bardzo i dlatego uległ. Niech się udławi, sukinsyn!

- Bywaj, Alfonso. Przyjemnie się z tobą gadało.

- Mnie też. Żegnam.

Kuba zaś zdjął słuchawki i pomyślał z wielkim zadowoleniem, że oto ma nowe tropy. Stale napływają informacje...

Było to szukanie igły w stogu siana. Dzielnica portowa to mnóstwo budynków i mrowie ludzi. Gdzieś w tym gąszczu tkwiła Pilar Rincona z córeczką. Gdyby chociaż miał zdjęcie... No i pewność, że chodzi o właściwą osobę. Być może idzie fałszywym śladem, lecz to okaże się dopiero na końcu. Policjant musi być cierpliwy. A jeśli chodzi o ludzkie mrowie... Najlepiej zacząć od dziecka...

Możliwości zabawy było w tej dzielnicy bardzo niewiele. Dzieciaki gromadziły się na najmniejszych skrawkach zieleni. Camino zaopatrzył się w cukierki i siadywał przy tych mizernych zieleńcach. Ot, odpoczywający staruszek... Obserwował z dobrodusznym uśmiechem dziecięce igraszki, od czasu do czasu zagadywał którąś z dziewczynek, jak ma na imię, dawał jej cukierka, głąskał po główce i odprawiał. Ciągłe nie była to Maria Avilla lub Rincona. Nagabywane dzieci nic nie wiedziały.

Czas mijał, jednak Camino nie tracił cierpliwości. Odchodził trochę dalej i zaczynał wszystko od początku.

Ten młody człowiek pojawił się na kolejnym podwórku. Wysoki, wypuszczona na spodnie kwiecista koszula. Oparł się niedbale o mur i udawał, że czyta gazetę. Camino był za starym wygą, aby nie odróżnić człowieka rzeczywiście zaczytanego od obserwatora. Potem, gdy Camino skończył rozmowę z dziećmi i wyszedł na ulicę, tamten zbliżył się do rozbawionej gromadki. Camino widział to, ukryty w bramie. Nie martwił się jednak. Napad w biały dzień jest mało prawdopodobny, a obecność tamtego dowodziła, iż trop jest prawdziwy.

Na następnym podwórku dzieci też nic nie wiedziały. „Ogon” gdzieś zniknął. Gdy Camino wszedł z jaskrawego słońca w ciemność bramy, nie od razu zauważył dwie postacie wyskakujące z bocznego korytarza. Dopiero gdy znaleźli się przy nim... Gdyby nawet miał broń, i tak nie zdążyłby jej użyć, gdyż rzucili się na niego z nożami. Padł, charcząc i spływając krwią. Jeden z nich pochylił się nad leżącym i dla pewności pchnął go nożem w serce. Wyskoczyli szybko na ulicę i odjechali czekającą półcieżarówką.

Meldunek o morderstwie zrazu nie wzbudził należytego zainteresowania komisarza. Oto w bramie jednego z domów w portowej dzielnicy znaleziono trupa mężczyzny, zadźganego nożem. Policjanci z posterunku nie potrafili go zidentyfikować. Komisarz Ruiz wrzucił ramionami. Zwłoki bez dokumentów? Nożownictwo? Rzecz w tamtej dzielnicy powszechna. Wiadomo: obieżyświaty, narkomani, prostytutki, złodziejaszki, włóczęgi, lumpy z piekła rodem... Tak właśnie załatwiano wiele porachunków. Odesłał więc meldunek do odpowiedniego

pracownika, umieszczając na nim krótkie polecenie: „wyjaśnić i zameldować”. I zaraz o tej sprawie zapomniał na całe dwadzieścia cztery godziny. Po upływie bowiem takiego czasu zgłosił się do komisarza szef sekcji zabójstw. Był zafrasowany.

- Nie wiem, jak potraktować ten przypadek. Niby nasz człowiek, ale już na emeryturze.

- Policjant jest zawsze policjantem. O kogo chodzi?

- Zadżgano nożem pana Rudolfo Camino, komisarzu.

- Jak to się stało?!

- Dopadli go w bramie domu. Trzy ciosy nożem, śmiertelne.

- Alarm w sekcji! Wszyscy do akcji! Dodam wam wywiadowców, ale muszę dostać sprawcę! Zrozumiałeś?!

Ruiz wypadł z gabinetu. Po chwili w komisariacie wrzało. Podwładni jeszcze go takim nie widzieli. On zaś organizował wielką akcję. W krótkim czasie trzy policyjne samochody pognały ku portowej dzielnicy. W pierwszym siedział komisarz. Z wielkim trudem powstrzymał się od włączenia syreny. Nie chciał robić sensacji.

Zatrzymali się przy fatalnym domu. Komisarz wszedł do bramy i stanął przy nieco już zatartym zarysie ciała. Wydawało mu się, że widzi jeszcze plamy krwi. Nie mógł oswoić się ze śmiercią Camino. Ze śmiercią policjanta... Oto dał mu szansę zgonu na służbie. A mógł jeszcze pożyć, cieszyć się swobodą, a tymczasem... I o co tu chodzi, Rudolfo? Jaki trop doprowadził cię do tej bramy? Policjant musiałby meldować o kolejnych etapach poszukiwań i ustaleniach, a wolny strzelec nie miał takiego obowiązku. Ludzie stali nieruchomo. Komisarz ocknął się wreszcie.

- Co jest, do diabła?!

- Czekamy na rozkazy, panie komisarzu.

- Rozkazy? Trzeba przeczesać okolicę, dokładnie, dom po domu. Ludzie zawsze zostawiają jakieś ślady. Pytać wszystkich, czy czegoś nie widzieli, czy coś wzbudziło ich zainteresowanie. Zginął nasz były kolega i musimy za wszelką cenę znaleźć mordercę.

- Jasne. Ruszamy, chłopaki...

Ot i masz, stary durniu, skautowskie zabawy i podchody. Z Syndykatem trzeba poważnie, albo wcale... Carreno... Zwierzę ma mocne, jak się okazuje, kły. Kłapnął nimi i oto jest trup. Czyli gra idzie na całego. Ale jaka gra? Kto do niej zasiadł? Kto ma przewagę? Odpowiedzi na te pytania były niesłychanie ważne dla komisarza tutejszej policji. Ale kto mu ich udzielił? I wtedy w mózgu zapaliła się lampka: Gomez Avilla... Nieboszcyk Camino mówił o nim.

Komisarz wszedł do samochodu i kazał się zawieźć do komendy policji. Tam od razu postawił na nogi ludzi, z komórki ewidencji: natychmiast wszystko o tym człowieku! Sam usiadł w fotelu, zapalił cygaro i czekał. Zastanawiał się, kogo użyć tym razem. Badać sprawę osobiście? Były tu pewne niedogodności. Trzeba bowiem ruszyć w miasto, zagłębić się w rozmaite zaułki, szukać, przepytawać. To nie robota dla szefa. Wreszcie doczekał się informacji. Człowiek z ewidencji przyniósł małą kartkę.

- Mało o nim wiemy, panie komisarzu.

- Mało? Co to znaczy?

- Gomez Avilla pochodzi z okolic Miraflores. W Santa Maria pojawił się sześć lat temu. Podejrzany o związki z Syndykatem, jednak nigdy nie prowadzono przeciw niemu żadnego dochodzenia. Nie był zatrzymywany.

- Dlaczego więc figuruje w ewidencji?

- Mam tu wzmiankę, że jego nazwisko podał nasz agent: Gomez Avilla, współpracujący z Felipe Carreno.

- Jak powiedziałaś? Carreno?
- Tak jest, panie komisarzu. Felipe Carreno.
- Co jeszcze?
- Nie ma nic więcej.
- Pytam o adres.
- Mulnicza sześć.
- Z jakiego okresu są te dane?
- Sprzed pięciu lat.
- Dobrze. Możesz odejść.

Sprzed pięciu lat... Mógł od tamtej pory przeprowadzić się dziesięć razy. Ale... To właściwie niezbyt daleko od miejsca, gdzie zginął Camino. Czyżby był na właściwym tropie? A więc trzeba szukać teraz odpowiedniego do tej akcji człowieka.

Lefranc wynajął taksówkę i kazał się zawieźć do „Esplanady”. W obszernym, rześście oświetlonym hallu zobaczył Jeana i George'a. Obaj byli ubrani w galowe uniformy żeglarzy. Rozglądali się teraz, szukając odpowiedniego miejsca. Mieli ubezpieczać inspektora. Lefranc zaś poszedł do baru, zajął wysoki stółek i zamówił lekkiego drinka. Dobrze widział siedzących przy stoliku kolegów. Zdawali się być całkowicie pochłonięci studiowaniem karty dań i rozmową z kelnerami. Ktoś mógłby pomyśleć, że przyszli tu na ucztę... Funkcjonariusze podczas wykonywania zadania - jeśli już w ogóle muszą - powinni jeść potrawy zwyczajne, a i to nie za często... To był temat stałych żartów wśród grup operacyjnych.

Po drugim drinku, gdy zaczął zastanawiać się nad jakąś kolicją, nagle przyćmiono światła na sali, a ostre promienie reflektorów skierowano na małą estradę. Orkiestra zagrała

przebój sezonu. Pojawiła się wokalistka. Lefranc przyglądał się jej chwilę, potem skinął na barmana.

- Jak się nazywa ta pani?
- Vera La Pampa, proszę pana.
- Ona tu stale śpiewa?
- Tak, proszę pana.
- Ładna dziewczyna.
- Wszyscy ją tu podziwiają, proszę pana.

Chyba tylko za urodę, pomyślał, gdyż głos niezbyt mu się podobał. Ale prezentowała się znakomicie. Lefranc dopił drinka i zbliżył się do estrady. Stało tam już kilku fanów, wpatrzonych z nabożeństwem w śpiewaczkę. Oklaskiwali gorąco każdą piosenkę.

Światła znów rozbłysły, piosenkarka wycofała się za kotarę, a mężczyźni ponownie przyłgnęli do baru. Lefranc nie poszedł za ich przykładem, lecz wypatrzył, że drzwi prowadzące za kulisy są strzeżone przez umundurowanego woźnego. Wyciągnął więc papierosa, poklepał się po kieszeniach, jakby daremnie szukając zapalniczki, powiódł wokół roztargnionym wzrokiem i podszedł do woźnego.

- Ma pan ogień?
- Służę szanownemu panu.
- Proszę też zapalić.
- Na służbie nam nie wolno. Szef się gniewa.
- Macie takie surowe zwyczaje?
- Szef powiada, że musi być dyscyplina.
- To godne pochwały.
- Za to nam płacą, proszę pana.
- Czy można wejść za kulisy?
- Artyści muszą mieć spokój, proszę pana.
- Ale chyba do tak pięknej kobiety zbiegają się adoratorzy?

- Owszem. Przynoszą też kwiaty.  
- A bileciki?  
- Również. Jakże bez bilecików, proszę pana?  
- Mam właśnie zamiar taki napisać. Będzie go można po-  
dać?

- Właściwie to zabronione.
- Nie chcę nic za darmo, dobry człowieku.
- Jeśli szanowny pan prosi...

Myśl o bileciku przyszła Lefrancowi do głowy w czasie rozmowy z woźnym. Bo, jak inaczej skontaktować się z Verą La Pampa? A porozmawiać musi, zwłaszcza o starych, dobrych czasach. Inspektor napisał więc, że prosi o spotkanie w bardzo ważnej sprawie. Nie używa tego sposobu, by zwabić ją na randkę - chociaż jest nią zachwycony - ale prosi, by nie odmówiła jego prośbie. I podpis: Leon Jourdouin. Z góry pokornie podziękował za zgodę. Woźny zaś przyjął pieniądze i zniknął. Po kilkunastu minutach pojawił się ponownie.

- Odpowiedzi nie będzie, proszę pana.
- W ogóle?
- Dziś. Pani się zastanowi. Proszę przyjść jutro.
- Niech i tak będzie.

Lefranc był doświadczonym człowiekiem, stwierdził więc rychło, że jest obserwowany. Ciągłe zjawiał mu się w polu widzenia pewien młodzieniec, do którego niezbyt pasował obowiązujący w kasynie elegancki strój. I nie zachowywał się jak zwykły gość. Sterczał w jednym miejscu, ćmił papierosy. Lefranc poprowadził go za sobą po całej sali kasyna i wtedy upewnił się ostatecznie - to był „ogon”. Przesunął się więc parę razy koło stolika swoich „żeglarzy”, dając im umówiony znak, że jest obserwowany. Dostrzegł, iż chłopcy od razu pojęli w czym rzecz.



Teraz trzeba było stąd wyjść i jakoś zgubić tego zucha. Zamarudził więc w hallu, a kiedy pojawili się Jean i George, poszedł do toalety. Młody człowiek ruszył za nim. W pięć minut później Lefranc pojawił się w drzwiach. „Żeglarze” ruszyli do środka i zderzyli się z młodzieńcem. Potrącony Jean zagroził mu drogę i wybuchnął:

- Nie masz oczu, gnojku?!
- A ty jak leziesz?!
- Co? Jeszcze pyskujesz?!
- Zejdź mi z drogi!

Jean chwycił go za kłapy białej marynarki i pchnął w głąb toalety. George zamknął drzwi i ubezpieczał tyły.

- No co? Chcesz w morde, przyjemniaczku? - spytał Jean, chwytając chłopaka za ramiona.

- Puść...
- Najpierw powiesz: przepraszam pana.
- Ja ci...
- Przepróż, bo skuję ci morde!
- Przecież nie chciałem...
- Gównu mi z tego, gdy rąbnąłeś mnie drzwiami!
- Nie chciałem.
- Możliwe, ale bądź dobrze wychowany i przeproś.
- Przepraszam pana. Nie chciałem...
- Trzeba było tak od razu. Po co się stawiałeś?
- Nie pomyślałem.

Rozmowa toczyła się już spokojnie, lecz Jean nadal nie puszczał młodzieńca. Szarpnął nim tak mocno, że naderwał kłapę marynarki. Jean westchnął z głębokim żalem.

- Teraz ja cię muszę, przeprosić, przyjacielu.
- Ale marynarka...
- Chyba słyszałeś, że cię przepraszam.
- Puść!

Jean zerknął na kolegę, ten skinął nieznacznie głową: wystarczy... Jean puścił więc młodzieńca i powiedział wesoło:

- Wiesz co? Postawię ci na zgodę drinka.
- Idź do diabła!
- Znów jesteś niegrzeczny.
- Chłopaki, dajcie mi spokój.
- Pierre, możesz mu odpuścić?
- Niech sobie idzie, Angeli. To w gruncie rzeczy dobry chłopak.
- Ja też nie mam do nikogo pretensji.
- A więc cześć, przyjacielu.

Oczywiście, Lefranc już zniknął. Oni też wracali na jacht, bacznie sprawdzając, czy są obserwowani. Nic jednak na to nie wskazywało. Oczywiście nie mogli wiedzieć, że szef kasyna, Paulo Comez, zbił po twarzy niefortunnego młodzieńca za wypuszczenie spod obserwacji człowieka, który napisał bilecik do Very La Pampa. Comez miał zasadę sprawdzania takich adoratorów. Jeśli ma na nią chrapkę Jose Predrera, inni muszą pójść precz. Młodzieniec zniósł z rezygnacją wybuch gniewu szefa, nawet nie wspominając o zdarzeniu w toalecie.

Lefranc miał trochę kłopotów. Iść znów do kasyna? Obserwują. A jak jeszcze można się skontaktować ze śpiewaczką? Może pójść do jej domu? Trzeba jednak najpierw ustalić, gdzie mieszka i zorientować się w stylu jej życia. Swoją drogą, dziewczyna jest ostrożna. Czym ją wywabić z ukrycia? Na co zareaguje?

„Do szefa operacji «Złote runo».

Potrzebuję czegoś mocnego na Verę. Więcej argumentów. Może macie jakiś smaczny kąsek?

Leon”.

Miała też nad czym rozmyślać Vera La Pampa. Liścik od tajemniczego pana Jourdouina - nigdy nie słyszała tego nazwiska - trochę ją zaskoczył. Nie było w nim zwykłych - do których była przyzwyczajona - zachwyków nad jej urodą czy talentem, lecz jakaś ważna sprawa. Czyżby odezwał się Felipe? Zaraz jednak odrzuciła ten pomysł. On by nie przyszedł do kasyna wyczekiwać na odpowiedź. Nie, nie on raczej dałby znać przez fryzjerkę. Więc kto to? Nie jest to też oferta jakiegoś kontraktu. Impresario odezwałby się inaczej. Postanowiła więc zostawić sobie jeden dzień do namysłu. Potem się zastanowi, co zrobić. I jeszcze coś... Wprawdzie nikt nie ma do niej żadnych spraw, ale niepokoił ją Jose Predrera. Jego zachłanny wzrok... Jakby ją kupił na własność. Trzeba jednak uważać ze znajomościami, gdyż w mieście szeptano o tym człowieku rozmaite rzeczy.

„Do Leona

Nie mamy nic na Verę, oprócz przekazanej już informacji. Musicie sobie jakoś poradzić.

Szef operacji «Złote runo»”.

## IV

Na akcję wyruszyli wszyscy, całą piątką. Ubrania lekkie, ciemne, obuwie miękkie, i ciche. Broń pobrali na jachcie. Malarz był specjalistą od samochodów i zorganizował półciężarówkę. Wynajął ją od jakiegoś przewoźnika, podając mu oczywiście fałszywe nazwisko. W portowej dzielnicy dołączył do nich Kuba, potem pojechali do przystani jachtowej. Była głęboka noc, gdy skierowali się ku firmie „Owoce Południa”. Siędzili w wozie w milczeniu. Zadanie było przecież jasne i proste. U stóp George'a leżała torba z narzędziami, których by się nie powstydził nawet wytrawny włamywacz. Starali się pamiętać, że Lefranc zapowiedział, iż za wszelką cenę powinni unikać hałasu.

Nie dojeżdżając do obiektu, skręcili w wąską uliczkę i zatrzymali się prawie na tyłach budynku. Panowała tu cisza i spokój. Ludzie spali. Oczekali jakiś czas, bacząc, czy hałas silnika nie ściągnął kogoś niepowołanego, potem wyskoczyli z wozu. Mieli do pokonania dość wysokie ogrodzenie z metalowych prętów. Wspięli się na nie i zeskoczyli w krzaki. Przed nimi rysowała się ciemna bryła budynku. Z rozpoznania wiedzieli, że od frontu pali się w jednym oknie światło. Trudno jednak było się zorientować w sile ochrony.

Przesuwali się powoli coraz bliżej. Najtrudniejsza do pokonania była pusta przestrzeń od ostatnich drzew do samego domu.

Noc była wprawdzie ciemna, ale ryzyko istniało. Lefranc, dotykając kolejno rąk swoich kolegów, wysłał ich pojedynczo pod budynek. Przesuwali się wolno, na czworakach, przy samym murze. Jako ostatni dołączył inspektor.

Przyjrzeni się uważnie obiektowi i odkryli małe piwniczne okienko. Budynek miał z tej strony dwoje drzwi i obszerny taras. Lefranc po namyśle wybrał okienko. Teraz przystąpił do roboty George. Namacał śruby przy prętach krat, odkręcił je zwilżając oliwą, aby nie skrzypiały. Następnie pchnął ramę i okazało się wtedy, że okno nie było zamknięte.

Po kolei wciskali się do zagraconej piwnicy, oświetlając ją krótkimi błyskami latarek, aby przejść bez hałasu do drzwi. Tu stawiał im opór zamek, lecz George uporał się z nim błyskawicznie. Sprawdzili inne piwniczne pomieszczenia, ale nie znaleźli nic ciekawego. Lefranc dał znak i poczęli skradać się po schodach. Oczywiście drzwi też były zamknięte. George musiał popracować wytrychem. Odskoczyły wreszcie...

- Malarz i Jean, wartownik...

- Idziemy.

Byli w bocznym korytarzu, więc przesunęli się teraz ku środkowi budynku. Klatka schodowa... Dalej wydarzenia potoczyły się niezwykle szybko. Oto nagle otwarły się drzwi tuż koło przedsionka i w pełnym świetle ukazał się mężczyzna w koszuli. Nacisnął kontakt i w całym korytarzu zrobiło się jasno. Mężczyzna oniemiał, widząc przed sobą ciemne postacie. Jean skoczył do przodu i podsunął mu pod nos pistolet. Człowiek mrugał oczami i oddychał szybko, jak po biegu. Malarz minął go i wpadł do pomieszczenia ochrony.

- Łapy w górę! - krzyknął.

- Co jest...

- Zamknij się i do ściany!
- Kuba, pomóż.

Drugi ze strażników, z rozłożonymi rękami, stał oparty o ścianę. Malarz kopnięciem rozsunał mu nogi, a następnie obmacał. Na stole leżały pistolet i dubeltówka z uciętą lufą. Tymczasem wepchnięto tego z korytarza. Lefranc stanął przed nim.

- Klucze.
- W szafce na ścianie.
- Ilu was jest?
- Dwóch, panie.
- Kiedy zmiana?
- Rano.
- Jeśli chcesz żyć, mów prawdę.
- Przysięgam na Boga, że jest tak, jak mówię.
- Dobra, przekonamy się.
- Zobacz pan, że nie skłamałem.

Skrępowano ich sprawnie i zakneblowano oraz przywiązano z dala od siebie, aby nie mogli sobie pomóc. Tymczasem Lefranc otworzył szafkę i wyjął ponumerowane klucze. Nie zapalając światła, zaczęli sprawdzać pokoje. Były urządzone jak biurowe - biurka, szafki, trochę papierów - nic ciekawego. I wreszcie masywne drzwi. Okute. Dwa zamki. Nie było do nich kluczy. Lefranc obrócił się ku Jeanowi.

- Odetkaj któremuś gębę i spytaj, co tu jest.
- Dobra.

Czekali chwilę na powrót Jeana. Był zdyszany, gdyż bardzo się spieszył.

- To jest magazyn prochów, klucze ma tylko magazynier.
- George, dasz radę?
- Spróbuję.

- No to zabieraj się do roboty. Kuba i Jean, obejrzyjcie piętro.

Tu klucze pasowały do wszystkich drzwi, lecz nie znaleźli nic ciekawego. W każdym razie nic nie wskazywało na istnienie jakichś ważnych dokumentów. Gdy zeszli na dół, Georges akurat pokonał drugi zamek i otworzył drzwi. Światła latarek omiotły pomieszczenie. Stało tu kilka szaf. Znaleźli w nich paczki białego proszku.

- Jednym słowem, rozdzielnia, panowie.

- Może to spalimy?

- Kuba, daj spokój z takimi żartami.

- Więc zostawimy?

Wiedzieli, że nie ma innego wyjścia. Zresztą, nie są tu po to, aby przechwytywać prochy. Wycofali się więc z magazynu i Lefranc polecił zdjąć strażnikom kneble.

- Mówcie... Kto tu przychodził? Zaufani hurtownicy, czy też wysyłacie towar dalej?

- Różnie, panie. Czasem przyjeżdżały samochody, ale poważnie biorą jacyś ludzie.

Strażnicy byli przerażeni i inspektor ocenił, że mówią prawdę. Pełnili spokojną służbę, zapewne nikt nigdy nie usiłował tu wtargnąć, aż nagle... Myśleli więc tylko o tym, aby ująć z życiem. Swoją drogą, dobrze się tym handlarzom powodzi. Policja jest zapewne przekupiona, jeśli pod jej bokiem kwitnie taki interes. Lefranc pomyślał, że warto byłoby poszukać w tej instytucji kogoś nieskorumpowanego. Może mógłby im pomóc? Ale wpięrw trzeba zatrzeć ślady.

- Słuchaj, człowieku. My odchodzimy. Nie ukręcimy wam łbów.

- Dziękujemy pokornie, panie.

- Będziecie związani do rana, gdy przyjdą wasi.

- Mam prosbę, szanowny panie.

- O co chodzi?
- Żeby zbić nam mordy.
- Tylko tyle? Z wielką chęcią.
- Pokornie dziękujemy.
- Teraz słuchajcie uważnie: powiedzcie swemu szefowi, że dzielimy miasto na dwie części. Na wschód od rzeki Cauca handlujemy my, czyli Organizacja, a na zachód wy, czyli Syndykat. Zapamiętajcie?

- Tak jest, szanowny panie.
- Powiedzcie też, że znamy wasze meliny i szlaki. Jeśli nie posłuchacie, rozpieprzymy je dokładnie.

- Rozumiem, panie...
- Ten podział będzie obowiązywał od niedzieli.
- Powtórzmy słowo w słowo.
- A teraz naznaczyć ich, chłopcy.
- Dziękujemy szanownemu panu.

Wycofali się sprawnie, pozostawiając szeroko otwarte drzwi magazynu. Jako ostrzeżenie, że nie istnieją dla nich żadne zamki. I pojechali... Na niebie pojawiły się pierwsze oznaki świtu.

Selekcja nie była taka trudna. W miarę jak aspirant Rodrigez zagłębiał się w meldunki wywiadowców, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tych kilku przychodzących o różnych porach ludzi stanowi personel obserwowanego obiektu. I zapewne ochronę... Obserwacja potwierdzała jakby zupełnie normalny ich tryb życia: szli do pracy, wracali z niej do domów, czasem wychodzili na piwo czy wino, odwiedzali sale bilardowe i inne miejsca rozrywek, nie szastali pieniędzmi, lecz jednak je mieli, bawili się spokojnie. U niektórych bywały czasem dziewczyny.



Najbardziej wesołym był właśnie Anselmo i na nim aspirant skupił uwagę. Zastanawiał się, jak skłonić chłopaka do mówienia. Chciał bowiem sięgnąć chociaż trochę w głąb sekretów Syndykatu. Rodriguez wyczuwał strach komisarza przed tą organizacją, chciał jednak wypróbować swe siły.

Ale był jeszcze jeden osobnik. W czasie budowania układanki, czyli swoistego „planu dyżurów”, stwierdził, że pewien niemłody już człowiek stale pojawia się w polu widzenia. Codziennie. I siedział tam od rana do późnego popołudnia. Szedł potem do domu, gdzie mieszkał samotnie. Ustalono jego nazwisko: Frederico Cazalla.

Gdy komisarz przypomniał sobie o sprawie i zajął mel-dunku, Rodriguez opowiedział mu o niektórych spostrzeżeniach. I dodał, że sprawa jest żmudna. Trzeba długo chodzić za tymi gnojkami, nim się coś uda ustalić. Ku pewnej uldze aspiranta, ale również ku jego zdumieniu, komisarz nie wykazał większego zainteresowania tym śledztwem. Oczywiście aspirant nie mógł wiedzieć, że myśli komisarza są skoncentrowane na jednym tylko człowieku. Interesował go wyłącznie Carreno, a nie jakiś tam pospolity opryszek. Był jednak z takiego stanowiska szefa nawet zadowolony, bowiem nie zabierał mu ludzi i dawał wolną rękę. A czego więcej potrzeba ambitnemu policjantowi?

Postanowił wreszcie sam przyjrzeć się obiektowi i przez pół dnia obserwował, co robi Anselmo. Młody, szczupły chłopak o nieco nerwowych ruchach lubił najwidoczniej rozrywki, gdyż odwiedził kilka lokali gier mechanicznych, pograł w bilard, pokręcił się koło wesołego miasteczka i wreszcie powłókł się do domu. Tu zabrał się do motocykla, oczyścił go i sprawdził, potem pojechał na niewielki spacer. Nie zabawił długo. Ta motocyklowa wycieczka nasunęła aspirantowi pewien pomysł. Udał się do kolegi z policji drogowej i poprosił o pomoc. Tamten

chętnie się zgodził. Omówili plan działania. Cierpliwość aspiranta została wystawiona na małą próbę, gdyż Anselmo przez parę dni nie dosiadał motoru. Aż wreszcie...

Młody człowiek znów odbywał wędrowkę po mieście i chyba postanowił zażyć nieco przyjemności na łonie natury, gdyż posadził z tyłu dziewczynę i ruszyli nadmorską aleją. I zaraz na pierwszym skrzyżowaniu zatrzymano go. Barczysty policjant podszedł niespiesznie do Anselma.

- Dokumenty proszę.
- O co chodzi?
- Kontrola drogowa.
- Dobrze, dobrze...

Policjant przestudiował uważnie prawo jazdy, potem zaczął oglądać motocykl. Anselmo aż podskakiwał z niecierpliwości, dziewczyna też się denerwowała.

- Czego chcecie? Przecież wszystko jest okay. Motor sprawny, ja też w porządku.

- Tak myślisz? Więc posłuchaj, młody człowieku: zarzucam ci jazdę pod wpływem alkoholu na skradzionym motocyklu.

- Co takiego?! Nie piłem, a motor jest mój! Co wy...

- Policja wie lepiej, przyjacielu. Zaraz zbadamy ci krew i wszystko wyjdzie na jaw.

- Motor jest mój! Dokumenty się zgadzają!

- A ja mówię, że kradziony. Sfalszowałeś numer silnika.

- Protestuję!

- Nie krzycz. Jeśli jesteś niewinny, nic ci nie będzie. Dziewczyna do domu, a ty do nas.

Wóz policyjny tylko czekał na sygnał. Podjechali i zabrali delikwenta. Anselmo nie tracił jednak animuszu. Domagał się

widzenia z kimś ważniejszym. Aspirant kazał więc przyprowadzić go do siebie. Tu chłopak zaczął ostro:

- O co jestem oskarżony?! Łamiecie prawo!
- Już ci mówiono.
- To przecież bzdura! Żądam adwokata!
- W porządku, ale to trochę potrwa. Badanie motoru też.
- Zapłacę kaucję.
- Nic z tego.
- Dlaczego?
- Mamy do ciebie, przyjacielu, parę pytań. Ty na motorze wozisz nie tylko dziewczyny...

W tym momencie Anselmo jakby stracił pewność siebie. Zapewne zdał sobie sprawę, że coś o nim wiedzą. Nie zatrzymali go przypadkowo. Ale o co chodzi? To była dla niego niepokojąca zagadka. Usiłował się jednak bronić.

- Nic nie zrobiłem.
- Już my wiemy, jaki to z ciebie niewinny aniołek.
- Wszystko trzeba udowodnić.
- Postaramy się, postaramy...

I Rodriges postanowił zagrać w otwarte karty. Delikwent był bowiem wystarczająco przerażony. Pocił się i wiercił na krześle, najwidoczniej nieprzygotowany na tak poważne starcie z policją.

- Gdzie jest teraz ten, który siedział ci za plecami?
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- O człowieku zastrzelonym przed „Astorią”. Słyszałeś może?
- Ja? Absolutnie! Skąd miałbym o tym wiedzieć?
- Wyobrażasz sobie, że jesteś twardziel i skołujesz głupią Policję. Będzie się czym chwalić przed kumplami.
- Jestem niewinny.
- Oczywiście. A ci wszyscy, którzy widzieli cię wraz

z kumplem na motorze w chwili zabójstwa, lżą jak psy. Ale dlaczego mówią akurat o tobie? Co im zrobiliś?

- To jakaś straszna pomyłka, panie komisarzu.

Odpowiedzi Anselma były coraz mniej pewne, głos mu drżał. Wyglądał jak zapędzony w kąt szczur. Rodrigez czuł, że zyskuje przewagę. Tylko nie należy dać mu ochłonąć...

- Mamy świadków, przyjacielu.

- Nie przyznaję się do niczego.

- Jak chcesz, Anselmo, jak chcesz... Zaraz zrobimy konfrontację i ludzie pokażą cię palcem. Odpowiada ci to?

- Jestem niewinny.

Przeżony Anselmo mimo swej ograniczoności zdawał sobie sprawę, że nie zatrzymano go bez powodu. Policja musi sporo wiedzieć. Bał się jednak przyznać. A Rodrigez mówił spokojnie:

- Masz dwa wyjścia, chłopcze: albo złożysz zeznanie, albo wsadzimy cię do pudła? Więc?

- Idę do celi.

- W porządku. Zaraz cię tam zaprowadzą. Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że w areszcie jest ciasnota i nie możemy ci dać osobnego apartamentu. Posadzimy cię, z konieczności, z pewnym czarnym pedałem. On jest już tam dwa tygodnie, więc musisz na siebie uważać.

- Litości, panie komisarzu!

- Niby dlaczego? Ty nie chcesz nam pomóc, a ja mam się nad tobą rozczulić? No dobrze, spróbuję. Kto nadał robotę?

- To już powiem, ale tylko panu: Augustino Pasco. Ale nie stanę przed sądem? Bo i tak wszystkiego się wyprę.

- Jeśli złożysz zeznanie, wtedy pogadamy. Mogę ci tylko powiedzieć, że źle na tym nie wyjdiesz.

- Dobrze, panie komisarzu.

Zdarzenie było nadzwyczaj dziwne. Augustino Pasco wybrał się więc osobiście obejrzyć budynek firmy „Owoce Południa”. Prześledził dokładnie całą drogę włamywaczy - od wyciętej szyby w piwnicy, poprzez sforsowane drzwi, aż do dyżurki. Stali tam nieruchomo dwaj posiniaczeni strażnicy. Naprzeciw nich siedział jeden z ludzi Syndykatu, paląc papierosa i bawiąc się pistoletem.

Młynkował nim, chwycił za kolbę, jakby nie zwracając uwagi na stojących ludzi. Oni zaś bali się poruszyć i tylko wytrzeszczali oczy na kręcących się obok pomocników Pasco.

A on zatrzymał się najdłużej w magazynie. Kazał zbadać zamki, a sam obejrzał skrupulatnie paczki kokainy. To było najbardziej zdumiewające. Weszli, opanowali obiekt, otworzyli magazyn i... Po co w ogóle robili taką akcję? Tymczasem zameldowano:

- Fachowa robota. Musieli mieć świetne narzędzia, a facet - duże doświadczenie.

- Tak mówisz? Fachowcy?

Te gnoje - inaczej nie mógł myśleć o strażnikach - gadali coś o jakiejś organizacji. Pasco ogarnęły czarne myśli. Zdarzenie zbyt ważne, aby o nim nie meldować - trzeba więc będzie stanąć przed obliczem szefa. I to nie tylko z pomysłem na karę dla tych nieszczęsnych idiotów, lecz z czymś więcej. I to właśnie najbardziej go męczyło. Wrócił więc wolno przed dyżurkę, popatrzył na strażników. Aż skulili się pod jego ciężkim wzrokiem. Wiedzieli, że ten człowiek nie zna litości. Tymczasem Augustino pchnął palcem pierwszego z nich:

- Gadaj...

- Tak jest, panie.

- Jak wyglądali?

- Ciemne ubrania i zasłonięte twarze.
- Jakież imiona?
- Nie słyszałem.
- A w ogóle to co powiedzieli? Powtórz słowo po słowie.
- Dokładnie to było tak, proszę pana: „Powiedzcie swoim, że teraz będą w mieście dwie części. Po jednej stronie rzeki - my, a po drugiej - wy”. Oni są po wschodniej. Mają namierzone meliny i mogą je rozwalić.
- Jak siebie nazwali?
- Organizacja.
- Wszystko powiedziałeś? Nic nie pominąłeś?
- Wszystko, panie. Co do słowa.
- Czy ja mogę coś powiedzieć?
- Gadaj.
- Mówili jeszcze, że ten podział będzie od niedzieli.
- Rozumiem.

Szef firmy „Owoce Południa” kręcił się koło Pasco czekając na rozkazy, strażnikom drętwiały już mięśnie, niepokój doprowadzał ich do rozpacz, a Augustino rozsiadł się w gabinecie kierownika, ćmił cygaro i nie zwracając uwagi na stygnącą kawę, usiłował się w tym wszystkim połapać. Kto to mógł być? Policja oczywiście odpada. Oni by wzięli od razu i towar, i ludzi. Zresztą, to nie w stylu komisarza Ruiza. On ma swoją politykę. Organizacja... Jaka, u diabła, organizacja?

I nagle wszystko zaczęło się jakoś układać. Ten facet u Goiasa, który się potem zgubił, ten człowiek w hotelu, rozpytujący o Felipe Carreno, kasyno i ostatnie zdarzenie, czyli „Owoce Południa”... A więc niewątpliwie ktoś wszedł na teren miasta i na razie pozostaje niezidentyfikowany. No, chociaż tu odkryli maskę. Ale czy naprawdę?

Tym bardziej więc musi dotrzeć do szefa, gdyż kontakty z

innymi organizacjami nie wchodziły w zakres kompetencji Pasco. Wyciągnął rękę do telefonu, nakręcił numer.

- Pasco... Pilnie do pana Predrery.
- Szef będzie wolny za godzinę.

Bernard na wyprawę do dzielnicy Zielone Wzgórza wziął człowieka z grupy. Pistolety mieli przymocowane do nóg - aby łatwo było je wyjąć - a pod ręką noże. W tej dzielnicy były nawet praktyczniejsze niż broń palna. Postawili samochód na placu koło kina i ruszyli między nędzne domy. Człowiek z grupy znał ten teren i wiedział, gdzie szukać miejscowych lumpów. Ludzie zerkali na nich podejrzliwie, zaczepiały ich prostytutki, dzieci nagabywały o datki. Odganiaли je łagodnie, aby nikogo nie urazić, i szli dalej. W pewnej chwili Bernard spostrzegł chłopca sprzedającego papierosy i gumę do żucia. Przystał przy nim, wziął paczkę papierosów i podał mu banknot. Chłopiec powiedział z żalem:

- Nie mam reszty, proszę pana.
- Nic dziś nie utargowałeś?
- Ludzie nie mają pieniędzy.
- A ty chciałbyś je mieć?
- Pewnie!
- A więc nie będziesz musiał wydawać mi dziś reszty, jeśli otrzymam od ciebie pewną wiadomość.
- Jaką, proszę pana?
- Szukam młodego człowieka zwanego Marco.
- Pan jest gliną?
- Ja? Skądże znowu! Zresztą, czy dawałbym ci pieniądze? Czy dostałeś kiedy od jakiegoś gliniarza choćby jednego centavos?

- To prawda, proszę pana. Nigdy.
- Więc pomyśl, chłopcze.
- Marco... Znam nawet kilku. Ale o którego panu chodzi?
- Pracował przy prochach. Ale jeśli nie chcesz zarobić...
- Chcę!
- Więc się rozejrzyj. My pokręcimy się koło sklepów, jak się dobrze spiszesz, dostaniesz jeszcze jeden taki papierek.

Chłopak obrócił się na pięcie i pognął wąską uliczką, oni zaś udali się na główny plac dzielnicy. Skromny kościół otaczały rozmaite budki, małe sklepiki i stragany. Niektórzy sprzedawcy rozłożyli swe towary na ziemi. Nie handlowano tu niczym nowym, nawet radia i pralki były używane. Odzież też. Można było tu nabyć wszystko - od złamanego grzebienia poczynając. Pośród tych towarów krążył tłumek ludzi wypatrujących nadzwyczajnych okazji.

Bernard i jego towarzysz przepychali się ku niezbyt wysokiemu budynkowi, mieszczącemu jedyny w tej dzielnicy dom handlowy. Na jego stopniach zawsze siedziała grupka młodzieńców, wyczekujących nie wiadomo na co. Wypatrywali łatwego zarobku, zabijając czas grą i gadaniem. Niektórzy zażywali prochy i gapili się potem na otoczenie szklanymi oczami. Pojawienie się dwóch obcych wzbudziło pewne zainteresowanie. Jeden z młodych podniósł się i z papierosem w ręku podszedł do nich.

- Dajcie ognia.
- Tylko tyle?
- Możesz mi jeszcze postawić piwo, przybyszu.
- A w mordę nie chcesz?

Zaskoczony młodzieniec obrzucił ich zdziwionym wzrokiem, a potem roześmiał się wesoło, jakby usłyszał dobry żart.

- Kiwnę na chłopaków i zrobimy wam kuku.
- Nie kiwniesz, gnoju, bo ci łeb rozwałę.



Wyraz twarzy Bernarda nie pozostawiał złudzeń. Jego towarzysz trzymał się nieco z boku i miał w polu widzenia całą grupę. Rozmowa zaś wzbudziła ich zainteresowanie. Przyglądali się.

- Gliny?
- Gorzej, przyjacielu.
- Nie wiedziałem.
- Ale już wiesz.

Tak, ludzie z Zielonych Wzgórz doskonale orientowali się, czym jest Syndykat. Młodzieniec od razu zmienił ton - stał się grzeczny, a nawet się uśmiechał. Bernard zaś pstryknął zapalniczką.

- Prosiłeś o ogień, przyjacielu.
- Bardzo dziękuję, proszę pana.
- Jak się nazywasz?
- Sanchez.
- Co robisz?
- Różnie, proszę pana.
- Zapewne nie śmierdzisz groszem.
- Trudno dziś o zarobek, proszę pana.
- Dostaniesz niezłą dołą, jeśli zrobisz coś dla mnie.
- Co to ma być?
- Po waszej dzielnicy chodził pewien człowiek i rozpytywał o niejakiego Marco.
- Być może, proszę pana.
- No i przestał chodzić. Chcę wiedzieć dlaczego.
- Popytam chłopaków.
- Popytaj. A gdy się czegoś dowiesz, dzwoń pod ten numer. Jasne?
- Jasne, proszę pana.

Chłopak chciał się zapewne pokazać z dobrej strony i dlatego dawał możliwie rzeczowe odpowiedzi. Nadrabiał też miną.

Gdy Bernard wręczył mu kartkę z numerem telefonu, Sanchez pomaszzerował do swoich pochwalić się przygodą. Oni też z wielkim zainteresowaniem obserwowali przedłużającą się rozmowę. Teraz rozprawiali w podnieceniu, a Bernard ze swoim towarzyszem przechadzali się po placu, pozorując handlowe zainteresowania. Koło kościoła dogonił ich sprzedawca tytoniu. Nie podchodził jednak, stał z boku i czekał. Bernard obejrzał kilka straganów, a potem, jakby dopiero spostrzegłszy chłopaka, zbliżył się do niego:

- Mów.

- Marco, dawniej gdzieś pracował, ale teraz łązi bez celu. Dom na trzeciej ulicy w prawo, za ulicznym źródłem. Mieszka z matką.

- Jest w domu?

- Tak.

- Zasłużyłeś na nagrodę za dobrą fuchę. Jak się nazywasz?

- Faustino.

- Jeśli skłamałeś, znajdziemy cię - i zginiesz. Masz jeszcze czas do namysłu.

- Mówię prawdę. Przysięgam na samego Pana Boga.

- A na matkę?

- I na głowę mojej matki.

- Będziesz dla mnie pracował. Na razie na zlecenia, ale gdy podrośniesz, dam ci dobrą robotę. Zarobisz sporo grosza.

- Liczę na to, proszę pana.

- Masz słuchać tylko mnie. Nazywam się Bernard.

- Zrozumiałem, proszę pana.

Marco wzięli bez trudu. Objechali Zielone Wzgórza od nadmorskiej drogi, stanęli na początku wskazanej uliczki, po-deszli do niziutkiego, ulepionego z gliny szarego domku, pchnęli drzwi - bez pukania oczywiście. W ciemnej kuchence

siedziała przy stole stara kobieta, a naprzeciw niej jadł fasolę nieogoloną, niechlujny trzydziestolatek. Chciał się zerwać, nawet oparł ręce o stół, lecz Bernard skierował w jego stronę lufę pistoletu.

- Siadaj!
- Czego chcecie?
- Pogadać, Marco.
- Znacie mnie?
- Jasne, przyjacielu... Jeśli tu przyszliśmy...
- O czym będzie gadanie?
- Nie zakłócajmy spokoju twojej mamie, wyjdźmy na dwór.
- Czemu zabieracie mi syna? - wtrąciła się kobieta.
- Chcemy tylko zamienić z nim kilka słów.
- Nic nie zrobiłem.
- Nawet Adam i Ewa grzeszyli, a co dopiero ty...
- On siedzi cały czas w domu.
- Bardzo dobrze, matko. Niewinnych się nie zatrzymuje, oni zaraz wracają do domów. Niech się pani nie martwi, nic synkowi nie będzie.
- Mamo, wszystko się zaraz wyjaśni. Ja naprawdę nic nie zrobiłem.

Gdy wyszli przed dom, Bernard schował pistolet i poczęstował Marca papierosem. Ten zdumiał się, lecz nic nie powiedział. Czekał. Gdy zapalił, Bernard zdobył się na najmiłszy, na jaki go było stać, uśmiech.

- Nie jesteśmy z policji, przyjacielu.
- A skąd?
- Zapewne się zdziwisz. Przyjaciele Felipe Carreno.
- Dlaczego zrobiliście takie najście?
- Chcemy z tobą chwilę pogadać.
- Jeśli o nim, to stare dzieje.

- Pewnie się starzeję, przyjacielu, ale cholernie lubię takie historyczne opowiadki.
- Chcecie gadać tu?
- Nie. Przejedziemy się kawałek wozem, żeby nie na oczach...
- Nie nabieracie mnie?
- Ciebie? Niby czemu? Jesteś przecież jednym z naszych.
- To prawda. Jestem...

Drogi Simona mieli dokładnie rozpoznane. Kuba i malarz nie spuszczała go z oka. Lefranc po namyśle zaproponował, aby zgarnąć go pod bilardem, gdyż sprzeda tam prochy i stracą punkt zaczepienia. Pytanie: gdzie? Doszli wreszcie do wniosku, że przy końcu ulicy, gdzie rosło trochę krzaków. Lefranc wyznaczył każdemu rolę. Gościa trzeba wziąć cicho, sprawnie, bezszelestnie. Trudno bowiem byłoby wytłumaczyć się przed policją z takiego porwania.

Samochód pożyczyci od starego Ortiza, licząc na to, że jest zawsze pijany i nie pamięta, gdzie i kiedy jeździł jaki wóz. A najłatwiej było wypożyczyć auto bez formalności, po prostu wciskając właścicielowi banknot, a na dodatek - flaszkę wina. Półciężarówka nadawała się do ich celów idealnie. Prowadził George. Lefranc z malarzem stanowili ubezpieczenie, a zasadniczą akcję mieli przeprowadzić Kuba i Jean.

Oczekiwanie było nieco denerwujące. Minął czas, gdy elegancik pojawiał się na tej trasie, ale ciągle go nie było. Kuba przybrał na tę okazję najbardziej hipisowski wygląd. Siedział teraz koło krzaków, zerkając niespokojnie. Miał udawać hipa na głodzie. Jean trzymał się poza zasięgiem wzroku przechodniów. Obaj niecierpliwili się coraz bardziej. Czyżby trzeba było przerwać akcję?

Byli już na granicy cierpliwości, gdy wreszcie w perspektywie ulicy pokazał się Simon. Elegancik zbliżał się, wymachując beztrzesko laseczką z ozdobną gałką. Pchnął palcem kapelusz, zsuwając go nieco na tył głowy. Miał teraz zawadiacki wygląd. Nie zwrócił uwagi na siedzącego pod krzakiem hipisa, póki Kuba się nie podniósł.

- Hej, przyjacielu!
- Czego chcesz, przyjacielu?
- Nie masz przypadkiem porcyjki, przyjacielu?
- Coś ty, przyjacielu? Musiałeś mnie z kimś pomylić.
- Skąd! Przecież nazywasz się Simon.
- Znasz mnie?
- Tak właśnie mówią na mieście: „Simon zawsze może od-palić ci prochy. Licz na niego”.

- Tak mówią na mieście? To znaczy kto, przyjacielu?

- Taki wielki Murzyn, Escudo, przyjacielu.

- Nie znam.

- Sprzedaj, przyjacielu, bo potrzebuję. Kapujesz?

- Możesz kupić koło portu, ile zechcesz.

I elegancik chciał wyminąć natrętnego hipisa. Kuba jednak blokował go skutecznie. Tymczasem z krzaków wyszedł Jean i zaszedł elegancika z boku. Nikogo akurat nie było w pobliżu, mogli więc działać swobodnie. Teraz Simon wyraźnie się spłoszył.

- Chłopczy, co wy? Jestem spokojnym człowiekiem.

- Oczywiście, przyjacielu.

- Czego chcecie?

- Jesteś podejrzany o handel narkotykami. - Ja, panie ko-misarzu? Nigdy!

- Masz przy sobie prochy.

- Pr przypadkiem i tylko troszeczkę.

- Wystarczy. Pójdziesz z nami.

- Bierzecie niewinnego!
- Zamknij się, bo dostaniesz w pysk.

Spłoszony, spacyfikowany elegancik poszedł już z nimi bez oporu. Trochę się zdziwił na widok półciężarówki, ale nic nie mówił. Posłusznie wsiadł. Jean i Kuba usiedli przy nim, malarz ulokował się za nimi. Ruszyli. Samochód wykręcił od razu na drogę za miasto. Simon zerkał na mijaną okolicę, wiercił się niespokojnie, aż wreszcie nie wytrzymał:

- Komisariat jest w innym kierunku.
- Tak? Co ty powiesz, przyjacielu...
- Dokąd mnie wieziecie?
- Zobaczysz, przyjacielu.
- Co chcecie zrobić?!
- Stul pysk, śmierdziuchu! Nie bój się, nie jesteśmy szwadronem śmierci.

Zimny głos Jeana jakby uspokoił elegancika. Przestał się wiercić i zadawać pytania, a nawet przyjął papierosa. Przyglądał się tylko bacznie współtowarzyszom. Samochód zaś dotarł do sporego lasku i wjechał na boczną drogę.... Wkrótce wydostali się na przeciwległy skraj i stanęli. Lefranc wyskoczył z szoferki.

- Wysiadać!
- Wyskakuj, frajerze.

Postawili Simona przy samochodzie i otoczyli go półkolem. Patrzył na nich i tak jakoś dziwnie się w sobie skurczył, jakby oczekując bicia. Wargi mu drżały.

- Wywal wszystko na trawę.
- Tak jest, panie komisarzu.

Miał przy sobie kilka drobiazgów, lusterko i grzebień, ale też i kilka porcji proszku. Nie było wątpliwości: kokaina.

- A jednak...

- To prezent od przyjaciela, panie komisarzu.
  - I wzięłeś? Przecież wiesz, czym to pachnie. Pierdłem.
  - Litości, panie komisarzu! Nic przecież nie zrobiłem.
  - Za kilka lat nikt nie będzie cię pamiętał, Simon.
  - Pan czegoś chce ode mnie, panie komisarzu.
  - Bystry jesteś. Tak, chcę. Chodzi o twoje okoliczności łągające.
  - Słucham, panie komisarzu. Chcę mieć takie okoliczności.
  - Wystawisz nam Ernesto Santovenię.
  - Nie ma nic na niego. To spokojny człowiek.
  - Jeśli powiesz, że bawiliście się razem w piasku, rozczulisz mnie. Przyjaźń ód kolebki?
  - On nie handluje.
  - Nie rozumiesz mnie, Simon. Ty masz go tylko nam pokazać. Nic więcej. Żadnych konfrontacji i zeznań.
  - A ja?
  - Pójdiesz do domu. Ale pamiętaj: w razie czego zatłucemy cię jak psa. Nie będzie żadnych śledztw, gadania, dowodów, adwokatów, tylko w łeb. Jeśli piśniesz, oczywiście. Czy zrozumiałeś?
  - Tak jest, proszę pana.
- Lefranc mówił to takim zimnym tonem, że nawet Kubę przeszedł lekki dreszcz. Cóż, stawka jest wysoka. Wiedział, do czego się bierze. Simon też rozumiał. Trząsł się ze strachu, po policzkach spływały mu krople potu.
- Gdzie go można spotkać?
  - W „Inter-Clubie”.
  - W porządku. Pokażesz go i pójdziesz sobie.
  - A co z nim?
  - Nie martw się o niego, nic mu nie zrobimy. Kiedy tam bywa?
  - Różnie...

- A dziś?  
- Chyba będzie.  
- Pójdziemy. Wejdzie z tobą dwóch naszych i będą patrzeć.  
Dasz im znak, który to, i koniec zabawy.  
- Zrozumiałem, proszę pana.

- Melduj, Augustino.  
- To dziwna sprawa, szefie. Włamanie zrobiono fachowo, sposób otwierania zamków bezbłędny, narzędzia znakomite.  
- Co ty mi tu piejesz za pochwały? Zapłacili ci za reklamę?  
Do rzeczy!

- Ja tylko mówię, szefie, że mamy do czynienia z zawodowcami, a nie z amatorami. Ale...

- No co? Wykrztuś.

- Nie zrobili żadnej szkody. Był tam świeży towar, ale oni naruszyli tylko jedną paczkę.

- Podział wzdłuż rzeki?

- Tak mówili.

- I jakie wyciągnąłeś z tego wnioski?

- Trzeba pilnie obserwować sytuację i staranniej zabezpieczać nasze obiekty. Myślę, że niedługo coś się okaże.

Pasco kurczył się w sobie pod ciężkim, nieruchomym wzrokiem szefa. Wyczuwał jego niezadowolenie. Jose Predrera ssał cygaro, krzywiąc się jak przy wielkim wysiłku. O co tu chodziło? Szukał w myślach powodów tej urazy. Przecież przedstawił mu wszystkie szczegóły. Raport był dokładny. Tymczasem Jose odłożył cygaro i podniósł na pomocnika rozgniewane oczy.

- Bałwan!

- Szefie...



- Zamknij się! I z kim ja muszę pracować... Powinieneś być stróżem w „Owocach Południa”, a nie kierować ludźmi!

- Zawsze chciałem...

- Gównu mnie obchodzą twoje chęci! Co mi tu pieprzysz? Narzędzia, fachowość... Rozum ci odebrało?

- Myślałem...

- To zajęcie nie dla ciebie! Zawsze byłeś tylko nożownikiem i do końca nim pozostaniesz.

- Szeffie...

- No dobrze... Myślałem, że coś z ciebie wycisnę, a tymczasem... Tego gościa z hotelu jeszcze nie znalazłeś?

- Nie.

- Właśnie... Czy myślisz, że gdyby tamci chcieli podziału strefy wpływów, to szukaliby takich pośredników jak te dwa głupie gnoje? Włamanie i gadanie... I co za kretyńska propozycja podziału wzdłuż rzeki! Nigdy nie słyszałem nic głupszego.

- Moja wina, szefie.

Pasco pluł sobie teraz w brodę, że o tym nie pomyślał. Przecież to jasne, że takie sprawy są załatwiane inaczej, innymi kanałami... I nie w Santa Maria. Ale też błysnęła mu zuchwała myśl: skoroś taki mądry, szefuniu, to zgadnij, co się właściwie stało? Nie konkurencja. Nie policja. Więc kto? Różne myśli przychodziły mu do głowy, ale zachowywał się z pokorą. Jose się wściekał - może nawet strzelić w pysk, to mu się zdarza - ale przecież nie pozbędzie się tak łatwowiernego pomocnika. Kto by się wtedy zajmował ludźmi? I tą gorszą stroną ich działalności? Postanowił jakoś udobruchać Jose. Ten go jednak uprzędził.

- Sam sprawdzę, ty się do tego nie pchaj. Jesteś za głupi.

- Dobrze, szefie.

- Pomyśl jednak, gdzie mamy słabe punkty.
  - Właśnie ruszam głową, szefie.
  - I co wymyśliłeś?
  - Muzeum jest bezpieczne. Tam się nikt nie pokazał.
  - Czy nie trzeba dodać im ludzi?
  - Cazalla jest czujny jak puma. Nie zgłasza potrzeb, a z ludźmi teraz nie za bardzo.
  - Co jeszcze?
  - Nie było zakłóceń na wysyłce towaru. Ciąg handlowy nie jest więc zagrożony.
  - Na razie. Trzeba jednak uważać.
  - Czy szef myśli, że to Carreno?
  - Możliwe. Chociaż są też rozmaite specjalne agendy. To się okaże. „Owoce Południa” trzeba jednak na razie zamrozić.
  - Musimy coś wykombinować z detalem w mieście, żeby nie tracić.
  - Właśnie. I sprawdź kolejno tych wszystkich drobnych handlarzy. Cicho i starannie, bez walenia na odlew. Trzeba obserwować otoczenie, gdyż musieli się tam kręcić i robić rozpoznanie.
  - Tak jest, szefie. Zrobi się.
- Wyglądało na to, że burza już minęła i piorun nie uderzy. Pasco poczuł ulgę. To były codzienne, operacyjne sprawy- Tymczasem Predrera, który ciągle nie pozwalał podwładnemu usiąść, chociaż ów przestępował z nogi na nogę, dmuchnął w sufit dymem z cygara i powiedział złym, nieprzyjemnym głosem, który szarpnęła Pasco jak uderzenie:
- Carreno hula sobie swobodnie.
  - Szukamy go, szefie. Ze wszystkich sił.
  - Melduj o wynikach.
  - Na Papuzich Wzgórzach jest willa. I Antoinette.

- Stare dzieje. Przeszłość. Skąd to wiesz?
- Rozmawiałem z antykwariuszem.
- Zdaje się, że to nielichy cwaniaczek.
- Każdy chce jakoś żyć.
- A ty nie bądź taki miłosierny. Nie jesteśmy Armią Zbawienia, czyżbyś o tym zapomniał?
- Szeffie...

Tyle tylko mógł Pasco wyjąkać. Słowa Jose były jak smagnięcia batem. I ta nagła zmiana tonu... Lód. Chłodno. Zimno. Czyżby miał stąd wyjść jako były pomocnik szefa? I jakby już widział te uśmiešky podwładnych, te ironiczne spojrzenia, drwinki... Byle gnój będzie go mógł kopnąć, uderzyć, zemścić się chociażby za razy, które wymierzał. Nieomal poczuł je na swej skórze.

- Jak on się nazywa?
- Alfonso Goias.
- Załóż mu podsłuch.
- Tak jest.

Pasco w swych domysłach był bliski prawdy. Predrera rzeczywiście zastanawiał się, czy zostawić go na stanowisku pomocnika, czy go zwinać. Ciągłe bowiem dręczyła go myśl, że brak wyniku działań Pasco przeciw Carreno nie jest przypadkowy. Dlatego też - nigdy za dużo ostrożności - nic mu nie powiedział o wynikach pracy Bernarda. A Pasco... Na razie jest mnóstwo roboty, niech więc działa. I wtedy, w tym właśnie momencie, Pasco dojrzał na twarzy szefa odprężenie.

- Masz coś jeszcze?
- Już nic, szefie. Mogę tylko zapewnić...
- Dobrze, dobrze. Nie wdawaj się w przysięgi. Wykonuj tylko porządnie swoją robotę, to wystarczy.
- Dziękuję, proszę pana.

„Do szefa operacji «Złote runo»

Co wiadomo na temat człowieka o nazwisku Ernesto Santovenia? Jest funkcyjnym pracownikiem Syndykatu. Na razie wiemy o nim tylko tyle. Mamy go na oku.

Leon”.

Bukiet kwiatów był niezwykle wytworny i Vera się nim bardzo ucieszyła. W dołączonym bileciku nadawca pisał:

„Kochanie!

Czy pamiętasz jeszcze Kadyks? Często myślę o tamtych dniach. Może przyjmiesz zaproszenie na kolację? Niedaleko latarni morskiej jest restauracja «Cztery Wichry». Czekam po występie.

To ja”.

Wieczór mijał jej jak w gorączce. Musiała się starać, aby nikt nie zauważył jej podniecenia. Była zresztą obyta ze sceną, więc jakoś jej poszło. No, może śpiewała bardziej namiętnie niż zwykle. Wydawało się jej również, że oklaski tego wieczoru były gorętsze niż zazwyczaj. Czyżby zawsze trzeba śpiewać tak tkliwie? To przez te myśli o nim. Mężczyzna z dziewczęcych snów... Kto mógłby się z nim porównać? Władczy! Silny! Zdobyczy! Pyta, czy pamięta. Ależ tak. Prawdziwych mężczyzn nie zapomina się nigdy.

Odjechała z kasyna służbowym samochodem, jak zwykle. W domu namyślała się chwilę przy szafie i lustrze, by wybrać w końcu strój niby prosty, lecz wyrafinowany w kroju. Dodatki, kolczyki, makijaż... Zerkała niecierpliwie na zegarek i była zła, że się guzdrze. Nakazała służącej, aby w razie czego powiedziała, że pani śpi, okryła się ażurowym szalem i wyszła z domu. Zaraz za rogiem złapała taksówkę i kazała się wieźć do

„Czterech Wichrów”. Nie знаła tej restauracji i całą drogę zastanawiała się, jak go odnajdzie. Może nie będzie dużego tłoku? Zatrwożyła ją jednak spora liczba aut na podjeździe.

Restauracja znajdowała się w dogodnym miejscu, niedaleko portu. Nie przesiadywali tu jednak zwykli matrosi czy dokerzy, natomiast bywali tu oficerowie z różnych statków, ludzie interesu z portu i okolicznych firm oraz handlowcy z miasta. Gdy Vera odprawiła taksówkę i weszła do rzęsiście oświetlonego lokalu, podszedł do niej młody mężczyzna.

- Czekałem na panią.

- Pan? - zdziwiła się.

- Mam w imieniu ofiarodawcy kwiatów przeprosić panią, że kolację zjecie w innym lokalu. Powody wytłumaczy on osobiście. Powiedział, że bardzo liczy na pani wyrozumiałość.

- Ach tak...

Młodzieniec wyrażał się jasno, działał stanowczo. Nim się oszołomiona Vera opamiętała, już byli na schodach, od razu też podjechał długi, czarny samochód. Wsiadli. Młodzieniec zajął miejsce przy kierowcy. Ruszyli w ciemność. Nie odzywała się, oni też milczeli. Po niedługim czasie uspokoiła się. Przecież nieważne, gdzie się spotkają, byleby byli razem. Nie zwracała też uwagi na drogę. A wóz zjechał tymczasem z głównej, nadmorskiej szosy i zagłębił się w las. Dojechali nad rzekę. Na zakręcie rozbłysły światła zajazdu. Było tu spokojnie, przytulnie.

Samochód zatrzymał się przed głównym wejściem. Młodzieniec błyskawicznie wyskoczył z auta i otworzył drzwi.

- Łaskawa pani pozwoli...

- Dziękuję.

Noc była cicha, ciepła, pogodna, niebo roziskrzone gwiazdami,

pachniały kwiaty, od rzeki ciągnęła rześka wilgoć. Poprawiła szal i weszła do środka. W hallu skłonił się jej umundurowany portier, młodzieniec zaś otworzył jakieś drzwi i znaleźli się w korytarzu. Prowadził na taras. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, gdzie się znajdują. Nieliczne stoliki oświetlały dyskretne stylowe lampy.

- Tędy, proszę łaskawej pani...

Gdy przeszli do ukwieconej, bariery, ujrzała wysokiego mężczyznę w białym ubraniu, z gęstą, krótką bródką i wąsami.

- Witam cię, kochanie. Wybacz, że zmieniłem plany.

- Ja też cię witam.

Przyjemny, miękki głos. Było w nim wszystko: tkliwość, czułość, opiekuńcza siła, podziw dla jej urody... Podała mu rękę, a on pocałował jej dłoń, nisko pochylając głowę. Antonio usadowił ją przy stoliku i usiadł naprzeciw. Kelner, który zjawił się po chwili, odnosił się do niego z wielkim szacunkiem; najwidoczniej podziwiał jego znakomity gust. Vera doszła do wniosku, że bródka dodaje mu uroku. Mimo całej elegancji wyczuwało się w nim drapieżność. Pirat mórz południowych? Mógłby wdzierać się z szablą w rękę na statki, zdobywać, rozszarpywać zwyciężonych...

- O czym myślisz, kochanie?

- Zmieniłeś się.

- Możliwe, ale chyba tylko zewnętrznie. Reszta pozostała ta sama.

- Dziękuję za kwiaty. Były cudowne. Tylko te tajemnice...

- To ostrożność, kochanie. Mówiłaś o tym komuś?

- Nie.

- Niech to pozostanie między nami, dobrze?

- Chętnie spełnię twe życzenie.

- Myślę też, że tu jest przyjemniej niż w jakimś lokalu w mieście.

- Cudowny taras... Czyżbyś miał jakieś kłopoty?

- Nie chciałbym cię wciągać w swoje interesy. To są trudne sprawy. Mówmy lepiej o tobie. Jak ci się wiedzie?

- Cóż, obecnie śpiewam w „Esplanadzie”.

- I zapewne podrywa cię Jose Predrera.

- Często otrzymuję od niego kwiaty.

- I o to jestem zazdrosny.

- To wyłącznie platoniczne stosunki: kwiaty i komplementy.

- Miło to słyszeć.

- Myślałeś czasem o mnie?

- Tak. Inaczej nie byłbym dziś z tobą.

- Czy zostaniesz tu dłużej?

- Wybacz, moja piękna, ale nie mogę na to odpowiedzieć. Teraz jednak jesteśmy razem. Czy to nie cudowne?

- Tak, tak... Masz rację.

Spędzili ze sobą dwie godziny. Oddawała mu się z wielką namiętnością, on zaś brał ją z ogromnym zapamiętaniem. Był jednak czujny. Gdy przyszła pora, obudził ją pocałunkami. Była zmęczona, ale radosna.

- Boleję nad naszym rozstaniem, ale na mnie już czas, kochanie.

- Wiem, wiem...

- Odwiozę cię do domu. Mam jeszcze małą prośbę.

- Słucham cię, Antonio.

- Czy możesz przechować tę paczuszkę?

- Naturalnie! Bardzo chętnie.

Owinęte papierem i mocno oplatane sznurkiem małe pudełko było dosyć ciężkie. Gdy wkładała je do torebki, Antonio powiedział cicho, ale z naciskiem:

- Nie pokazuj tego nikomu. Oddasz to tylko mnie.
- W porządku. Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze.
- Już na mnie czekają.
- Idę.

Całowali się długą chwilę, tak jakby dopiero zaczynali pieszczoty. Dotyk jego brody podniecał ją. Oderwała się wreszcie od niego, a on poprowadził ją do drzwi pokoju. Na korytarzu stał już tamten młodzieniec. Zeszli na dół, wsiedli do niedużego samochodu i pomknęli ku miastu. Wokoło panowały ciemności, było cicho i pusto.

„Do L e o n a

Potwierdzamy, że Ernesto Santovenia jest człowiekiem Syndykatu. Kadrowy pracownik, funkcyjny. Przez pewien czas pracował na Karaibach. Brak punktu zaczepienia. Prawdopodobnie związany, a na pewno w przeszłości, z Felipe Carreno.

Szef operacji «Złote Runo»”.



## V

W „Inter-Clubie” grano w bilard w paru mniejszych salach” oraz w jednej dużej. Klębili się w niej pospolicie gracze, w pokojach zaś gromadziła się śmietanka. Grano tam o poważniejsze stawki. W lokalu było pełno dymu, a z grających szaf rozbrzmiewała hałaśliwa muzyka.

Simon czuł się tu jak ryba w wodzie. Z tyłu eskortowali go Jean i Kuba, malarz zaś zajął na wszelki wypadek stanowisko przy służbowym wejściu. Lefranc pozostał przy stoliku z parasolem. Kuba widział, jak elegancik witał się ze znajomymi, postać chwilę na głównej sali, a potem poszedł do baru. Barman podał mu drinka. Simon rozkoszował się alkoholem, palił papierosa, wdał się w pogawędkę z jakimś kumplem. Nie patrzył w stronę obstawy, zachowywał się tak, jakby po długim niewiedzeniu spotkał przyjaciół. Musieli czekać.

I nagle coś się zmieniło... Simon pociągnął akurat łyk i zniechęcił się. Zobaczył kogoś? Kuba spojrzął w tym samym kierunku. Koło drzwi wejściowych panował spory ruch. Po chwili Kuba wyodrębnił w tym tłoku krępego człowieka o bujnych włosach. Wyglądał na trzydziestolatka. Zręcznie wymijał ludzi i parł do baru. Simon nie spuszczał z przybysza wzroku. Ocknął się wreszcie i wszczął hałaśliwą rozmowę z sąsiadem. Co chwila jednak zerkał na obcego. A ów przysiadł na wysokim stołku, przy barze.

Zaspokoiли wreszcie pragnienie i poszli w stronę bilardów. Minęli główną salę i zatrzymali się w bocznej, pośród kilkuset spoconych, podnieconych grą ludzi. Była to końcówka poważnej rozgrywki i emocje sięgnęły szczytu. Obserwowano dwóch mężczyzn krążących w skupieniu wokół stołu. Uderzenie kija, stuk bili i gwar. Klepano zwycięzcę po ramieniu, chwailono. Przegrany stał z boku, obracając w rękę kij. Jakby nie wierzył, że to się już stało.

Simon też dopchał się do zwycięzcy, rozmawiał z nim dłuższą chwilę. Obrócił się potem ku krępemu, podrapał w ucho i trącił tamtego, coś do niego mówiąc. Kuba sprawdził wzrokiem, czy Jean widział tę scenę, i cofnął się w głąb. Już dość długo był w ich pobliżu. Nadal jednak dobrze widział tę grupę.

Musieli być cierpliwi. Teraz grali Simon z krępym. Gdy wreszcie opuścili salkę, wszystko potoczyło się zwyczajnie. Santovenia podszedł do baru i napił się soku pomarańczowego, po czym skierował się do wyjścia, a Jean ruszył za nim. Kuba ubezpieczał tyły. Simon zaszył się gdzieś w kącie, widocznie chciał poczekać, aż się wyniosą. Tymczasem ci dwaj wyszli z knajpy niemal ramię przy ramieniu i tak ich właśnie Lefranc sfotografował. Jean zaraz odbił w bok, a obserwację przejął Lefranc. Kuba pozostawał w odwodzie. Santovenia doprowadził ich do piętrowego, nieco odsuniętego od ulicy domu, który stał prawie na granicy starego miasta i budowanego właśnie osiedla. Lefranc przeszedł obok, nie zatrzymując się. Idący nieco z tyłu Kuba dostrzegł sporą tablicę: „Karaibskie Towarzystwo Handlowe z siedzibą w Santa Maria - spółka akcyjna”.

Spotkali się przy pobliskim kiosku z napojami. Kuba wyciągnął papierosa i poprosił inspektora o ogień.

- Widziałeś, Kuba?

- Tak. Jeszcze jedna chałupa. A zdjęcie?
- Powinno się udać. Ty na razie jesteś wolny. Tu stanie marlarz, a po nim Jean.
- Może zrobimy nocą skok?
- Spokojnie. Najpierw rozpoznanie, nic na wariata.
- Rozumiem. Na razie się zmywam. Cześć.

Pokój w suterenie był niewielki. Jego okno było zakratowane. Umeblowanie: wyrko, stołek i stolik. Na stołku ulokował się Bernard, a Marco przysiadł na łóżku. Po nocy spędzonej w tym pokoiku wiele stracił ze swej werwy, czupryna mu się nieco zwichrowała, wydawało się, że przybladł. Na początku jednak usiłował się stawiać.

- Miało być tylko małe gadanie, a wy co?
- O co chodzi, przyjacielu? Dostałeś przecież żarcie.
- Czego chcecie? Pytajcie wreszcie!
- Teraz mówisz rozsądnie, przyjacielu.
- Ja tu coś powiem, a potem mi łeb urwą.
- Możesz być spokojny. U nas to jakbyś rozmawiał z samym Panem Bogiem. Bez świadków i papierków.
- Co mam mówić?
- Wspominaj bujną młodość. Pracowałeś u Carreno?
- Tak.
- I potem przestałeś.
- On wyjechał i nie potrzebował nas.
- Widziałeś go potem?
- Nigdy.
- Z czego teraz żyjesz?
- Różnie... Przeważnie pomagam detalistom.
- I nikt się z tobą nie kontaktował?
- Nikt.

- Jeśli kłamiesz, to wsadzimy ci nogi w cement i wypłyniesz dopiero na Sąd Ostateczny.

- Przysięgam na Boga, że mówię szczerą prawdę.

- I na matkę?

- Żebym jej więcej nie zobaczył!

- Dobrze. Co robiłeś u Carreno?

- Byłem w ochronie jego domu.

- Dom, powiadasz... Czyli widywałeś wszystkie jego dziwki.

- Tak, zdarzało się, że przyjeżdżały.

- Tylko się zdarzało? Przecież to był dziwkarz!

- Do sypialni miał wstęp tylko kamerdyner. Nam nie wolno się było kręcić po domu.

- A ty nigdy ich po nim nie używałeś?

- Nie były to takie zwykłe z ulicy, ale dziwki dla bogaczy.

- Czyli obchodziłeś się smakiem.

Najwidoczniej Marco uznał, że rozmowa zesła na bezpieczne tory, gdyż się wyraźnie odprężył, o czym świadczył jego nikły uśmiech. Był coraz swobodniejszy.

- Co jeszcze wiesz o jego dziewczynach?

- O nich? Niewiele. Widywałem je z rzadka.

- Kto się nimi zajmował?

- Przeważnie Pedro Felores. On był stale przy szefie.

- Co z nim?

- Chyba wyjechali razem, już długo go nie widziałem.

- Która mieszkała u Felipe?

- Żadna, proszę pana. Brał je tylko na noc, a rano odjazd.

- U której bywał dłużej?

- On? Przecież je stale zmieniał!

- Ale miał i stałą. Pomyśl dobrze. Rusz głową.

- Łaskawy pan mnie zaskoczył...

- Radzę ci więc, abyś szybko otrząsnął się z zaskoczenia i gadał. Bo możemy ci pomóc, przyjacielu.

- Staram się jak mogę, proszę pana.

Bernard zapalił kolejne cygaro i przyjrzał się chłopakowi. Prawdę mówiąc, ta długa rozmowa już go nużyła. Czy ma siedzieć z tym gnojem jeszcze parę godzin i wyciągać szczególnie po szczególnie? Bernard był zwolennikiem szybkich działań. Skok, pistolet maszynowy, nóż... Tu zaś trzeba kroczyć po kroczyku, pytanie - odpowiedź. Postanowił więc zmienić taktykę.

- Dostaniesz trochę czasu do namysłu, przyjacielu.

- Dziękuję panu.

- Ale musisz popracować, a nie leżeć do góry brzuchem.

- Co mam robić?

- Pisać. Dam ci papier, a ty wszystko dokładnie opiszesz. Swoją służbę u Carreno, ludzi, których znałeś nawet przelotnie, i oczywiście te dziwki. Siedź i pisz, bez pośpiechu. Potrzebne mi będą szczegóły.

- Będzie tego sporo, proszę pana.

- Nie martw się. Papieru nam nie zabraknie.

- Opiszę dokładnie, proszę pana. A co potem?

- To zależy tylko od ciebie. Gdy powiesz całą prawdę, weźmiemy to pod uwagę. Powinno ci więc zależeć na dobrej robocie.

- Postaram się ze wszystkich sił.

- Każę ci dać kawy, papierosy i coś do przegryzienia.

- Pan taki dla mnie łaskawy...

Bernard wstał i przeciągnął się nieznacznie. Rozmowa z tym gówniarzem zmęczyła go. Zwyczajny, nędzny szczur... Ale niech pisze. A potem zgniecie go jak pluskwę. Wyszedł z celi i wydał strażnikom niezbędne polecenia. Papier i przybory do

pisania podano chłopakowi po krótkiej chwili. Marco popatrzył niechętnie na arkusiki i spytał:

- A reszta?

- Zaraz dostaniesz, muszę tylko pójść do naszego baru.

W suterenie na drugim końcu budynku urządzono coś w rodzaju barku z ciepłymi potrawami. Przychodzili tam pełniący służbę ludzie, aby się posilić - siadywali w małej sali i gadali. Gdy strażnik zjawił się w barku, siedział tam akurat Ernesto Santovenia. Kończył porcję fasoli.

- Kawa i fasola.

- Dla kogo?

- Z polecenia Bernarda dla jednego ptaszka. No, rusz się.

- Dobra, dobra nie ma gwałtu.

- Ty szykuj, a ja jeszcze skoczę po papierosy.

- Idź, gdzie chcesz.

Taca stała na ladzie bufetu. W tym czasie przewinęło się wokół niego paru ludzi. Strażnik wreszcie wrócił, zabrał tacę i poszedł do celi. Gdy otworzył zamek, dostrzegł, że Marco siedzi i gapi się na kartkę papieru.

- Masz swoją porcję. Czemu nie piszesz?

- Nie wiem, jak zacząć. No, jaki dać tytuł.

- Najlepiej: „Zeznanie”. Tak właśnie napisz i leć potem z tym, co masz do powiedzenia.

- Dobrze radzisz.

I to słowo figurowało na papierze, gdy Bernard wziął kartkę do ręki. W nowej linii widniał tylko zygzak. Marco zaś leżał głową na stole, lewą ręką oparty o blat, prawe ramię zwisało bezwładnie. Długopis leżał na podłodze. Obok niego rozerwana paczka papierosów. Zdążył wypalić tylko jednego. I do połowy wypita kawa.

Strażnik był błądy jak ściana. Nie mógł pojąć, co się stało. Gdy zjrzał przez judasza, zobaczył więźnia już w takiej pozycji.

W pierwszym momencie pomyślał nawet, iż leni się, zamiast pracować, ale po chwili zrozumiał, co się stało. Nim podniósł słuchawkę telefonu, miał ochotę uciec stąd możliwie daleko. Ale rychło porzucił tę beznadziejną myśl. A Bernard stał długo na progu celi i patrzył. I to właśnie było najstraszniejsze: nie wymyślał, nie krzyczał, tylko zmarszczywszy brwi tkwił jak posąg. A gdy się wreszcie odwrócił, zadrżeli. Zimne, ciężkie spojrzenie, ostry głos. Wbił palec w pierś strażnika.

- Melduj, jak to było z posiłkiem.

- Ja...

- Może napijesz się tej kawy? Coś do niej wsypał, sukiny-  
nu?

- Przysięgam na Najświętszą Panią!

- Nie mieszaj do swych świństw świętości, gnoju!

- Cały czas wiernie...

Bernard wykonał tylko nieznaczny zamach, lecz strażnik, trafiony w szczękę mocnym ciosem, poleciał pod ścianę. Leżał tam skurczony, stękając. Po twarzy płynęły mu łzy.

- Wstawaj, bydlaku! Melduj, jak było.

- Poszedłem do baru, kucharz nałożył fasoli, nalał kawy i przyniosłem to tu.

- Stałeś przy kucharzu cały czas?

- Nie, poszedłem po papierosy.

- Wołać kucharza!

- Tak jest!

Przyszedł zasapany, gdyż był znacznej tuszy, a wzywający ponaglał go do pośpiechu. Już miał coś powiedzieć, gdy spostrzegł trupa. Patrzył na niego w bezmiernym zdumieniu.

- Co się stało?

- Napił się twojej kawy.

- Mojej?

- Co, udajesz durnia? Napił się, tak jest.  
- To niemożliwe!  
- Tyś nalał, on niósł, tamten wypił. Wy żyjecie, a on umarł.  
Jak mi to wytłumaczysz?

- Nie mam pojęcia. Nie mam z tym nic wspólnego. Tyle lat tu jestem... Chyba jestem najstarszy z was. I do mnie takie rzeczy? Idę do pana Predrery. Nikt mi tu nie zarzuci zdrady!

- Chwileczkę...

Stanowczy ton kucharza nieco zdeprymował Bernarda. Jose Predrera może faktycznie nie pochwalić oczywistości wniosków. Zresztą, to byłoby rzeczywiście zbyt proste. Więc strażnik i kucharz chyba odpadają. Kto w takim razie zostaje?

- Natychmiast przypomnijcie sobie wszystkich, którzy byli wtedy w barze. Wszystkich!

- Tak jest!

Aspirant Rodriguez był zadowolony, że szef bardzo się zajął sprawą zabitego emerytowanego policjanta. Tym samym zostawiał aspirantowi więcej swobody. Rodriguez mógł więc zajmować się bez przeszkód swoim więźniem. Nie pozwolił mu odpoczywać zbyt długo. Wezwany z celi Anselmo nie miał już w sobie nic z cwaniaka. Siedział na brzeżku krzesła, twarz miał bladą, oczy przestraszone. A Rodriguez demonstrował jakby nieco arogancką pewnością siebie.

- Te twoje zeznania to stek kłamstw, Anselmo.

- To wszystko szczerą prawdą.

- I mam uwierzyć, iż nie wiedziałeś, co się święci?

- Nie wiedziałem. Ja jestem od wożenia, a rozkazy dostawał Gonzales. Mnie tylko mówią: jedź tam, coś przywieź, zawieź.



- Kto was wysłał na tę akcję?
  - Rozkazuje nam tylko jeden człowiek: Augustino Pasco.
  - Mówił coś przy tobie?
  - Przy mnie? Co on mógł mówić przy mnie? Nigdy nie kazał mi zabić nawet muchy.
  - Taki łagodny? A jak było wtedy?
  - „Jedź, Anselmo, i wykonuj polecenia Gonzalesa” - tak powiedział.
  - I nie byłeś ciekawy, jakie dostaliście zadanie?
  - Nie byłem. Za ciekawość, panie komisarzu, można dostać od pana Pasco po mordzie. Kazał, więc jechałem.
  - I nie widziałeś, że Gonzales ma pistolet maszynowy?
  - Pewnie miał, ale nie zaglądałem mu do torby.
  - Strzelał ci nad samym uchem. Nie bałeś się?
  - Jeszcze jak! Ale trzeba było jechać.
  - Gdzie możemy znaleźć tego Gonzalesa?
  - Nie wiem, gdzie on mieszka.
  - Ejże, Anselmo... Nasz czarny bardzo tam tęskni.
  - Litości, panie komisarzu! Naprawdę nie wiem!
  - A co wiesz?
  - Bywa w „Continentalu”. To taka knajpa na bulwarze.
  - A gdzie pracuje?
  - W firmie „Karaibskie Towarzystwo Handlowe”.
  - A ty co teraz porabiasz?
  - Byłem pod „Astorią”, więc muszę odczekać jakiś czas.
  - Co jest w tym magazynie?
  - Nic, panie komisarzu. Tam właśnie czeka się na zadania.
- Rodriguez zrozumiał, że doszedł właśnie do punktu zwrotnego. Trzeba się na coś zdecydować. Aby ruszyć Pasco, nie wystarczy goła ręka. Zeznania Anselmo niewiele znaczą. Bo co właściwie wie? Dobry adwokat obali wszystkie zarzuty. Tym materiałem nie przekona również komisarza. Może więc wypuścić

tego cwaniaczka, niech popracuje dla policji?

Aspirant uświadomił sobie, że w analizach jakby pomijał komisarza. A przecież to szef. Wyczuwał jednak jakąś nieszczerłość. Czyżby Ruiz prowadził swoją grę? Oczywiście, nie musi mówić podwładnym wszystkiego, są przecież różne stopnie wtajemniczenia, ale tu chodzi o coś innego. Aspirant nie posądzał szefa o branie łapówek, lecz o wygodnictwo. Ruiz lubi być ważny, chce błyszczeć na miejscowym firmamencie. Jest również człowiekiem próżnym. A więc trzeba go zręcznie omijać. I dlatego aspirant sporządził jeszcze jeden protokół przesłuchania Anselmo, zupełnie niepodobny do oryginału. Anselmo był już na tyle zastraszony, że podpisał.

- Anselmo, teraz pójdziesz do domu.

- Pan mnie wypuszcza?

- Tak, Popatrz jednak na tę teczkę. Mam tu wystarczająco dużo materiału, aby cię wsadzić. I to na długo.

- Rozumiem. Co mam robić?

- Wystawisz mi tego Gonzalesa.

- Dobrze, panie komisarzu.

- Chciałbyś się wykpić takim małym kosztem? O nie, człowieku. Mnie interesuje Pasco.

- On mnie rozerwie na kawałki.

Anselmo rzeczywiście trząśł się ze strachu. Nie udawał. Pasco budził w nim przerażenie. Swoją drogą... Szczur naprzeciw tygrysa. Jedno uderzenie łapy i zostanie tylko mokra plama. Ale nie ma innej wtyczki.

- Ja ci nie każę z nim walczyć. Będziesz tam po prostu pracował i pilnie wszystko obserwował.

- Rozumiem, panie komisarzu.

- A gdyby co... Dam im znać, co mi już powiedziałeś, a wtedy...

- Zrobię wszystko, czego pan sobie życzy. Przysięgam.
- Tośmy się dogadali. Nie minie cię nagroda, Anselmo.
- Może mi pan wierzyć.

Rozpętało się piekło. Gdy Bernard zameldował o wypadku szefowi, Jose Predrera znieruchomiał. Zdawało się, że za chwilę wybuchnie. Twarz jego zrobiła się nieomal sina. Ale tylko na chwilę. Wkrótce Jose odzyskał głos. Najpierw były same przekleństwa, kłął i walił pięścią w oparcie fotela. Poderwał się.

- Dawać ich! Natychmiast!
- Już biegnę.

Posadzono każdego w osobnym pokoju. Strażnik był tak wstrząśnięty tym wydarzeniem, że gadał coś niewyraźnie. Jose uderzył go w twarz, poprawił z drugiej strony, aż człowiek oprzytomniał. I Jose zaczął pytać:

- Kogo widziałeś w bufecie?
- Ernesto Santovenię.
- Ile czasu cię nie było?
- Piętnaście minut. Gdy wróciłem z papierosami, w barze siedział Roberto.

Jose kazał mu pozostać w pokoju, a sam poszedł do następnego pomieszczenia, gdzie posadzono kucharza. I od razu ruszył do ataku:

- Ile ci dali?
- Mnie? Tyle lat pracuję w Syndykacie i takie rzeczy...
- Nie roztkliwiaj się nad sobą. Lepiej pomyśl i opisz, jak było.
- Siedziało tam trzech chłopców, po chwili wyszli, a zaraz potem przyszedł Ernesto. Podałem mu fasolę, a potem zjawił

się strażnik z zamówieniem. Ja szykowałem, a on pomaszero-  
wał po papierosy.

- Gdzie była wtedy taca?
- Na ladzie.
- Widziałeś ją przez cały czas?
- Nie mogłem. Szykowałem posiłki.
- Dla kogo? Pamiętasz?
- Byli tam Roberto, Pietro i chyba Finito.

Jose spojrział wymownie na Bernarda, a ten wyskoczył z po-  
koju. Predrera usiadł obok kucharza i położył mu rękę na ra-  
mieniu.

- Stary, sam widzisz, że wyszło źle.
- Źle, szefie... W głowie mi się nie mieści, żeby u nas...

Człowiek na stare lata...

- Ciebie nie podejrzewam.
- Kamień z serca, szefie.
- Ktoś jednak musiał coś wrzucić.
- Pewnie... Gadam panu jak na świętej spowiedzi. Nie pa-  
trzyłem, bo to swoi ludzie. Przez myśl by mi nie przeszło...

Bernard działał bardzo szybko, gdyż wkrótce wsadził głowę  
przez drzwi.

- Gotowe, szefie.
- Posiedź tu sobie, stary, bo my mamy robotę.

Ernesto Santovenia był spokojny. Siedział na krześle i palił  
papierosa. Widząc przełożonych, wstał. Jose zatrzymał się  
przed nim.

- Mam do ciebie parę pytań. Byłeś w barze, gdy przyszedł  
strażnik?

- Tak jest, byłem.
- Opowiedz wszystko dokładnie, ze szczegółami.
- Jak pan sobie życzy, szefie. Otóż gdy przyszedłem do baru,  
nie było tam akurat nikogo. Potem zjawił się strażnik. Nie

wiem, o czym rozmawiał z kucharzem, ale postać chwilę i wyszedł. Ja wyszedłem zaraz po nim.

Predrera, nic nie mówiąc, opuścił pokój. Udał się prosto do strażnika.

- Kiedy wyszedł Ernesto?
- Chyba zaraz za mną. Widziałem, jak się podnosi z miejsca.

I następny pokój. Siedział w nim Roberto, szczupły chłopak z długimi włosami.

- Kogo widziałeś w barze?
- Gdy tam wszedłem, proszę pana, nie zastałem nikogo.
- Na pewno?
- Tak jest. Po mnie przyszli Pietro i Finito.
- Czy widziałeś na ladzie tacę z fasolą i kawą?
- Tak, proszę pana. Zabrał ją potem strażnik.
- Przed czy po przyjeździe tamtych?
- To było już po przyjeździe chłopaków.
- Co oni robili?
- Podeszli do bufetu, zamówili jedzenie i usiedli.
- Czy któryś z nich podchodził jeszcze do lady? Pomyśl.
- Owszem, ale nie pamiętam, co to był za jeden.

I znów zmiana pokoju. Całe piętro „Karaibskiego Towarzystwa Handlowego” było zajęte. Przesłuchiwanym posadzono każdego z osobna. Jose wpadł teraz do pokoju, w którym był Pietro.

- Opisz dokładnie, jak było w barze.
- Gdy tam przyszliśmy, zastaliśmy Roberto. Zamówiliśmy jedzenie i usiedliśmy przy stoliku. To wszystko, proszę pana.
- Czy podchodziłeś jeszcze do lady?
- Ja nie, to Finito. Brał szklankę.
- Czy gdy zamawialiście zarcie, stała tam taca z jedzeniem?
- Tak, proszę pana.

- Zbliżałeś się do niej?
- Staliśmy obok bufetu.

I znów marsz do następnego pokoju. Finito był zdenerwowany. Teraz się nawet ucieszył, że wreszcie ktoś przyszedł.

- Opowiedz, co było w barze, ale dokładnie.
- Poszliśmy tam we dwóch, Pietro i ja. Był jeszcze Roberto.
- I co dalej?
- Podeszliśmy do baru i zamówiliśmy jedzenie.
- Który z was stał najbliżej tacy?
- Ja, szefie.
- I potem podchodziłeś jeszcze raz?
- Tak jest. Brałem szklanę.

Jose wyszedł z pokoju i kazał natychmiast wezwać Pasco. Sam poszedł do swego gabinetu, usiadł ciężko w fotelu, sięgnął po cygaro. I wtedy wpadł zdyszany Pasco.

- Słyszałeś, co się stało?
- Tak jest, szefie.
- Jak się dotychczas sprawowali Roberto i Finito?
- Bez zarzutu. Trzeba ich ukarać?
- To jeden z nich. Likwidować jednak nie można, gdyż nie mamy dowodów. Będzie ferment. No i ludzi mało...
- Wyślę ich do interioru, pod obserwację.
- Zgoda. Tego strażnika też daj do innej roboty. Gapa z niego.
- Zrobione, szefie.

Pasco oczywiście nie wiedział, iż szef zastanawiał się też nad nim. Ostatnio było za dużo wpadek. Carreno, szykując odskok, zapewne umieścił w różnych miejscach swoje wtyczki. To normalne zabezpieczenie, a Felipe nie był idiotą, ale bardzo sprytnym graczem. Może i Pasco działa na dwie strony? Jednak likwidacja tego człowieka byłaby ryzykowna. Trzeba się bowiem

liczyć z odpornością ludzi. Łatwo wzniecić wśród nich panikę, a teraz są oni bardzo potrzebni. Jose wyczuwał tu jakieś niebezpieczeństwo. Odprawił Pasco gniewnym machnięciem ręki i kazał wezwać Bernarda. Gdy tamten zjawił się w gabinecie, Jose pożalił się:

- Widzisz, z kim pracuję? Jak nie dureń, to czyjś agent.

- Moi są w porządku, szefie.

- Tak myślisz? Nie przyszło ci do głowy, że któryś dał cynk temu od trucizny? W końcu chyba nikt nie łązi po budynku z takim nabojem w kieszeni. To mało prawdopodobne, moim zdaniem.

- Szef podejrzewa moich?

- Ty sprowadzasz faceta, a ktoś daje cynk, że jest tu taki jeden, ktoś sypie truciznę i mamy trupa.

- Rzeczywiście. Zbadam to, szefie.

- Ale też szukaj dziecka.

- Nic nie wiemy o matce?

- Zajmij się bękartami.

- Trudna sprawa, szefie.

Jose zauważył niechęć Bernarda do tej roboty. Grupa specjalna była przecież od łamania kości, a nie od szukania bękartów. Nie miał jednak akurat nikogo zaufanego. To znaczy - względnie pewnego... Po zdarzeniu z tym więźniem trudno było wierzyć komuś bez zastrzeżeń. Pozostał więc tylko Bernard...

„Do szefa operacji «Złote runo».

Prosimy o dane o miejscowej policji. Czy jest tam jakiś pewny człowiek, który mógłby się przydać w trudnej sytuacji? Czy ktoś bierze pieniądze od Syndykatu?

Leon”.

Kobieta i towarzyszący jej mężczyzna czekali, siedząc w samochodzie i obserwując budynek. Wreszcie na parkingu pojawił się samochód. W świetle latarni było widać nieco przygarbioną sylwetkę mężczyzny. Zamknął wóz i poszedł w kierunku klatki schodowej.

- To on.

- Stary...

- Nic się nie martw, swoje zrobi. Będziesz miała przyjemność.

- Świntuch!

Czekali, aż w mieszkaniu zapali się światło. I jeszcze dwadzieścia minut. Tyle wyznaczył sobie Lopez. Gdy wskazówki zegarka pokonały odpowiednią odległość, mężczyzna trącił kobietę w ramię.

- Już czas. Pamiętaj, bądź ostrożna.

- Już ja mu dogodzę...

Kobieta weszła po schodach na piętro, odszukała mieszkanie i zapukała. Długą chwilę panowała cisza. Już miała powtórzyć pukanie, gdy zauważyła, że ktoś wygląda przez judasza. Wiedziała, że jest obserwowana, więc stała spokojnie. Usłyszała wreszcie szcęk zamka. Drzwi uchyliły się.

- Myślałem, że przyjedziecie we dwoje.

- Alfredo zapewne nie będzie nam potrzebny.

- Proszę do środka.

- Dziękuję.

W mieszkaniu Frederico przyjrzał się kobiecie. Była dosyć młoda, nawet zgrabna, miała tylko zbyt ostry makijaż. Jej szyję pokrywały zmarszczki. Cazalla posprzątał mieszkanie, nakrył stół czystym obrusem, postawił na nim pękatą flachę wina i piękne kielichy. Wyjął też najładniejsze, jakie miał, talerzyki i sztućce. Doceniła to i skwitowała uśmiechem.



- Pięknie tu.
- Podoba się pani?
- Mam na imię Bianka.
- A ja Frederico.

Wprawdzie Lopez tyle o niej naopowiadał, lecz Cazalla nie mógł się wyzbyć skrepowania. Od dawna żył w samotności, odzwyczaił się od kobiet. Wydawało mu się, że wszystko jest już za nim, bezpowrotnie stracone. Obecność Bianki zakłóciła jego codzienność. Ona zaś jakby wyczuła ten nastrój, gdyż powiedziała z uśmiechem:

- Frederico, napijmy się po kapce wina, a potem pomogę ci przy kolacji.

- Ależ...
- Nie chcę być tylko gościem.

- Mam już wszystko przygotowane. Chcę ci pokazać, co potrafię.

- Zgoda.

W duchu zaś przyznał, iż Lopez nie przesadził. Dziewczyna była znakomita. Nalał wina, wypili po parę łyków, trącając się kielichami.

- Dobrze...
- Staralem się.
- Powiem nawet, że znakomite.
- Cieszę się.

I poszli do kuchni. Tu wesoło gawędząc - Cazalla ani się spostrzegł, jak zaczął rozmawiać z dziewczyną swobodnie - zabrali się do szykowania kolacji. Mówili o jedzeniu, o kulinarnych ciekawostkach, o programach telewizyjnych, winie - tu Frederico przypomniał sobie wszystkie winiarskie wiadomości, a miał ich sporo - wreszcie podjęli delikatny flirt. Cazalla był po staroświecku szarmancki, co Biankę wyraźnie bawiło. Brała to jednak za dobrą monetę.

Kolacja się udała. Pili wino, gawędzili, potem wspólnie posprzątali. Gdy skończyli, Bianka zapaliła papierosa. Stopniowo jednak wyczerpywały się tematy do rozmowy. Cazalla znów zaczął się denerwować. Nie wiedział, co robić. A jeśli dziewczyna roześmieje się mu w nos? Może trzeba zacząć od ustalenia zapłaty? Ale jak to zrobić? Żałował, że nie spytał o to Lopeza.

Ona tymczasem zgasila papierosa i usiadła obok niego. Poczul zapach jej perfum. Zaczęli się całować, a potem wzajemnie rozbierać. Milczeli. Cazalla poczul tylko wzbierające požądanie, podniósł dziewczynę i zaniósł do łóżka. Teraz już nic nie mogło go od niej oderwać.

Przypomniał sobie młode lata i brał ją z całą namiętnością, na jaką go tylko było stać. Ona reagowała podobnie i ich igraszki stawały się coraz gorętsze. Nie myślał o swoich latach, teraz liczyło się tylko prężące się pod nim ciało. Wreszcie opadli z sił. Leżeli obok siebie, Cazalla nie myślał o niczym. Jego samotność przetoczyła się nad nim i zniknęła. Już wiedział, że musi być w jego życiu kobieta. Bianka poruszyła się.

- Idę napić się wina.
- Przyniosę ci.
- Leż, leż, ja sama... Może chcesz?
- Z przyjemnością.

Leżał w błogim poczuciu, że oto ktoś się nim zajmuje. Bianka zmarudziła chwilę, wreszcie przyniosła dwa kielichy wina.

- Za tę noc, Frederico.
- Taki toast chętnie wypiję.
- Do dna!
- Do dna, dziewczyno!

Spał potem twardo, bez snów. Oddychał ciężko, chrapał,

przewracał się z boku na bok. Bianka poleżała chwilę przy nim, potem zaczęła się krzątać się po mieszkaniu, przyświecając sobie małą latarką. Najwięcej uwagi poświęciła kluczom, których cały pęk znalazła w teczce Cazalli. Wróciła do łóżka i nadśluchiwała oddechu mężczyzny. Chwilami sama też przysypiała. Tak doczekała świtu. Wstała, wymyła dokładnie kielich Frederica, potem znów napełniła go nieco winem i postawiła na miejsce. Napisała na kartce parę słów, ubrała się i wyszła zamykając drzwi. Poszła na przystanek autobusowy.

A Frederico spał jeszcze długo i smacznie. Gdy się obudził, zrazu nie był pewny, czy to czasem nie był sen. Zobaczył jednak przy nocnym stoliku dwa kielichy z resztkami wina i roześmiał się. Wprawdzie głowa mu nieco ciążyła, lecz zerwał się żwawo.

- Bianka!

Odpowiedziała mu cisza. Zdziwiony, poszedł do łazienki, tam jednak też jej nie było. I wtedy spostrzegł na stole kartkę.

„Kochanie!

Niestety, muszę już iść. Mam obowiązki, moja matka wymaga opieki. Było wspaniale. Jeszcze do Ciebie przyjdę. Moc całusów.

Bianka”.

Obejrzał nieufnie mieszkanie. W kuchni było posprzątane, wszystko stało na swoim miejscu. Pomyślał wtedy, że dobrze jest mieć w domu kobietę. No i ta noc... Na samo jej wspomnienie poczuł przyjemny dreszczyk. Westchnął... Jednak zbyt mało uwagi przywiązywał do kobiet. Stracił tyle przyjemności... Ale Bianka wróci, był tego pewien. Uspokojony, zabrał się do porannej toalety.

„Do Leona

Brak dokładnych danych co do policji. Istnieją tylko podejrzenia, wywołane widoczną tolerancją dla Syndykatu, ale to szersze zjawisko w tym kraju. Ewentualnie w grę mógłby wchodzić aspirant Mateo Rodrigez. Jest to zdolny policjant i - jak dotąd - uczciwy człowiek. Bądźcie jednak bardzo ostrożni.

Szef operacji «Złote runo»”.

## VI

Zbierali się w zaułku koło placu Zdobywców. Było to miejsce dyskretne, nierzucające się w oczy. Jean zaparkował półciężarówkę w cieniu rozłożystego drzewa, a oni zjawiali się kolejno. Najpierw Lefranc, potem Kuba, wreszcie malarz. Gdy byli już wszyscy, Lefranc powiedział cicho:

- A więc robimy ten obiekt. George otwiera, ja i Kuba penetrujemy, Jean i malarz ubezpieczają od zewnątrz.

- Wszystko jasne, wodzu.

Byli ubrani jak na akcję, maski na twarze przygotowane, broń sprawdzona. Kuba czuł się dobrze. Przygoda pociągała go. Powiedział swoim hipisom, że idzie do dziewczyny mieszkającej w mieście. Spędzi u niej noc. Na wszelki wypadek chciał mieć jakieś alibi.

Wysunęli się ostrożnie z zaułka. Była już głęboka noc. Gdy wjeżdżali z placu w aleję, minęli policyjny wóz patrolowy. Tamci jechali wolno, widocznie służba przebiegała spokojnie.

Pokręcili się trochę ulicami, sprawdzając na wszelki wypadek, czy ktoś za nimi nie jedzie. Wykręcili potem w stronę morza. Podjechali do „Karaibskiego Towarzystwa Handlowego” z drugiej strony. Jean zatrzymał wóz o jedną przecnicę dalej. Wygasili światła. Stali przez chwilę nasłuchując, co się dzieje w okolicy. Z portu dobiegały gwizdy lokomotyw i daleki łoskot

wagonowych zderzaków. Po półgodzinie Lefranc dał znak. Ruszyli.

George, Kuba i Lefranc przykucnęli koło ogrodzenia sąsiedniej posesji, tamci dwaj zaś przemknęli do przodu. Jean kierował się bardziej w lewo ku klombom i małym krzaczkom, malarz zaś obrał sobie śmietnik. Budynek z tej strony był nieoświetlony. Oczekali chwilę, nim Lefranc dał znak ręką. Chyłkiem przemknęli do krzaków, gdzie ulokował się Jean.

- Co widzisz?

- Nic.

Leżeli blisko siebie, więc mogli się porozumiewać ledwie słyszalnym szeptem. Ziemia pachniała, było tu pełno kwiatów, dzienny upał zmienił się w świeżość nocy. Aż trudno było uwierzyć, że właśnie przeprowadzają niebezpieczną akcję. Lefranc patrzył długo na budynek i jakby upewniwszy się w swoich zamiarach, szepnął:

- Idziemy, chłopcy.

Pierwszy podniósł się George. Przez moment widzieli jego pochyloną sylwetkę, nim rozplynęła się w mroku. Lefranc uniósł się na łokciach, rozglądając się wokół. Wreszcie Kuba usłyszał jego szept.

- Idę. Ty ruszysz, gdy już zniknę.

- Tak jest.

Pistolet tkwił jeszcze w kaburze. Kuba, wsparty na rękach, patrzył w mrok. Przez chwilę widział inspektora, potem jego postać zaczęła znikać. Szepnął więc do Jeana:

- Idę.

- Złam kark.

Nie wiadomo dlaczego przypomniały mu się nocne zajęcia na poligonie, w Polsce. Też skradał się w ciemnościach, wymacując przed sobą suche gałązki, by uniknąć hałasu. Szeleściły

wrzosy, gdzieś śpiewał ptak, a Kuba myślał wtedy tylko o pistolecie maszynowym. Do mokrej od rosy broni czepiał się piasek. Ile czyszczenia... Ale wtedy mieli naprzeciw siebie kolegów z pozoracji, a w magazynkach ślepe naboje. Teraz zaś wróg był prawdziwy. Wziął głęboki oddech i ruszył, zgięty wpół.

Przypadli koło muru, nasłuchując. Nic się nie działo. Lefranc przesunął się w kierunku drzwi. Prowadziły do nich schodki. Inspektor lekko poruszył klamką. Zamknięte. Wówczas, nie czekając na rozkaz, podniósł się George. Kuba pilnował z drugiej strony. Zamek okazał się niezbyt skomplikowany i po chwili drzwi się uchyliły. Wchodzili kolejno: Lefranc, George, Kuba. Oczywiście nie wiedzieli, że w pokoju dyżurnych zapaliła się lampka sygnalizacyjna. Tu zaś George dopiero po chwili odkrył przycisk uruchamiający automatycznie sygnał i wcisnął go. Lefranc wyszedł już na główny korytarz. I wtedy rozbłysły światła. Obaj z Kubą przywarli do ściany. Z drugiej strony pojawiło się trzech ludzi. Lefranc podniósł pistolet, strzelił. Tamci rozpierchli się jak stado wróbli i też zaczęli strzelać. Kule odlupywały tynk, pękła żarówka, ostro zagwizdały rykoszety. Lefranc cofał się wolno, osłaniany przez Kubę. Usłyszeli nagle okrzyk bólu i strzelanina ucichła.

Sytuacja była groźna, należało się wycofać z budynku. Strażnicy znów się ożywili. Odezwał się pistolet maszynowy. Długa seria podziurawiła ściany. I wtedy inspektor rzucił dwa dymne granaty. W korytarzu od razu zrobiło się ciemno i duszno, ludzi po obu stronach chwytął kaszel. W ciemności rozbłysły płomienie. To George rzucił parę granatów zapalających. Lefranc gwizdnął, co znaczyło: wycofujemy się.

Kuba dotarł do drzwi nieomal na oślep, krztusił się, objął

o poręcz schodów. Wreszcie powiało świeżością. Zatoczył się, oparł plecami o mur, oddychał szybko. Lefranc chwycił go za ramię.

- Zjeżdżamy!

- A George?

- Już pobiegł.

- Lecę.

Strach dodał sił i Kuba ruszył biegiem. Zyskali trochę czasu, nim tamci - oszołomieni dymem i wstrzymywani płomieniami - przebili się do drzwi. Kuba mijał akurat Jeana, gdy gwizdnął pierwszy pocisk. Jean odpowiedział natychmiast ogniem, zaraz też wsparł go malarz i tamci cofnęli się za drzwi. Po chwili padły strzały z jednego z okien, ale grupa pobiegła już ku samochodowi. Malarz wywalił w budynek cały magazynek i wycofał się jako ostatni. Gdy byli przy półciężarówce, rozjechały się syreny policyjnych wozów. Jeden z nich nadjeżdżał ich ulicą. Stali przyczajeni, aż ich minął. Poruszeni alarmem policjanci nie zwrócili uwagi na pusty, jak sądzili, wóz. A Jean nacisnął pedał gazu i samochód ruszył. Stało się to jednak chwilę za wcześnie. Zauważyli ich. Wykręcili pod budynkiem i na sygnale, błyskając światłami, pognali ulicą. Uciekający zyskali jednak sporo czasu i zdolali się oderwać. Musieli trzymać się mocno ławek, gdyż Jean wykonywał gwałtowne zwroty i siła odśrodkowa rzucała ich na boki. Starali się dotrzeć do starej dzielnicy. Gdy jednak w polu widzenia pojawił się drugi radiowóz, sytuacja stała się groźna. Wtedy Jean wykorzystał wąską uliczkę, zgubił ich na chwilę, przeskoczył skrzyżowanie, nie zwracając uwagi na świetlne sygnały, przedarł się na plac i do zaułka, z którego ruszali. Zatrzymali się. - Chodu, chłopak! Nie dać się!



Nim na placu pojawił się policyjny wóz, oni już przemykali tyłami domów. Wydostanie się poza teren poszukiwań było bardzo niebezpieczne. Policjanci jednak zadowolili się porzucenym wozem. Silnik był gorący, czyli przestał pracować przed chwilą. Wezwano więc ekipę techniczną, by pobrała odciski palców.

Lefranc wyznaczył miejsce zbiórki koło skały na końcu plaży. Załoga jachtu nie chciała chodzić nocą po przystani, pozostali też nie mogli kręcić się po mieście. Tu zaś było zacisznie, bezpiecznie i spokojnie. Gdy Kuba tam dotarł, George i Jean leżeli na trawie paląc papierosy. Przykucnął obok.

- A reszta?
- Czekamy. Miałeś spokojną drogę?
- Tak.
- My też. Policja chyba pognąła do strzelaniny.

W końcu grupa zebrała się w komplecie. Ostatni nadszedł Lefranc. Usiadł ciężko, zapalił papierosa. Widzieli, że jest niezadowolony. On zaś, gdy już trochę wysapał złość, odezwał się spokojniej:

- To na nic, panowie. Nie możemy tak na wariata.
- Ba, ale jak można było rozpoznać wcześniej?
- Też racja. Musimy zabrać się za tego faceta od Simona.
- To jest myśl. A teraz chyba się wykąpiemy.
- Ale nie wszyscy razem. Po dwóch.
- Dobra, losujmy kolejność.

Aspirant Rodriguez przybył na miejsce zdarzenia drugim wozem. Podczas gdy trwała pogoń za uciekającą półciężarówką, kazał policjantom obstawić budynek i nikogo nie wpuszczać. Wraz z dwoma podwładnymi wszedł do środka. Mały hall od

frontu nie nosił śladów walki. Stało tam dwóch ludzi. Rodrigez przyjrzał się im. Byli brudni, ich ubrania cuchnęły dymem. Patrzyli spode łba, wrogo.

- Ilu was jest w budynku?
- Dzwoniliśmy do pana Pasco i on...
- Sierzancie! Kajdanki i rewizja!
- Tak jest.

Po chwili strażnicy stali twarzami do ściany. Obszukano ich i zabrano rewolwery. Sierżant obrócił jednego twarzą do aspiranta.

- Ilu was jest?
- Jeszcze dwóch pilnuje tylnych drzwi.
- Jednak umiesz mówić. Co tu się zdarzyło?
- Napad, panie komisarzu. Byli jacyś ludzie w maskach.
- Ilu ich było?
- Chyba ze czterech. A jeszcze jacyś byli w ogrodzie... Dużo.
- Sierzancie, całą broń na dyżurkę, a ludzi pod straż.

Rewolwery, pistolety maszynowe, zapasowe magazynki, amunicja, noże... Ochrona była uzbrojona po zęby. Czterej strażnicy stali pod ścianą, patrząc ponuro na krzątającą się policję. Rodrigez zostawił ich sobie na później, a sam poszedł obejrzeć pole walki. Pracował już jakiś czas w policji, nie uważał się za nowicjusza, ale przyznawał w duchu - gdyż wobec ludzi robił mądrą minę - iż nie widział jeszcze nic podobnego. Korytarz był osmolony płomieniami, okopcony dymem, w paru miejscach spaliła się farba, kule porobiły rozliczne dziury i bruzdy, woda z hydrantów przemieniła ten kurz w błoto, część płytek podłogi popękała pod wpływem żaru, drzwi nadpalone. W błocie zaś walały się liczne łuski. Trzeba było przygotować meldunek dla komisarza.

Rodríguez zastanawiał się właśnie nad wnioskami z tego zdarzenia, gdy przed wejściem wybuchła awantura. Aspirant usłyszał podniesione głosy, a po chwili w korytarzu pojawił się policjant.

- Szefie, chce tu wejść jeden facet.

- Kto?

- Nazywa się Augustino Pasco. Mówi, że jest tu dyrektorem.

- Pasco? A jednak...

Swoją drogą ciekawe, co też powie ten wicehershzt. Z jaką miną wejdzie tutaj? Aspirant postanowił odbyć pierwszą rozmowę z nim właśnie tu, na pobojuwisku. Kiwnął na jednego z policjantów.

- Obskocz budynek i przyjrzyj się, co tu mają.

- Tak jest, panie aspirancie.

Odczekał jeszcze długą chwilę, zapalił papierosa, przyglądał się jak policyjny fotograf błyska fleszem i dopiero wtedy powiedział:

- Przyprowadźcie go tu. I nie dajcie mu zajrzeć do dyżurki.

- Tak jest

Czekał. Dmuchał dymem w górę i słuchał kroków nadchodzących ludzi. Pasco zaczął coś gniewnie mówić, ale nagle go zatkało. Oddychał szybko, jakby biegł. Rodríguez obrócił się ku niemu.

- I co pan powie, panie Pasco?

- Co z moimi ludźmi?

- Są na razie zatrzymani.

- Czyście czasem nie pomylili adresu? To przecież nas napadnięto.

- Musimy zbadać całą broń.

- Są zezwolenia.

- Na pistolety maszynowe też?

- To jakieś nieporozumienie. Nasi ludzie mają tylko rewolwery. Nie wiem, co to za sztuczka, ale...

- Daj pań spokój... W tym bagnie leży mnóstwo łusek z tychże pistoletów maszynowych, a na dopiero co użytej broni są odciski palców waszych ludzi. Odebraliśmy im tę broń.

- Zaraz będzie tu nasz adwokat.

- Na razie nikt tu nie może wejść. Musimy zbadać wszystkie ślady.

- Złożę na pana zażalenie. Mamy prawo być przy wszystkich czynnościach śledczych.

- Kto, według pana, mógł dokonać napadu?

- Szerzy się bandytyzm, a wy nie możecie sobie z nim poradzić.

- Może przestanie pan gadać głupstwa, panie Pasco. Pytam, czy zauważyliście jakieś symptomy zagrożenia? Może telefony, może podejrzani faceci? Jacyś wrogowie?

- Jesteśmy spokojną, handlową firmą.

- A jednak ktoś postanowił zakłócić ten spokój.

- Zupełnie tego nie rozumiem.

Rodríguez był skłonny dać wiarę swemu rozmówcy. Widział, że Pasco jest zaskoczony. Stawia się dla zasady, lecz patrzy wokół bezradnie, niczego z tego, co się stało, nie rozumiejąc.

- Co mogło być celem napastników?

- Nie mam pojęcia.

- Czy macie w kasie większą gotówkę albo coś cennego?

- Nie. Operacje finansowe załatwiamy przez bank.

- Chciałbym jednak obejrzeć kasę.

- Co to ma do rzeczy?

- Dużo. Musimy znaleźć motyw. Proszę wezwać kasjera.

- Powinien być przy tym nasz adwokat.

- Panie Pasco, pan dobrze wie, że po takim zdarzeniu

powinienem zablokować budynek i nikogo tu nie wpuszczać. Niechże pan doceni moją dobrą wolę. Idziemy do gabinetu, stamtąd pan zadzwoni.

- Jeśli się pan upiera...

Aspirant był zadowolony, gdyż w ten sposób odciągnął Pasco od strażników, właśnie przesłuchiwanym przez policjantów. Zawsze jest lepiej na gorąco zebrać zeznania od zemocjonowanych ludzi. Potem zjawi się ich prawnik, zacznie motać, kręcić, gadać, przeszkadzać.

Pasco zasiadł do telefonu, długo czekał, aż ktoś u kasjera w domu podniesie słuchawkę, potem tłumaczył z narastającą złością, iż przybycie do biura jest nieodzowne. Kasjer, najwidoczniej rozespany, nie wszystko mógł pojąć. Wreszcie Pasco nie wytrzymał:

- Masz tu zaraz być, ty synu mały, bo ci nogi z dupy powyrywam!

To najwidoczniej pomogło. Pasco rzucił z wściekłością słuchawkę, otarł pot z czoła i sięgnął po cygaro. Pyknął parę razy dymem i znów zabrał się do telefonowania. Tym razem dzwonił do adwokata. Aspirant wstał i wyszedł na korytarz. Nie chciał dawać pretekstu do zażalenia o utrudnianie kontaktów. Za drzwiami dopadł go policjant z meldunkiem.

- W ogrodzie są ślady ludzi i łuski po nabojach.

Po chwili zameldował się też policjant sprawdzający budynek. Zdążył obejść dwa piętra i parter.

- Biuro jak biuro, szefie, ale w piwnicy mają regularny areszt.

- Siedzi tam ktoś?

- Teraz jest pusto, ale widać czyjeś ślady. Na pierwszym piętrze jest ranny człowiek. Postrzelony w rękę.

- Powiedz, żeby przesłuchali tamtego w sprawie aresztu. I wezwij karetkę pogotowia.

Miejsce na korytarzu okazało się dobre, gdyż co chwila wpływał jakiś meldunek:

- Pościg za podejrzanym wozem dał połowiczny rezultat. Wóz znaleziono, lecz ludzie zbiegli.

- Powiedźcie im, że są durniami.

Następne doniesienie wpłynęło od policjantów pilnujących drzwi wejściowych:

- Przybył kasjer, panie aspirancie.

- Zaprowadźcie go do gabinetu dyrektora.

Teraz Rodrigex już się nie sprzeciwiał, aby zaczekać na mecenasa Antonia Ayacucho. Wiedział, że nie tu leży rozwiązanie zagadki. Chyba że mają jakiś zamaskowany sejf, ale on go i tak nie znajdzie. Nie ma pretekstu do poszukiwań. Uśmiechnął się więc do dyrektora wielce przyjaźnie.

- Już kończymy nasze czynności.

- Cieszę się.

- Jest tylko do wyjaśnienia sprawa broni.

- Każę wszystko dokładnie zbadać i zawiadomimy pana.

- Dobrze. Aha, jeszcze jedno. Ciekawe, po co wam w handlowej firmie taki solidny areszt? Czyżbyście zamykali niewypłacalnych klientów?

- O czym pan mówi?

- O waszej piwnicy, oczywiście, panie Pasco.

- Nigdy w niej nie byłem. To pewnie jakaś pozostałość po poprzednich właścicielach.

Gdy przybył mecenas, poszli całą grupą, gdyż Rodrigex wezwał jeszcze dwóch policjantów, do kasy. Kasjer kolejno otworzył skomplikowane zamki, potem sejf i ich oczom ukazały się paczki banknotów.

- Sporo tego. Ile?

- Pan wybacz, panie aspirancie, ale to chyba nie należy do sprawy napadu.

- A może jednak? Przecież ci napastnicy po coś tu przyszli.
- To jest nasza handlowa tajemnica.
- Nie mam zamiaru zaglądać do kasy. Panowie sami podacie kwotę.
- Dobrze, niech i tak będzie.

Rodriguez był zadowolony. Ma teraz pretekst do kontaktów z panem Pasco. Jeszcze się spotkamy - pomyślał - a głośno wydał rozkaz zwinięcia obstawy. Trzeba teraz przeanalizować zebrane materiały.

W budynku zaś w dalszym ciągu panowało napięcie. Strażnicy meldowali się u szefa i zdawali dokładne relacje. Ściągnięci dodatkowo ludzie przeszukiwali teren wokół i oczywiście odkryli ślady napastników. Znalezione też łuski z broni nieużywanej w firmie. Wprawdzie atak odparto, ale Pasco nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju. Już nawet nie chodziło o to, że policja odkryła nielegalne uzbrojenie - mają od tego mecenasa Ayacucho, aby się wyłgać przed władzami - ale dręczyła go niejasność sytuacji. Walka z cieniem... Niewidzialny przeciwnik zadaje ciosy, a tu trudno się bronić, nic nie wiedząc. Pytanie podstawowe: kto? I dlatego Pasco zagarnął mecenasa do swego gabinetu, wyciągnął butelkę i nalał po szklaneczce whisky.

- Augustino, zaczynasz już od rana?
- Właściwie jest to zakończenie wieczoru.
- Pewnie wezwie cię Jose.
- Sam do niego pójde. Muszę.
- I co mu powiesz?
- Właśnie. Chciałem pogadać najpierw z tobą, Antonio. Pytanie brzmi: kto? I drugie: dlaczego? Coś mi się nie chce wie-  
rzyć, iż szło o forszę z kasy.

- Jakoś nic mi nie przychodzi do głowy.
- Chyba że jakiś diabeł przyniósł tu jankesów.
- To bardzo możliwe. Oni ciągle na nas patrzą.
- Ale czego ci jankesi szukają? Nie uderzają na linie przesyłkowe czy laboratoria, tylko na biura.

Nawet tak zaufanemu współpracownikowi jak mecenas Pasco nie chciał powiedzieć wszystkiego. Bo jeśli to Carreno? Przy rozgrywkach wewnątrz organizacji nigdy nie wiadomo, kto jest po czyjej stronie. Na razie żadne z działań mecenasa nie wzbudziło podejrzeń, ale każdego trzeba sprawdzać. Wydeleguje do takiej kontroli Ernesto Santovenię. Ten chłopak jest sprytny, inteligentny, odważny. I gdy tylko Ayacucho się wyniósł, kazał go zawołać.

- Mam dla ciebie małą robotę, Ernesto. Jak wiesz, każdy z nas podlega sprawdzaniu.

- Wiem, oczywiście.

- Zajmiesz się adwokatem Ayacucho. Wszystko o nim. O wynikach mi zameldujesz. Tylko mnie.

- Rozumiem, szefie.

Ledwo Santovenia zniknął za drzwiami, odezwał się telefon. Wezwanie do szefa. Jose Predrera pragnął zobaczyć go osobiście. Pasco posiedział jeszcze chwilę, usiłując stworzyć coś w rodzaju raportu, a potem pomaszerował do samochodu. Był w niezbyt dobrym humorze. Przeczynał, że rozmowa nie będzie łatwa. Zdziwił się jednak, gdy szef, zamiast obić mu na powitanie pysk, poczęstował go cygarem. W rozmowie był dziwnie łaskawy. Pasco był przyzwyczajony węszyć wszędzie niebezpieczeństwo, lecz tym razem nie umiał nic wyczuć. Gubił się więc w domysłach. Tymczasem Predrera przysiadł się bliżej, klepnął go w kolano.

- Mamy zagadkę, Augustino.

- Łamię sobie nad tym głowę od nocy.



- Powiadasz, że czterech?
- Tylu ich zauważono, chociaż mogło być pięciu lub sześciu.
- Muszą mieć tu jakąś bazę.
- Tego właśnie nie wiemy.
- Gdybyś znał odpowiedź, już by było po nich.
- Dziwi mnie, szefie, że nie uderzają w towar, tylko tak jakoś...

- Czegoś szukają. To już dwa obiekty. Trzeba wzmocnić ochronę reszty. Kasyna również...

- Tam możemy być spokojni. Comez to pewny facet.

- Nie ma absolutnych pewniaków, Augustino. Każdy ma swoją cenę lub jakąś słabość. Jeszcze tego nie wiesz?

- Zrobione, szefie.

Powiedział to raczej odruchowo, gdyż ten nagły zwrot w rozmowie speszył go. W głosie szefa brzmiały czasem takie nutki... Tygrys-ludojad. Podobno gdy raz posmakuje ludzkiego mięsa, poluje tylko na dwunożne istoty. I takiego trzeba koniecznie zabić, gdyż inaczej nie odzwyczai się od „pokarmu”. Zabić?

I gdy tak siedział obok swego szefa, musiał opuścić wzrok, aby przełożony nie wyczytał z jego oczu nagłej myśli. A gdyby tak potężny Jose zszedł z tego świata jeszcze przed zasłużoną emeryturą? Tyle się już zdarzyło tajemniczych przypadków... Czy nie mogłoby być jeszcze jednego zamachu? Wybuch w samochodzie na przykład... Albo niesprawne hamulce... Maszyny też czasem zawodzą. Kto wtedy rządziłby Santa Maria? Z pewnością Augustino Pasco jako wierny, długoletni i najlepiej wprowadzony w sprawy pracownik. Poczul dreszcze. Władza, pieniądze, prestiż... Z takim Jose liczą się wszyscy moiżni, omija go starannie komisarz policji, a tutejsza władza też go ceni...

Pasco nie mógł oczywiście odgadnąć prawdziwych myśli szefa. On zaś po prostu uważał, że sprawcą ich wszystkich kłopotów jest Carreno. A na walkę z takim cwaniakiem Pasco jest zwyczajnie za głupi. Niech więc wykonuje drobniejsze prace. Główną robotę musi wziąć na siebie grupa specjalna.

Niespodzianek było jednak więcej. Pasco zawsze gdy wspominał ten dzień, kłął najgorszymi słowami. Oto bowiem zjawił się z meldunkiem człowiek, któremu polecono założyć podsłuch w antykwariacie.

- Dziwna sprawa, szefie. Weszliśmy cichutko i obejrzeliliśmy dokładnie lokal. Tam już są podłączone „pluskwy”.

- Co takiego? Kto, u diabła, to zrobił?!

- Tego nie wiemy. Nikogo w pobliżu nie było.

- Jakie urządzenie?

- Amerykańskie, zdalny przekaz. Dosyć popularne. Można je wszędzie dostać.

- A więc nie tylko my...

Na razie nie pozostało im nic innego, jak tylko obserwować teren. Zaczynało już jednak brakować ludzi. Trzeba chronić tu i tam, bo przecież niewidzialny przeciwnik mógł się pojawić w każdym miejscu i czasie, a najbardziej trzeba było strzec głównego źródła dochodów - handlu. To, że tamci na razie penetrują biurowce, nic nie znaczy. Mogli przecież w każdej chwili rzucić się na laboratoria, magazyny, transport. A wtedy... Pasco wolał nawet nie myśleć o skutkach. Trzeba więc związać się jak w ukropie.

Bernard też był zafasowany. Otrucie Marco przecięło obiecujący trop. Miguel? Ale gdzie go szukać? Trzeba się mieć na baczności. Coś się bowiem dzieje wewnątrz Syndykatu. I kto zgadnie, ilu zwolenników ma Carreno?

Po raz pierwszy szef grupy specjalnej pomyślał o przyszłości. Co będzie, jeśli wygra tamta strona? Do tej pory mawiał, że kierownictwa mogą się zmieniać, a zawodowcy są zawsze potrzebni, ale... Zwykle tak bywa, że wraz z nowymi szefami wpływają na powierzchnię ich pupile. I oto pytanie: czy służyć wiernie Jose, czy też może szukać kontaktu z Carreno? Tak czy owak, trzeba dostać tego Miguela. Jedyna ścieżynka... Tylko gdzie go upolować?

Bernard, bardzo zajęty bieżącymi kłopotami, nie myślał oczywiście o wędrowce przez Zielone Wzgórza, dlatego w pierwszej chwili nie zrozumiał, kto dzwoni.

- Sanchez, proszę pana. Pan mnie zna.
- Pamiętam, oczywiście. Odkryłeś coś?
- Tak jest. Chcę przekazać wiadomość.
- Dobrze. Za godzinę w kawiarni „Pod kolibrem”.

Sanchez... To żądny zarobku chłopak. Czy warto mieć na Zielonych Wzgórzach informatora? Wywodzi się stamtąd niepewny element, na ogół same lumpy.

Jednak pojechał. Wybrał tę kawiarnię dlatego, iż nie znajdowała się w tej dzielnicy nędzy, lecz była położona na porządnej ulicy. Zamówił coca-colę i siedział bawiąc się zapalniczką. Nie czekał długo. Sanchez przeszedł ostrożnie między stolikami, stanął obok.

- Jestem, proszę pana.
- Siadaj. No?
- Tego człowieka dziabnął niejaki Miguel. Kolega Marco.
- Adres. I kiedy można go zastać.
- Z tym kłopot, proszę pana. On gdzieś znika, a potem znów się pojawia. Różnie...
- W takim razie obserwuj go. A gdy się zjawi...
- Będę potrzebował do tego paru chłopaków.

- Twoja sprawa... Weź paru dobrych, a dostaniesz trochę grosza. Gdy go wypatrzysz, wynagrodzę cię.

- Rozumiem, proszę pana.

Bernard zastanawiał się chwilę, czy uprzedzić chłopaka o niebezpieczeństwach kryjących się w tym zadaniu, ale pomyślał, że powinien się uczyć żyć na własną rękę. Człowiek musi przejść próbę ogniową. Albo wyjdzie z niej cało, albo przepadnie. Z takich właśnie wyrastają prawdziwi zawodowcy.

Bernarda dręczyła też myśl, że to wszystko mało. Marco, Miguel, to zwyczajne płotki. Co oni mogą wiedzieć, takie rzemieślnicy? Pilnowali domu, otwierali drzwi samochodu, konwojowali towar. Tu jednak potrzebny jest ktoś wtajemniczony w poważniejsze sprawy, znający sekrety Carreno. Ale skąd takiego wytrzasnąć?

Malarz wynajął mieszkanie przy ulicy Słonecznej. Tym samym odpadła konieczność wynajmowania samochodu do śledzenia antykwariatu. Zastosowali tu zresztą automatyczną rejestrację sygnałów. Zegar wyłączał urządzenie po godzinach urzędowania starego. W nocy nic się nie działo. Ale...

- Nie włączyłeś zegara, Vincente.

- Niech to diabli! Pewnie z pośpiechu.

Przyszli tu we dwóch. Mieli przesłuchać taśmy i sprawdzić działanie. Kuba wyjął taśmę, założył nową i włączył mechanizm. Teraz działał również głośnik, lecz słyszeli tylko jakieś szelesty. Najwidoczniej ktoś przeglądał książkę. Kuba pomyślał, że tę „nocną” taśmę można wykorzystać teraz, dla pewności jednak włączył magnetofon.

- Chcesz posłuchać, jak myszy harcują?

- Właśnie. Ciekawi mnie nocne życie antykwariatu.

Taśma leciutko szeleściła, słychać było stłumiony warkot motorów, jakieś uliczne, pijackie hałasy, szuranie kroków. Głosy:

- Gdzie dajemy?

- Poczekaj, trzeba się rozejrzeć.

Znów kroki, paru ludzi chodziło po antykwariacie, szelesty i znów głos:

- Tu jest „pluskwa”!

- Co takiego?! O cholera!

- Szukamy jeszcze?

- Oczywiście!

Szukali bardzo dokładnie i odnaleźli wszystkie części instalacji podsłuchowej. Ku zdumieniu Kuby i malarza okazało się, że jednak je pozostawili. Czyżby liczyli, że znajdą trop? I znów powróciły zwyczajne, dalekie odgłosy miejskiej nocy. Kuba wyłączył magnetofon.

- Zrobiłeś dobrą robotę, Vincente.

- Ciekawe jest to nocne życie antykwariatu.

- Źródło w takim razie spalone. Teraz już nie warto tam chodzić.

- A Oliver przywiązywał do niego taką wagę.

- Szkoda, lecz nic nie poradzimy.

- I pomyśleć, że winny jest przypadek.

Oczywiście poszli zaraz na jacht do inspektora. Lefranc wysłuchał ich uważnie, a potem zadecydował:

- Ja z Jeanem zajmiemy się na razie panią Verą, a ty, George, przypilnuj domu. Rano zbierzemy radę wojenną i ustalimy, co dalej. Wy zaś teraz zwińcie lokal. Antykwariat spalony, trudno.

- Pewnie... W tej sytuacji...

- Chyba żeby dorwać faceta na neutralnym terenie.

- A może by się ucieszył z wiadomości o „pluskwach”?
- To też możliwe. Zobaczymy. Do jutra, chłopaki.
- Cześć, szefie.

Lefranc i Jean skorzystali z ożywionego ruchu i siedząc w wynajętym wozie obserwowali kasyno. Długo czekali, nim koło schodów zatrzymała się czarna limuzyna. Po kilkunastu minutach w drzwiach pokazała się piosenkarka. Szła energicznie, podtrzymując ręką długą suknię. Do schodów odprowadził ją mężczyzna w smokingu. Pożegnała go lekkim skinieniem głowy. Kierowca otworzył drzwi i Vera wsiadła.

- Trzymaj się ich, Jean.
- Oczywiście.

Limuzyna jechała z umiarkowaną szybkością, więc nie mieli kłopotów z obserwacją. Lefranc zaś obmyślał po drodze sposób nawiązania kontaktu z dziewczyną. Przy wysiadaniu? Kierowca jest zapewne zaufanym pracownikiem Syndykatu. Tak nie można. Gdy wejdzie do domu? Jest dość późno. Szanująca się kobieta nie będzie rozmawiać o tej porze z mężczyzną. W takim razie w dzień. Teraz tylko wytropią jej mieszkanie. I patrzyli z pewnej odległości, jak limuzyna zatrzymuje się przed wysokim domem w eleganckiej dzielnicy miasta. Apartamenty kosztowały tu drogo. Vera wysiadła, skinęła głową kierowcy i weszła do budynku. Portier, obserwujący wchodzących przez specjalną szybę, włączył elektroniczny zamek i drzwi się rozsunęły. Kobieta zniknęła w środku. Nie pozostawało więc nic innego, jak odjechać.

„Do szefa operacji « Złote runo » .

Druga akcja nie przyniosła rezultatów. Nie natrafiono na ślad dokumentów. Gzy uważalibyście za celowe zwerbowanie agenta? Czy mógłby nim być Alfonso Goias?

Leon”.

Frederico Cazalla miał udany wieczór. Nieoczekiwanie zresztą, gdyż Bianca jakiś czas nie dawała znaku życia. Lopez też się nie pojawiał i Frederico musiał pocieszać się wspomnieniami. Za każdym razem, gdy o niej myślał, przenikały go dreszcze. Pamiętał najdokładniej pierwsze zbliżenie, gdy posiadł ją, gdy odczuł jej obecność całym ciałem. Było to coś niezwykłego. Miał nieśmiałą nadzieję, że ją jeszcze zobaczy.

I zjawiała się... Zajmował się właśnie gospodarskimi sprawami: mył naczynia, zastanawiał się, kiedy oddać bieliznę do prania i wynając kobietę do gruntowniejszych porządków, gdy odezwał się dzwonek. Podszedł do drzwi, otworzył je. W progu stała Bianca!

- Witaj. Właśnie myślałem o tobie.
- Najwidoczniej masz siłę przyciągania.
- Bardzo się cieszę. Wejdz, proszę.
- Byłam dziś taka samotna i pomyślałam, że ty pewnie też.

Więc postanowiłam przyjść.

- Ja zawsze cię powitam z radością. Wiesz przecież...
- No więc jestem.

Przyniosła ze sobą trochę wiktuałów i dużą, oplecioną wikliną butelkę wina. Zakrzętała się zaraz po kuchni, a radosny, uszczęśliwiony Cazalla szykował stół do eleganckiej kolacji. Co chwila też wpadał do niej, by popatrzeć, co robi.

- Nie ma kwiatów.
- Nic nie szkodzi. I tak będzie pięknie. My dwoje...
- W takim razie postawię świece.
- To znakomity pomysł!

Była zaróżowiona, zadowolona, uśmiechnięta. Patrzył na nią i myślał, że oto niespodziewanie nawiedziło go szczęście. Młoda kobieta uznała, że wieczór spędzony wspólnie może być

atrakcyjny. Czyżby coś do niego czuła? Był przecież od niej znacznie starszy, a jednak... To mu pochlebiało.

Potem nie miał już czasu na myślenie. Zasiadli do kolacji, była wyśmienita, wino też mu smakowało. Bianka paplała z ożywieniem. Cazalla dostroił się do jej tonu, ostatecznie był po pracy. To jego osobiste życie i nic nikomu do tego. A ona opowiadała takie zajmujące historie z dzieciństwa... Oboje omijali sprawy aktualne, nie mówili o terażniejszości. I ona, i on jakby odwlekali chwilę, która przecież musiała nastąpić. Ta gra poprzedzająca pieszczoty sprawiała im wielką przyjemność. A gdy już znaleźli się w łóżku, gdy patrzył w świetle nocnej lampki na jej nagie ciało, myślał, iż wspaniale byłoby mieć taką kobietę na stałe. Bianka zaś objęła go za szyję i pociągnęła na siebie. Tak był nią zajęty, iż nie zauważył, że patrzy na zegarek. Tyle tylko miała na sobie: właśnie ten zegarek...

„Do Leona

Myśl zwerbowania agenta jest dobra, zostawcie jednak antykwariat. To handlarz, gotów was sprzedać w dogodnej chwili.

Szef operacji «Złote runo»”.



## VII

Wieczorem przeszła nad miastem burza. Wschodni wiatr uderzał gwałtownie na palmowe gaje i nadmorskie plantacje, przygiął do ziemi korony drzew, szarpał przewodami, potrząsał budami na Zielonych Wzgórzach, szumiał w masztach statków. Potem runęła ulewa. Woda napoiła spękaną od upałów ziemię, a nadmiar jej spływał wartkimi strumyczkami ku morzu. Ulewa trwała krótko, a po niej zapanowały ciemności. Po niebie przelewały się ciężkie chmury.

Ciemny, duży samochód jechał wolno ulicą w stronę parku okalającego Muzeum Ziemi. Zatrzymał się pod drzewami. Trzej mężczyźni tkwili w nim nieruchomo, obserwując otoczenie. Ten obok kierowcy zerkał od czasu do czasu na fosforyzowaną tarczę zegarka. O pierwszej powiedział cicho:

- Zaczynamy.
- Tak, już czas.

Wysiedli z auta i stojąc pod drzewami, jeszcze raz spenetrowali wzrokiem okolicę. Nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Weszli w zarośla na tyłach ogrodzenia, przykucnęli, rozglądając się. Przez dosyć gęste od tej strony krzaki przebijało światło. Przywódca podniósł się pierwszy.

- Jazda...
- Podeprzyj, Miguel...

Żelazne ogrodzenie składało się z ostrych prętów, jednak

pokonali je dosyć łatwo. Zeskoczyli na ziemię i tam znieruchomieli, bacznie nadsluchując. Nic się jednak nie działo. Zaczęli podchodzić bliżej. Ze skraju zarosli widzieli dokładnie bryłę muzealnego budynku, ciemne okna i to jedno, oświetlone. Wartownia. Dowódca położył rękę na ramieniu Miguela i już miał go lekko pchnąć, by ruszał do akcji, ale tylko zacisnął dłoń i tak ją trzymał. Nie wierzył własnym oczom. Pamiętał z rozpoznania: okno było okratowane i miało matowe szyby. Nachylił się do ucha Miguela:

- Patrz na okno. Uchylone... Dobrze widzę?
- Tak jest. Co robimy?
- Jeśli są widoczni, rąbiemy ich przez okno.
- Jasne...

A więc strażnicy naruszyli instrukcję. Zapewne przez tę burzę... Najwidoczniej wentylacja im nie wystarczała. Czuli się bezpieczni, przez wiele dni służby nic się podejrzanego nie działo. Siedzieli teraz przy stole i różnęli w karty nawet nie przypuszczając, że do okna podeszła śmierć. Dowódca podniósł pistolet z tłumikiem. Dwa suche trzaski - i dwie skrwawione głowy uderzyły o stół obok leżących nań pistoletów maszynowych.

- Otwieraj.

Miguel przyskoczył do drzwi, wyciągnął klucze. Operacja trwała parę sekund. Miguel szarpnął klamkę, drzwi ustąpiły. Teraz następne, do korytarza.

Tej nocy jednak w Muzeum Ziemi rządziły przypadki. Zamachowcy nie wiedzieli, że na osobisty rozkaz Jose było teraz tu trzech strażników. Trzeci poszedł akurat do toalety. Gdy wrócił, zobaczył zabitych kolegów. Błyskawicznie wyskoczył z izby na korytarz. Tam usłyszał chrobot w zamku. Niewiele się namyślając, wywalił w otwierające się drzwi serię. Łomot

wystrzałów zagłuszył jego strach i osamotnienie. Kule trafiły Miguela oraz poszarpały pierś i brzuch dowódcy grupy. Upadł pod progiem i konał w straszliwym bólu. Trzeci z napastników wybiegł w panice i zatrzymał się dopiero przy samochodzie.

Trzeci strażnik powoli, ostrożnie wycofał się do pokoju. Zgasił światło i kryjąc się przy murze, zamknął okno. Poczul się bezpieczniejszy. Na kolanach doczołgał się do sygnalizacji alarmowej - bezpośredni sygnał docierał do „Karaibskiego Towarzystwa Handlowego” - a tymczasem jego ocalały przeciwnik uruchomił silnik i błyskawicznie odjechał. Nie wiedział, gdzie się teraz udać. Akcję nadał dowódca grupy i on tylko wiedział, gdzie należy przekazać zdobycz. Zostawił więc samochód w starej dzielnicy miasta i ruszył pieszo do znanej sobie meliny. Ta mordercza seria w ciemnościach przedsięwzięcia wstrząsnęła nim. Tamci dwaj... O Boże! Pomyślał, że musi koniecznie napić się czegoś mocnego.

Alarm poderwał grupę wypadową. Trzech mężczyzn dopadło samochodu. Ruszyli w stronę Muzeum Ziemi, a dyżurny wykręcił numer telefonu do Frederico Cazalli. Czekał ze słuchawką przy uchu, aż wreszcie usłyszał zaspany głos:

- Słucham...
- Jedź natychmiast do siebie. Alarm!
- Ale...
- Ogłuchłeś! Alarm!

Dyżurny z wściekłością rzucił słuchawkę. Spił się, stary byk, że tak głupio odpowiadał? Nawet nie przypuszczał, że Frederico miał za sobą wyczerpującą grę miłosną. No i wino... Nie mógł pozbierać myśli, Bianka jednak natychmiast oprzytomniała.

- Co się stało, Frederico?

- Wzywają mnie do biura.
- Teraz? W nocy?
- Czasem trzeba i w nocy. No, muszę pędzić.

Ubierał się szybko. Alarm? Napad? Może pożar? Trzęsienia ziemi przecież nie było. Instrukcja zaś mówiła: po alarmie ma się udać na swoje miejsce, zabierając broń. Podstawowa zasada: dokumenty nie mogą wpaść w obce ręce. Spojrzał na Biankę.

- Czekaj, aż wrócę. Będę jeszcze przed świtem.
- Życzę ci powodzenia, Frederico.

Była uroczą w tym zaplonieniu, gdy zasłaniała piersi. Przez całą drogę nie myślał o sprawach służbowych, tylko o niej. Jak to dobrze, gdy w domu czeka kobieta...

Grupa operacyjna wjechała główną bramą i zatrzymała się na rogu budynku. Ludzie wyskoczyli z samochodu i skradali się wzdłuż ściany. Dowódca włączył radiotelefon.

- Sokół, tu Kondor. Czy mnie słyszysz?
- Sokół, słucham.
- Gdzie jesteś?
- Na miejscu.
- Co się dzieje?
- Na razie nic. Za drzwiami cisza.
- Sokół, idziemy do ciebie.
- Zrozumiałem, Kondor. Czekam.

Podchodzili ostrożnie do drzwi. Były otwarte. Błysk latarki wydobył z mroku głowę człowieka. Obok leżał pistolet z tłumikiem. I drugi trup. Obaj bardzo poranieni strzałami, w kałużach krwi. Jeden z przybyłych ubezpieczał na zewnątrz, oni zaś zamknęli drzwi i zapalili światło. Patrzyli chwilę na zabitych, potem zastukali do drzwi wewnętrznych. Gdy strażnik otworzył, dowódca grupy powiedział z podziwem:

- Aleś ich dostał...
- Tak się ustawili...
- Ilu ich było?
- Nie wiem. Zdaje się jednak, że ktoś uciekł.

Podczas gdy dowódca przyglądał się zabitym strażnikom, przyjechał Frederico Cazalla. Zahamował ostro przed wejściem. Wysiadł i ruszył w stronę budynku. Zatrzymał się w przedsiönku. Patrzył długą chwilę na twarz pierwszego trupa i nagle zaklął wściekle.

- Bodajby go piekło pochłonęło! Przeklęty bękart! Suczy syn!

- Znasz go?

- To Alfredo Lopez. Drugiego też poznaję. To Miguel. Czy byli w środku?

- Nie, zostali tu zatrzymani. Aha, mieli klucze.

Cazalla ukląkł przy Miguelu, nie zważając na kałużę krwi, i wyjął ze sztywnych palców pęk kluczy. Nie musiał się im nawet przyglądać. Wiedział: były identyczne jak jego klucze. A starszy grupy nawet nie przypuszczał, jaka burza szaleje w umyśle Frederico. Gdy Cazalla wstał i ruszył do drzwi, starszy grupy powstrzymał go ostro:

- Dokąd?

- Muszę skoczyć do domu. Na chwilę.

- Nikt nie wyjdzie stąd przed przybyciem pana Pasco.

- Trudno...

Radio trzeszczało, bez przerwy sypiąc meldunkami. Obserwatorzy zauważyli niezwykle ruch wokół obiektu. Samochody przyjeżdżały i odjeżdżały, zauważono też, że ludzie ledwie maskują broń. Coś się musiało stać. W środku nocy obserwacji nie prowadzono, podjęto ją dopiero teraz, wczesnym rankiem.

Aspirant Rodrigez zamyślił się, a potem usiłował znaleźć komisarza. Ruiz gdzieś się zapodział, trzeba więc decydować samemu. Ruszyli więc dwoma samochodami do muzeum. Policja dopadła obiektu w chwili, gdy z bramy wyjeżdżał jakiś wóz. Stanęli naprzeciw siebie. Rodrigez z dwoma policjantami wyskoczyli do nich:

- Policja! Nie ruszać się!

Ludzi Syndykatu ustawiono twarzami do samochodu, szybka rewizja, wyłuskanie broni.

- Kajdanki!

- Protestuję! Nie macie prawa!

To krzyczał barczysty mężczyzna. Poczzerwieniał, żyły mu nabrzmiały, głos miał ochryply, zły. Tymczasem jeden z policjantów wycofał samochód zatrzymanych i ruszyli. Przed budynkiem stał jeszcze jeden wóz. Lufy pistoletów maszynowych skierowały się na drzwi i okna.

- Policja! Wychodzi pojedynczo!

Milczenie. Budynek był jakby wymarły. Rodrigez odczekał chwilę i podszedł do zatrzymanych.

- Panie Pasco, proszę powiedzieć swoim, by wyszli bez oporu, bo inaczej weźmiemy tę budę szturmem.

- Tam jest tylko biuro.

- Tym bardziej. No? Dobrowolnie czy walka?

- Muszę ustąpić wobec przemocy.

- Dobra, dobra... No, działaj pan.

Rodrigez widział, jak Pasco rozgląda się pilnie, jakby licząc ludzi i broń. I zapewne doszedł do wniosku, że nie ma szans. Wyszedł z wozu i stanął naprzeciwko drzwi. Krzyknął chrapliwie:

- Frederico! Macie oddać się w ręce policji! Pojedynczo!

Cisza. Lufy mierzyły w okna i drzwi. Rodrigez czuł się niepewnie, ale teraz już nie mógł się cofnąć. Tymczasem drzwi

uchyliły się i wyszedł z nich jakiś człowiek. Odstawił pod ścianę pistolet maszynowy, rzucił obok rewolwer i trzymając ręce w górze, szedł ku policyjnemu wozowi. Funkcjonariusze obszuka-  
li mu kieszenie, założyli kajdanki. Wtedy wyszedł drugi. Poli-  
cjanci powtórzyli czynności i znów wszystkie oczy skierowały  
się na drzwi. Pojawił się w nich niemłody mężczyzna.

- Jestem ostatni.

- Przechodzić!

Skuto ich wszystkich i ustawiono pod ścianą. Rodriges z  
dwoma podwładnymi wszedł do środka. Widok, jaki tam uj-  
rzał, wstrząsnął nim, chociaż często widywał trupy. Czterech  
mężczyzn, dwóch dość mocno posiekanych kulami. I metalowe  
szafy. Wszedł na dwór, podszedł do samochodu, na którego  
masce leżały przedmioty odebrane zatrzymanym. Wziął pęk  
kluczy, nie zważając na wściekle spojrzenie Pasco. Zaczął pen-  
etrować szafy. Po chwili wyciągnął kilka teczek. Przejrzał pierw-  
szą i od razu spostrzegł, że są to ważne dokumenty. Nie  
wszystko rozumiał - w papierach roilo się od terminów han-  
dlowych - lecz jednateczka wzbudziła jego szczególne zainte-  
rowanie. Nazwiska. Adresy. Kwoty. Podpisy. Do pokoju wszedł  
policjant.

- Oni się denerwują. Chcą wezwać mecenasa Ayacucho.

- Powiedz, że to potrwa krótko. I popędź techników.

Siedział jeszcze nad papierami, gdy odezwał się telefon.

Odczekał chwilę i postanowił podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Daj mi do telefonu Pasco.

- Już wyjechał.

- Dobrze.

Miał więc jeszcze trochę czasu do przybycia przedstawicieli Syndykatu. Szybko przerzucił pozostałe teczki, wyjął z nich kilka pism, schował resztę do szafy. Po namyśle wytarł starannie klamki. Akurat wtedy nadjechała ekipa techniczna. Rodriguez zarządził, aby wykonali zdjęcia, zebrali łuski i broń. Augustino Pasco usiłował protestować.

- Żądam natychmiast adwokata!
- Zaraz wezwiemy. Na razie, panie Pasco, są tu cztery trupy.
- Z mojej broni nie strzelano.
- Dobra, dobra... Wszystko musimy zbadać.

- Bierzemy go, chłopaki?
- Chyba czas na to.

Plan był prosty: trzeba jechać za nim, a gdy Santovenia znajdzie się w dogodnym miejscu - na przykład w jakiejś knajpie - wtedy się go zdejmie. Inne działania zależały od rozwoju sytuacji.

- Weźmiemy go w trójkę: Kuba, Vincente i ja.
- A my?
- Zaczekacie na nas koło skał.
- W porządku. Wszystko jasne.

Grupa szturmowa podjechała wynajętym samochodem w pobliże „Karaibskiego Towarzystwa Handlowego” i zaczęła obserwować wejście. Panował tu większy ruch niż zwykle. Ludzie wchodzili i wychodzili, podjeżdżały samochody. Wreszcie się pojawił. Ernesto wyszedł z budynku, gdy minęło południe. Przystanął na chwilę w drzwiach, rozejrzał się i wolno poszedł do samochodu. Sprawiał wrażenie człowieka zaaferowanego. Pojechali za nim, a on kierował się do portu. Nie dojeżdżając



do niego, zatrzymał się koło baru. Znalazł wolne miejsce i zaparkował. Oni stanęli nieco dalej i wyskoczyli na chodnik. Zaraz też odszukali „obiekt”. Santovenia siedział na wysokim stołku nad szklaneczką jakiegoś napoju. Był zamyślony i zapewne nie spostrzegł, że miejsce obok zajął młody mężczyzna. Za plecami Ernesto stanął hipis. Sąsiad pochylił się do Ernesto.

- Santovenia, nieprawdaż?

- Pan mnie zna?

- Chcę pogadać.

- Nie mamy o czym.

- A może jednak?

- Nic z tego.

Kuba dotknął ramienia Ernesto, ten się zachnął, a Lefranc powiedział łagodnie:

- Teraz wyjdziemy jak przyjaciele. Bez kawałów, bo są dwie lufy.

- Coście za jedni?

- Aleś nerwowy. Przecież mówię, że chcemy tylko pogadać.

- Cóż... Chyba nie mam wyboru.

Lefranc roześmiał się głośno i klepnął go po ramieniu. Ernesto zsunął się ze stołka i całą grupą poszli do wyjścia. Zaraz też podjechał malarz. Wzięli Ernesto między siebie, a gdy ruszyli, Lefranc powiedział:

- Oddaj spluwę, przyjacielu. Zwrócimy przy pożegnaniu.

- Kto was wie...

Sięgnął jednak do wewnętrznej kieszeni. Lefranc obejrzał broń i schował ją. Tymczasem wóz wydostał się na nieco wolniejszą przestrzeń i przyspieszył. Widzieli, że Santovenia rozgląda się pilnie, jakby chciał zapamiętać trasę.

- Nie męcz umysłu, przyjacielu. Odwieziemy cię.

- Tak tylko patrzę. Zastanawiam się, z kim mam do czynienia.

- Jesteśmy turystami.

- Powinniście więc pluskać się w morzu, a nie zaczepiać ludzi.

- Brakowało nam czwartego do brydża.

- To źle trafiliście. Słabo gram.

Wyjechali za miasto i skręcili na boczną, wyboistą drogę. Musieli zwolnić. Gdy zbliżyli się do skał, zobaczyli Jeana. Na widok samochodu zdjął plażowy kapelusz - był to znak, że wszystko jest w porządku. Okolica wolna...

Zachowywali się jak plażowicze. Stroje kąpielowe, parasol przeciwsłoneczny, na serwecie kanapki i napoje. Pistolety ukryli pod ręcznikami. Pokazali je swemu „gościowi”, a Lefranc ostrzegł go:

- Tylko bez kawałów, Ernesto. Sam widziałeś...

- Czego chcecie?

- Już mówiliśmy. Chcemy porozmawiać. Mamy do ciebie dwie sprawy.

- Nie boicie się Syndykatu? Czy wiecie, co to za organizacja?

- Nie żartuj. Myślisz, że Syndykat będzie cię bronił?

- Kim właściwie jesteście? Z kim walczyacie?

- Chcemy się spotkać z Felipe Carreno. To bardzo ważne.

- Dlaczego właśnie mnie to mówicie?

- Według naszych informacji, Felipe uniknął śmierci w hotelu, gdyż ostrzegł go pewien człowiek.

- Ach tak...

Mimo że Santovenia siedział w cieniu parasola, jego czoło pokryły kropelki potu. Zdenerwowany zagryzał wargi, nie mógł opanować nieskoordynowanych ruchów rąk.

Zdołał wreszcie zapalić papierosa. Zdawał sobie sprawę, iż nad jego głową wisi topór.

- Po co wam Carreno?

- Bo wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi.

- To wiem, ale dokładniej...

- Potrzebujemy informacji. Dużo i ważnych.

- Amerykańska policja? Nie wyglądacie na jankesów.

- Jesteśmy z Międzynarodowej Organizacji do Walki z Kokaïną.

- Rozumiem. Carreno jednak nie ma najważniejszych informacji, a też chce je zdobyć. Dziś w nocy z tego powodu zginęło czterech ludzi.

- Tak czy owak, kontakt jest niezbędny.

- Na niego polują. Chyba rozumiecie, że on musi się kryć. A ja muszę najpierw mieć jego zgodę.

- Rozumiemy to.

- Jak można się z wami skontaktować?

- Pamiętaj, jeśli przyjdzie ci do głowy coś głupiego...

- Rozumiem. Więc jaki kontakt?

- Nadasz list na poste restante dla „Albatrosa”. Poczta Główna.

- Dobrze. Teraz jednak muszę już wracać.

- Zaraz cię odwieziemy.

Predrera był wściekły. Pasco się nie zjawiał. Wyjechał z muzeum i jeszcze go nie było. Przy drugim telefonie głos rozmówcy wydał się sekretarce podejrzany. Zażądała więc, by podszedł do aparatu któryś ze znanych jej ludzi. Żadnego jednak nie było. W tej sytuacji postanowiła zawiadomić szefa.

- Tam się coś dzieje, proszę pana. Cazalla nieobecny, a rozmawiają jacyś obcy.

- Sprawdzić!
- Wysłać ludzi?
- Natychmiast!

Mimo złości Predrera opanował się jednak i nakazał zdwojoną czujność. Trzeba sprawdzać ostrożnie. Najpierw należy posłać tam kogoś neutralnego: listonosza, inkasenta, hydraulika. I ten Pasco... Czyżby dał się zaskoczyć? Przez chwilę sam miał zamiar udać się do muzeum - myśl o dokumentach doprowadzała go do wściekłości - ale dał spokój. Trzeba zostać tu i czuwać nad zdarzeniami. Po chwili dostał nową wiadomość:

- Przed muzeum stoją policyjne wozy.
- A nasza załoga?
- Nikogo nie widać.
- Mówiłem, żeby wysłać kogoś w przebraniu.

I drugi telefon na linii bezpośredniej, której numer znali tylko wtajemniczeni:

- Słucham.
- Mówi Ayacucho. Dostałem wiadomość, że gliny mają Pasco i Cazallę.
- Pod jakimi zarzutami?
- W muzeum znaleźli trupy.
- Idź tam, Antonio. Droga jest każda chwila. Oczywiście wiesz, co robić. Najpierw kaucja...
- Rozumiem. Jadę tam.

A więc znów czekanie. Cierpliwe czekanie, gdyż w tym momencie nie może nic zrobić. Atuty są w rękach policji i póki nie wyłożą kart na stół, nie można wykonać żadnego ruchu. Aby osłabić swoją niecierpliwość, kazał wezwać Bernarda. Szef grupy specjalnej zjawił się natychmiast. Predrera przywitał go z chmurną miną.

- Co masz dla mnie?

- Jeszcze nic, szefie. Zdobyłem namiar na faceta, ale go nie ma.

- Co za jeden?

- Ma na imię Miguel.

- Coś się dzieje, Bernard. Trzymaj ludzi w pogotowiu.

- Mam ich stale pod ręką.

- Ty szukasz i szukasz, a Carreno działa.

- Podciągniemy się, szefie.

Ledwie odprawił Bernarda, gdy odezwali się ludzie wysłani na rozpoznanie. Mieli jednak niewiele do powiedzenia.

- Nie puszczają. Gliny nas przegnały.

- Trzeba było coś wymyślić.

- Ostrzy. Nie słuchają żadnych tłumaczeń.

- Koniec akcji, wracajcie do bazy. Pozostawcie tam tylko obserwatora.

Policja... Co, do wszystkich diabłów, robi tam policja? Przekłety Carreno! On rozrabia, a gliny korzystają z sytuacji. Oblęd! W pokoju było już ciemno od dymu cygarowego. Podeszedł do okna i otworzył je mocnym szarpnięciem. Chociaż słońce prażyło mocno, stał i patrzył. A w głowie ciągle ta sama myśl: dokumenty! Zaciskał zęby, aby nie kłać głośno. Dokumenty! Każdy, nawet najgłupszy posterunkowy, od razu zorientuje się w ich znaczeniu. Skoro tam weszli, to na pewno zaglądali do szaf. Ale jak zameldować o tym wydarzeniu kierownictwu Syndykatu? Przemilczeć tego nie wolno. To jeszcze większy grzech. I większa zań kara. Predrera czuł się teraz tak, jakby ziemia zatrzęsała mu się pod nogami. Rozglądał się po gabinecie - czyżby to były jego ostatnie tu chwile? W jaką przepaść spadnie?

Dzwonek telefonu rozwiął jego ponure myśli. Podniósł szybko słuchawkę. Usłyszał głos mecenasa:

- To ja, Jose. Kaucje na razie odpadają. Jest czterech umrzyków.

- Kto?

- Dwóch naszych, oni zginęli najpierw, a potem trzeci strażnik rozwalil dwóch napastników.

- Czy ich rozpoznano?

- Byli to Alfredo Lopez i niejaki Miguel.

- Co to za faceci?

- Jego ludzie, Jose.

- A niech to diabli!

A więc Bernard nie dostanie już Miguela. Przeniósł się, biedaczek, do wieczności. Lopez? Znał to nazwisko. Wynika z tego, że Carreno działa szybko, chociaż miał pecha.

- Możesz tu przyjechać, Antonio?

- Teraz właśnie wezmą ich na przesłuchanie.

- Powiedz im, aby się nie przyznawali do niczego i przyjeźdź.

- Jak sobie życzysz.

Jose nie chciał powiedzieć przez telefon nic więcej. Kto wie, może ma podsłuch? A swoją drogą, do tej pory nic takiego ze strony władz nie dało się zauważyć. Śledztwo w sprawie zamachu pod „Astorią” wlokło się ślamazarnie. Tu zaś... Skąd, u diabła, wzięli się tak szybko koło muzeum? Czekal więc niecierpliwie na mecenasa, a gdy ten się pojawił, wziął go zaraz do siebie, uprzedzając sekretarkę, by nie łączyła żadnych rozmów i nikogo nie wpuszczala.

- Mów. Czego chcą od naszych?

- Przesłuchują ich jako świadków w sprawie zabójstwa z broni palnej czterech mężczyzn. Pytają o przebieg wydarzeń.

- Co mogą odkryć?

- Niewiele. Z naszych strzelał tylko jeden i to właściwie w obronie własnej, po śmierci dwóch kolegów.

- Co powiedzą o swej pracy?
- Byli wynajęci do pilnowania Muzeum Ziemi. Dyrektor potwierdzi.
- Broń?
- Z tym jest kłopot. Przekroczenie przepisów.
- Musisz znaleźć jakiś wykręt.
- Staram się, jak mogę.
- Napastnicy?
- Oczywiście nic o nich nie wiemy. Nikt ich nie zna.
- Dobrze. Co policja wie o dokumentach?
- O tym na razie nie było mowy.
- Kto ma klucze?
- Policja wzięła wszystkie.
- Jak to? Nie rozumiem.
- Dziwne, lecz napastnicy mieli komplet kluczy.
- Co na to Cazalla?
- Powiedział, że nic z tego nie rozumie.
- Niech tylko wyjdzie, to ja z nim pogadam...
- Niech...
- Masz wątpliwości, mecenasie?
- Mówiąc szczerze, tak. To śmierząca sprawa, Jose.

Predrera otworzył barek, nalał do dwóch szklanek sporo whisky. Mecenasa dolał sobie wody sodowej, a jego szef pił dużymi łykami sam alkohol. Czuł, jak uspokajają się jego rozedrgane nerwy. Znow był skupiony. No tak, zaczyna ciężką batalię o własną głowę. Pieniądze można tracić i odzyskiwać, ale głowa spada tylko raz. Znow wypił duży tyk i pochylił się ku mecenasowi.

- Posłuchaj, Antonio, uważnie i zapamiętaj: pojedziesz zaraz na policję i zorientujesz się, co wiedzą o naszych dokumentach. Powołaj się na tajemnicę handlową, na prawa obywatelskie i na co tam jeszcze chcesz. Za wszelką cenę wyważaj, co

wiedzą. Jeśli się do nich nie dobrali, ocal naszą własność.

- Rozumiem.

- I sprawa następna: masz coś na komisarza?

- Szantaż?

- W tej sytuacji dobrze byłoby mieć na niego jakiegoś haka.

- Wysilę swoje szare komórki, szefie.

- Spiesz się, Antonio. Czuję, że czas gra tu wielką rolę. I próbuj oczywiście wyciągnąć naszych ludzi.

- Jasne. Zrozumiałem. Zrobię, co będę mógł.

Ayacucho wyszedł, a Jose dopiero teraz dopił swego drinka. Siedział zamyślony ze szklaneczką w dłoni. Teraz najbardziej frapowały go klucze. Dziwna historia... Ale z tym trzeba poczekać, aż wróci Cazalla...

Dziwnym trafem w tej samej chwili Frederico Cazalla też myślał o kluczach. Właściwie nie przestawał się nad tym zastanawiać ani na chwilę. Czuł się winny. To tylko przez niego mogło się to w ogóle zdarzyć. Prawdę poznał w momencie, gdy ujrzał zastrzelonego Lopeza. Straszna prawda. Chciał biec do domu, ale to było bez sensu. Bianka zapewne wyszła zaraz po nim. Musiała też wiedzieć - żmija - że to właśnie dziś. Dlatego była taka przymilna. A on, stary dureń, dał się tak fatalnie nabrać. Uwierzył. Wystarczyło, aby zdjęła majtki, a już zapomniał o wszystkim. Lopez zręcznie zarzucił sidła. Od razu rozpoznał, że ma do czynienia z durniem. Czy nie lepiej pójść raz w miesiącu do burdelu? Nie ma się wtedy zobowiązań, a tak... Trzeba będzie po wyjściu z komisariatu wszystko zgłosić. Jest lojalnym pracownikiem i nic przed swoimi nie ukryje. Trudno, będzie



musiał ponieść konsekwencje. Męczyło go tylko to, iż nie wiedział, czy policja zajrzała do szaf. Na razie nikt o tym nie wspomniał.

„Do szefa operacji «Złote runo».

Pierwszy krok do kontaktu z Carreno zrobiony. Może macie coś o Ernesto Santovenii? Dogadujemy się z nim na zasadzie wspólnego wroga, lecz przydałoby się coś jeszcze.

Leon”.

Komisarz bardzo się ucieszył z meldunku aspiranta. Wyszedł przed biurko, mocno uściśnął mu rękę i posadził przy małym stoliku. Jeszcze nigdy Rodrigez nie składał raportu w ten sposób.

- Opowiedz mi, drogi chłopcze, wszystko ze szczegółami.

- Tak jest, panie komisarzu.

Popijali lekkie wino, które wyjął z barku Ruiz, i palili cygara. Rodrigez - starając się oszczędnie używać słów, a jednocześnie pragnąc możliwie wiernie oddać przebieg zdarzeń - mówił o wszystkim, co się stało od chwili meldunku obstawy muzeum. Ruiz nie przerywał mu, tylko od czasu do czasu kiwał głową na znak aprobaty. Ożywił się, gdy aspirant doszedł do szaf.

- Co tam znalazłeś, Mateo?

- Mnóstwo dokumentów, wyglądających na handlowe.

- I tylko tyle?

- Nie. Wziąłem jedną teczkę. Bardzo ciekawą, panie komisarzu. Co prawda na papiery tylko rzuciłem okiem, bo się spieszyłem, ale były tam nazwiska.

- To ta teczka?

- Tak jest.

- Dasz mi ją?
- Oczywiście, panie komisarzu. Właśnie po to ją przyniosłem.

Rodriguez oczywiście nie dodał, iż zrobił odbitki z co ciekawszych materiałów. Właściwie sam dobrze nie wiedział, czy się przydadzą, pomyślał jednak, iż zapewne będą musieli zwrócić dokumenty właścicielom - nie mają przecież prawa do takiej konfiskaty - więc chciał, by coś u nich zostało. Teraz podał teczkę komisarzowi.

- Proszę.
- Dziękuję ci, chłopcze. Spisałeś się na medal.
- Ja tylko dla dobra służby...
- Nie bądź taki skromny. Dobrze popracowałeś. Co teraz robicie?
- Przesłuchujemy ich.
- Wypytaj o wszystko i zwolnij ich za kaucją, niech mi tu nie śmierdzą.

- Jak pan komisarz sobie życzy.
- Ty prowadzisz sprawę, a ja ci tylko doradzam.

Oczywiście wiedział, że Rodrigez przyjmie jego słowa jako polecenie. Tak zresztą powinno być: przełożony sugeruje, a podwładny wykonuje. Wziął teczkę do ręki, czekając niecierpliwie na wyjście aspiranta. Pałała go ciekawość. Rodriguez, jakby domyślając się nastroju szefa, podniósł się.

- Jeśli pan komisarz pozwoli...
- Idź. Masz dużo roboty.
- Chcę być przy niektórych przesłuchaniach.
- Słusznie, Mateo.

Wypiwszy spory łyk wina, Ruiz niecierpliwie otworzył teczkę. Uważnie, ostrożnie przekładał papiery. Czytał linijkę po linijce. Nazwiska, sumy, daty, miejscowości. Własnoręcznie napisane oświadczenia i podpisy. Niby nie było tego dużo, ale

ładunek miał sporą siłę rażenia. Ogarnęła go radość. To jest właśnie to. Długo marzył o takiej zdobyczy, właściwie przez cały czas pracy w policji. Tajna, groźna broń. Ile to może być warte dla rządu? A dla Syndykatu? Dla Amerykanów? Każda ze stron suto by zapłaciła. A sami zainteresowani? Każdy z nich odda wszystko, aby po wsze czasy zniknął papierek z jego nazwiskiem. Kopalnia złota! Ba, co tam kopalnia... To istne Eldorado! Można będzie zamienić trudną i biedną egzystencję policjanta na dostatnie, ba, nawet bogate życie rentiera. Będzie też mógł się stać mecenasem sztuki i, na przykład, sfinansować karierę jakiejś zdolnej śpiewaczki. Odpowiednio młodej, oczywiście... Podróże, piękne samochody, jacht. Rzuci do wszystkich diabłów to duszne, ciasne biuro, przeniesie się na wybrzeże Pacyfiku lub na Wyspy Bahama, zacznie wreszcie żyć jak człowiek. - Tylko mądrze wykorzystaj sytuację, Ruiz, abyś nie zrobił jakiegoś fałszywego ruchu - pomyślał. Ten strzał musi być celny.

„Do Le o n a

Ernesto Santovenia, kadrowy pracownik Syndykatu, jest niebezpieczny. Sprawdźcie, czy nie gra na dwie strony. Policja z Wysp Bahama ma na niego poszlaki o prochy oraz o sprawy z dziewczynami. Wmieszany w zabójstwo prostytutki, nie odpowiadał przed sądem, gdyż się ulotnił. Sprawa jeszcze nieprze-dawniona.

Szef operacji «Złote runo»”.

## VIII

Na pocztę wyruszyli w szyku ubezpieczonym. Przesyłkę zdecydował się odebrać Lefranc, mając w odwodzie Kubę i Jeana. Ustalili też drogę odwrotu. Malarz zaś miał pilnować, czy ktoś nie śledzi tej kawalkady. Ludzi kręciło się tu sporo, lecz Kuba widział wyraźnie, jak Lefranc podchodzi do okienka. Krótko rozmawiał z siedzącą tam dziewczyną. Po chwili otrzymał kopertę. Nie otwierając listu, ruszył do wyjścia. Jean odezwał się od pulpitu, gdzie niby wypełniał jakiś blankiet, i ruszył za inspektorem. Kuba, stojąc nieco dalej, obserwował, kto jeszcze wychodzi i gdzie się kieruje. Jego uwagę zwróciło dwóch ludzi: młodzieniec w rozpiętej do pasa kwiecistej koszuli oraz pan w średnim wieku w dużym, plażowym kapeluszu. Obaj szli za inspektorem, porozumiewając się spojrzeniami. Potem młodzieniec zatrzymał się przy automacie z napojami, a pan w kapeluszu wsiadł do autobusu. Lefranc tymczasem oddalił się. Jean szedł wytrwale za nim, Kuba zaś miał ich w polu widzenia. Malarz trzymał się z boku.

Miejsce zbiórki wyznaczyli sobie w ulicznej kawiarence. Lefranc poszedł do toalety, a Jean zajął stolik. Zaraz też pojawił się Kuba z kartami w rękę. Nudził, rozmawiał, aż zabrał się do wróżenia. Gdy Lefranc wrócił, karty były w pełnym ruchu.

- Panu też powróżyć?

- Nie wierzę we wróżby.
- Źle pan robi... Potrafię odgadywać przyszłość.
- No dobrze, możemy się pobawić.

A gdy usiedli blisko siebie i upewnili się, że mogą mówić spokojnie - Lefranc pomacał się po kieszeni.

- Mamy spotkanie.
- Odezwali się jednak.
- Za dwie godziny wypłyniemy w morze, on się ma tam zjawić.
- Morze... Trudno się ubezpieczyć.
- Musimy jednak zaryzykować.
- Pewnie... Nie ma innego wyjścia.

Lefranc dopił wino i wstał, Jean również. Do przystani jachtowej było wystarczająco daleko, aby przekonać się, że za inspektorem nikt nie idzie. Nie było też w pobliżu żadnego wolno jadącego auta. Przed przystanią malarz i Kuba wycofali się, a pozostali weszli na pomost. Wkrótce jacht wypłynął w morze. Włączyli silnik. Minęli falochron przystani i zakołysali się na morskich falach. Postawili żagiel i halsując, parli do przyładka.

Kuter szedł trochę skośnie do ich kursu. Po jakimś czasie było jasne, że miną się w niewielkiej odległości. Gdy się do siebie zbliżyli, na jachcie usłyszeli głos spotęgowany przez tubę:

- Ahoj, słyszycie nas?!
- Tak! Czego chcecie?!
- „Albatros”, przyjmijcie pasażera!
- Spuście łódź!

Jacht zrefował żagle i szedł wolniutko wzdłuż burty kutra. Oba stateczki kołysały się mocno na fali i nie mogły za bardzo zbliżyć się do siebie. Wreszcie łódka znalazła się na wodzie. Do wiosła zasiadło dwóch ludzi, a trzeci siedział w środku. Był

ubrany w podniszczoną koszulę w paski i sfatygowane spodnie. Z jachtu rzucono drabinkę sznurową, łódź podeszła do samej burty, człowiek uchwycił się drabinki i po chwili znalazł się na pokładzie. Był dosyć młody, barczysty, miał bystre spojrzenie. Lefranc uznał, że powinien odezwać się pierwszy:

- Witamy na pokładzie.
- Dzień dobry. Nazywam się Carlos.
- Spodziewaliśmy się pana Carreno.
- Jestem jego pełnomocnikiem.
- Zapraszam na drinka.
- Z przyjemnością.

Gość miał przyjemny uśmiech i dobre maniery. Najwidoczniej nie zawsze przebywał na rybackich kutrach. Teraz zeszli obaj do kabiny, Lefranc nie pożałował najlepszej szkockiej whisky, przybysz zaś nie chciał psuć jej smaku wodą sodową. Lefranc zastanawiał się chwilę nad tożsamością tego człowieka, ale w końcu dał temu spokój. Bo niby jak to sprawdzić? Żądać pełnomocnictwa? Pisemnego upoważnienia? Absolutny nonsens! Carlos zaś pociągnął duży łyk trunku i przerwał milczenie:

- Nie mam zbyt wiele czasu, więc przejdźmy do rzeczy.
- Proszę bardzo.
- Panowie szukacie kontaktu z Felipe Carreno. Dlaczego?

Kim jesteście?

- Międzynarodowa Organizacja do Walki z Kokainą. A co do pana Carreno... Czy pan jest zorientowany we wszystkim?
- On właśnie mnie tu wysłał i uppełnomocnił.
- Musi pan wiedzieć, że pan Carreno poszukuje kontaktu.
- Tak jest. Tyle że Syndykat się zorientował.
- Jak to się stało?

- W otoczeniu pana Carreno był zdrajca.
  - Możemy pomóc, lecz chcemy mieć coś w zamian. Pan Carreno pracował długo na Karaibach, miał też amerykańskie kontakty. Chodzi o dokumenty dotyczące tamtejszych powiązań.
  - Rozumiem. Będziemy mieli te informacje.
  - Może chcecie pomocy?
  - A co nam wtedy zostanie?
  - Współudział też się liczy.
  - No tak. Jak doszliście do naszego człowieka?
  - Pan wybaczy, Carlos, to są sprawy operacyjne. Każdy ma swoje sposoby.
  - Pytam nie dlatego, aby przeszkadzać wam w działaniu, ale aby zabezpieczyć się przed przeciekami.
  - Od nas na pewno nic się nie wydostanie. Na czym więc stajemy?
  - Będziemy współpracować. Postaramy się coś zdobyć i wtedy się skontaktujemy.
  - Zgoda. Kiedy to może nastąpić?
  - To trudna sprawa. Syndykat jest potężny i niełatwo go ugryźć.
  - A może zadziałamy równolegle?
  - Próbujcie. Zwróćcie, na przykład, uwagę na kasyno „Esplanada”. To istna jaskinia Syndykatu. My nie mamy tam dojścia. Może wam się uda?
  - Dzięki za informacje. Być może spróbujemy.
  - Łączność niech będzie jak teraz: poste restante.
  - Zgoda, Carlos. Przyjmujemy.
- Uścisk dłoni przypieczętował porozumienie. Carlos i Lefranc wyszli na pokład. Kuter trzymał się wciąż w pobliżu. Jean dał sygnał świetlny i tamci znów wysłali łódkę. Tym razem zeszło im trochę dłużej, gdyż fale były większe. Carlos równie

zręcznie zszedł po drabince i już stojąc w łódce, podniósł rękę na pożegnanie. Lefranc odpowiedział takim samym gestem. Potem jacht podniósł żagle i skierował się w morze. Załoga zgromadziła się wokół steru. Palila ich ciekawość.

- I jak poszło, Olivier?
- Zawarliśmy porozumienie o współdziałaniu.
- Nie wyglądasz jednak na ucieszonego.
- Oni nie odsłanili swoich tajemnic, a ja naszych. A konkretnie, to napuszczają nas na kasyno. Chcą zachować swobodę działań. Kto wie, może Carreno liczy na zwycięstwo w tej wojnie domowej? Trzeba będzie powiadomić centralę.
- Kasyno? Ktoś oprócz tej piosenkarki?
- Właśnie. Na tym polega zagadka.

Mecenas spisał się znakomicie. Dzięki jego znajomościom w sądzie i zamaskowanym, lecz zrozumiałym groźbom i naciśkom Pasco i Cazalla zostali zwolnieni za kaucją. Z pozostałymi poszło łatwiej, przy pionkach bowiem nikt się nie upierał. Per-swazje mecenasa sprawiły również, że policja po sfotografowaniu obiektu, zdjęciu odcisków palców, skrupulatnym zebraniu broni i łusek oddała magazyn Syndykatowi. Mecenas tłumaczył, że pomieszczenie to jest niezbędne do pracy. A komisarz specjalnie się nie upierał...

Zgodnie z rozkazem szefa, Cazalla tuż po zwolnieniu pojechał prosto do swego miejsca pracy. Nie pozwolono mu ani na chwilę wpaść do domu. Eskortował go cały czas Santovenia. Kiedy Cazalla otwierał drzwi, stał tuż za jego plecami. Gdy się znaleźli przy szafach, Cazalla stracił cierpliwość:



- Wyjdź, tu nie wolno.
- Kazano mi...
- Za drzwiami. Wyjdź, bo zamelduję.
- Dobra, dobra... Nie wściekaj się, stary.

I wyszedł. Cazalla zaczął sprawdzać. Jego przypuszczenia, potwierdziły się: najważniejsze dokumenty zabrano. Zmartwiał. Jak powiedzieć szefowi o takiej stracie? Przecież go zabiła! Wpajane przez lata poczucie wierności firmie kazało mu przyznać, że będą mieli rację. Naruszył reguły gry jak gówniarz. Oddał w ręce przeciwników groźną broń. Teraz policja w ciągu jednego dnia może porwać na strzepy całą misternie, latami tkaną, kosztowną karaibską (i nie tylko) siatkę. I pomyśleć, że to wszystko przez jego zauroczenie kobietą. Dał się podejść - stary chłop - jak jakiś młodzieniaszek, który nigdy nie miał kobiety. Otumaniała go ta kurwa... I mała pociecha, że Alfredo Lopez zapłacił życiem. Dokumenty zostały stracone. Cazalla jechał więc do szefa jak na ścięcie.

Pasco też miał powód do zmartwień. Jadąc z komisariatu do „Karaibskiego Towarzystwa Handlowego” zastanawiał się, co powiedzieć szefowi. Nie zrobił bowiem żadnych postępów w poszukiwaniu Carreno, wręcz przeciwnie. Obiekt został zaatakowany prawie skutecznie. I na dodatek policja... Skąd się tam wzięli? Na to pytanie też trzeba znaleźć odpowiedź. W sumie wyszła wielka chryja. Wprawdzie sprawę broni zapewne da się załatwić łapówką, ale było też mnóstwo innych problemów. Obiecywał sobie, że od razu weźmie w obroty strażnika dokumentów, by tym samym odwrócić uwagę szefa od siebie.

Cazalla dotarł na miejsce wtedy, gdy Pasco akurat kończył swój raport o wydarzeniach ostatniej nocy. Jose wydał Polecnie i klucznik od razu znalazł się w gabinecie szefa. Pasco na jego widok przerwał opowiadanie.

- Niech on sam wyjaśni.
- Nie wiem, o co chodzi, szefie.
- Powiedz, Cazalla, czy znasz zabitych?
- Znam. Obaj pracowali u nas.
- Skąd mieli klucze?
- Nie wiem, o co pan Pasco mnie oskarża.

Więc jednak... W pierwszej chwili Cazalla wpadł w panikę. Suchość w gardle, nie mógł przełknąć śliny, czuł dreszcze, trzęsły mu się ręce - koniec. Jednak zdobył się na wysilek. Odpowiedział za swe czyny. W Syndykacie nikt nim nigdy nie poniewierał. Zawsze umiał zachować się z godnością, nawet z dumą. I dlatego teraz, ignorując Pasco, zwrócił się wprost do szefa:

- Powiem, co wiem, niech szef pyta.
- Dobrze, pogadajmy.

I Predrera kiwnął ręką, jakby odsyłając Pasco. Ten zaś zerwał się z krzesła i opuścił pokój. Gdy zostali sami, Predrera podszedł do Cazalli i usiadł przy nim. Miał zatroskaną twarz, lecz mówił spokojnie, bez złości:

- Na czym się potknąłeś, chłopie?
- Baba, szefie...
- Podsunęli ci kurwę.
- Tak jest, a ja dałem się złapać jak głuptak.
- Baby... Ilu dobrych ludzi przez nie nawaliło. Skąd była?
- Z polecenia Alfredo Lopeza. Bianka.
- Obiecuję ci, że ją dostaniemy.
- Dziękuję, szefie.

Cazalla wiedział, że Predrera rozmawia z nim prawie jak z martwym. Tak musi być. Nawalił i zapłacił... Trzeba jednak mieć honor i nie pokazywać po sobie strachu.

- Piłeś z nią, a ona zrobiła odciski kluczy.
- Piłem, a potem spałem bardzo twardo.

Predrera pokiwał ze zrozumieniem głową, jakby to było normalne, iż dziewczyny dodają mężczyznom do wina środki nasenne. Nie krzyczał, nie okazywał zdenerwowania. Cazalla czuł do niego sympatię. I wdzięczność za zrozumienie.

- Kto otworzył szafy? Oni?
- Nie. Miguel i Lopez padli przed progiem.
- Więc policja... Wzięli ci klucze?
- Tak jest. Zabrali wszystkie. Potem moje oddali.
- Zorientowałaś się, co wzięli?
- Tak jest. Zniknęła dokumentacja dotycząca Karaibów.
- Wiedzieli, co brać.
- Komu oddać klucze?

Predrera uśmiechnął się. Podobało mu się zdyscyplinowanie tego człowieka. Zna reguły gry. Bez awantur, spokojnie... Rzadki przypadek, chociaż każdy powinien umieć się tak zachować.

- Zostaw mi.
- Proszę, tu są wszystkie.

Szkoda... To ci twardziel! Oddał pęk kluczy i nawet nie drgnęła mu ręka. Ani się skrzywił. A jednak trzeba... To konieczne dla dyscypliny. Ludzie muszą wiedzieć, że płaci się za każdy błąd.

- Dobrze, Frederico. Możesz iść... Broni ci nie zabieram.
- Dziękuję, szefie.
- Myślę, że się na tobie nie zawiodę.
- Moje słowo.

Predrera klepnął go po ramieniu, jakby żegnając się i jednocześnie zachęcając do wyjścia. Gdy rozstrzygnął się los tego człowieka, przestał się nim zajmować. Czekало na mego tyle spraw... Pomyślał tylko, że oto maleje krąg starych współpracowników. Cazalla skreślony... Dobry, wierny Cazalla. Cóż, przeniósł uroki kobiecego ciała nad interes służby. A mógł

przecież zameldować o Lopezie. Można by wtedy dojść do Carreno. Stracona okazja... Teraz trzeba myśleć szczególnie trzeźwo. Nacisnął dzwonek.

- Daj mi mecenasa Ayacucho.
- Jest też pan Pasco.
- Niech poczeka. Najpierw mecenas, szybko!
- Już go wołam.

Predrera przeszedł się kilka razy po gabinecie, to go trochę uspokoiło. Znow połączył się z sekretariatem.

- Niech wejdzie Pasco.
- Dobrze, proszę pana.

Pasco trochę skruszał, czekając. Wszedł pokornie, stanął przy drzwiach. Jakby nie ten sam Pasco, który - bywało - potrafił bez pytania poczęstować się cygarem.

- Mam dla ciebie ciągle to samo zadanie.
- Tak jest. Carreno.
- Chyba wiesz, że tym razem musi ci się udać.
- Pojmuję, szefie.
- W takim razie idź i działaj. I westchnij do Boga lub diabła, aby ci pomogli. Wybierz tego, którego wolisz...

I niecierpliwy ruch ręki, który znaczył: „Zjeżdżaj. Nie mam ochoty oglądać dłużej twego pyska. Już i tak mi podpadłeś. Ciesz się, że jeszcze daję ci zadanie”. Zresztą zaraz pojawił się mecenas Ayacucho. Był zmęczony i chętnie przyjął cygaro oraz lekkiego drinka.

- Co podziała na komisarza?
- Na razie był nieszkodliwy.
- I tu popełniliśmy błąd, Antonio. Dawno trzeba było go zneutralizować. A teraz jak myślisz? Pieniądze? Baby?
- Może jakieś sidła?
- Masz pomysł?
- Na razie nic mi nie przychodzi do głowy.

- Wymyśl coś, i to szybko. Dostaniesz wszystko co trzeba, ale pułapka musi być skuteczna. Rozumiesz? Tak aby miał do wyboru kompromis lub kompromitację.

- Na pewno coś się znajdzie.

- Myśl szybko, Antonio. I kontaktuj się tylko ze mną.

Kto mógłby być łącznikiem? Takie pytanie zadawał sobie komisarz Ruiz, próbując ukryć gdzieś swoją teczkę. Ciągłe nie mógł wymyślić dla niej absolutnie bezpiecznego schowka. W biurze? Syndykat zapewne ma tu jakąś wtyczkę. Może nawet kilka? Swoją drogą, nigdy nie usiłowano przekupić samego komisarza. Lekceważą go? A może mają pewność, że nie podejmie przeciwko nim żadnych działań? Czyli musi tu być kapuś. A więc sejf odpada. W domu? Tam może dostać się każdy złodziej, a co dopiero poszukiwacz tajemnic. No i gdzie niby można ją w domu schować? Do szafy z bielizną? Śmieszne! Więc gdzie? I wreszcie wymyślił, że tym dokumentom najbezpieczniej będzie w bankowym sejfie. Komisarz włożył kluczyk do portfela i nareszcie odetchnął spokojniej. Teraz czas na pertraktacje.

I to był właśnie problem nurtujący komisarza. Sukces jest wtedy, gdy uzyska się korzyści. Dokumenty muszą przynieść dochód, bo inaczej są warte tyle, co makulatura. Ale kto zapłaci najwięcej? Syndykat? A może Carreno? Co bowiem może oznaczać zdarzenie w Muzeum Ziemi? Tylko walkę o dokumenty. Są tak ważne, że giną przez nie ludzie. Jaką cenę za nie wyznaczyć? Policja nie da złamanego grosza, najwyżej małą nagrodę za dzielną służbę. Czyli dużo honoru, a mało korzyści. Trzeba więc szukać dojścia do Carreno lub Syndykatu.

Carreno... Po śmierci Camino śledztwo jakoś nie mogło ruszyć

z miejsca. Utknęło na wytartym notesie nieboszczyka i jego niezrozumiałych zapiskach. Dopiero teraz coś drgnęło. Dzięki szybkiej akcji aspiranta Rodrigeza poznano dwa nazwiska ludzi Carreno. Alfredo Lopez... Notowany w kartotece. Wprawdzie zginął, ale przecież gdzieś mieszkał, chodził, jadł, spał, kupował, pił wino, zadawał się z dziwkami. Utrzymywał też kontakt z szefem.

I drugi rzeźmieszek: Miguel Abalos. To samo. Rejestr działań wprawdzie mniejszy, lecz też „zasłużony”. Czyżby te ślady mogły gdzieś zaprowadzić?

Aspirant Rodriguez miał ostatnio wiele roboty i nie należało obciążać go jeszcze bardziej. Trzeba działać inaczej. Komisarz zagłębił się w charakterystyki swoich podwładnych. Wreszcie jego wybór padł na Francisco Galveza. Był to policjant w średnim wieku, rozgarnięty, umiejący rozwiązywać delikatne sprawy. I bardzo dyskretny, co komisarz bardzo sobie cenił. Wydawał się być oddany swemu szefowi. Ruiz nie miał powodu wątpić w jego lojalność.

Rozmowa zaczęła się od deklaracji lojalności. Ruiz po prostu spytał podwładnego, czy może na niego liczyć.

Galvez aż poderwał się z krzesła. |

- Co za pytanie, panie komisarzu. Na mnie zawsze.

- Chcę powierzyć ci ważne zadanie.

- Zrobię, co pan komisarz rozkaże.

- Wiem, chodzi jednak o całkowitą dyskrecję.

- Jak pan komisarz sobie życzy.

- Mówię tak, bo u nas też różni bywają.

- Tak, panie komisarzu. Zdarza się...

- Masz tu dwa nazwiska: Lopez i Abalos. Cecha wspólna: w swoim czasie pracowali dla człowieka o nazwisku Carreno. Żyli w naszym mieście. Trzeba rozpracować ich powiązania i znajomości.

- Czy mam też dojść do tego Carreno?
- Widzę, że jesteś bystrym chłopakiem. Tak, przetrzyj drogę, ale nie ruszaj go.
- Zrozumiałem, panie komisarzu.

Galvez - to jedno, ale Syndykat też się powinien odezwać. Tam przecież wiedzą, że policja buszowała w ich pomieszczeniach. Przypuszczalnie sprawdzili już, co wzięła. Nie będą siedzieli spokojnie. Dlatego też nie sprzeciwiał się wypuszczeniu tamtych za kaucją, niech idą i obejrzą rozmiary swej kłęski.

Na razie jednak nic się nie działo. Pojechał do kasyna, wypił drinka, wypalił cygaro, barman Oskar był grzeczny jak zwykle, portier też kłaniał się z szacunkiem. Nikt jednak nie wysuwał żadnych propozycji. Dało to komisarzowi dużo do myślenia. Nawet się nieco zatrwożył. Czyżby Syndykat szykował jakieś draństwo? Są potężni i mogą dopiec każdemu. Może lepiej z nimi nie zaczynać? Tyle lat żył w spokoju, aż wreszcie zjawił się ten narwaniec Rodriges...

Potem wpadł komisarzowi do głowy genialny pomysł. A gdyby tak spróbować ruszyć zwierza z jamy? Podrażnić? Zaniepokoić? Oto wśród papierów Syndykatu był jeden dotyczący akcji na wyspie Santa Monica. Jakies omówienie działań przy użyciu pseudonimów i stosownych haseł. Tylko kogo wypuścić z tym do prasy? Samemu komisarzowi nie wypada. Jeśli bowiem ma operacyjne dokumenty, powinien prowadzić dochodzenie, a nie rzucać sprawy dziennikarzom na żer. No i Rodriges... Dlatego potrzebna jest zasłona.

Mecenas Andreas Bello... Przyjaciel. Człowiek o mocnym charakterze. Komisarz podziwiał go za zręczność, z jaką potrafił przebijać się i zdobywać klientelę. Unikał spraw karnych, zajmował się głównie cywilnymi i dlatego nie miewał kolizji interesów z policją. Adwokat zbiera rozmaite wiadomości i

może udostępniać komu zechce różne materiały. Niech więc Bello zaciekawi prasę. Jak to wydrukują, Syndykat zrozumie, że skończyły się żarty.

Andreas Bello dorobił się pięknej kancelarii w śródmieściu. Zatrudnił w niej kilku aplikantów i personel pomocniczy. Gabinet miał urządzony nowocześnie, szkło i nikiel. Zdziwił się na widok komisarza. Zaprosił go serdecznie, otworzył barek.

- Co pijesz, Vincente?

- Jeśli można, colę. Wracam jeszcze do roboty.

W gruncie rzeczy Ruiz zazdrościł adwokatowi. Wysoki, przystojny, leciutka siwizna dodawała mu uroku, wysportowany - stale grywał w golfa i tenisa - swobodny w obyciu, pewny siebie. Tę pewność dawały mu pieniądze.

- Przejeżdżałem obok i pomyślałem o tobie, Andreas.

- To ładnie z twojej strony. Dużo masz roboty?

- Tak. Prowadzimy parę trudnych spraw. Najgorsze są narkotyki.

- Plaga naszego wieku...

- No, kokę żuto tu od niepamiętnych czasów.

- Mam na myśli środki przetworzone. Wyobrażam sobie, że walka z tym procederem jest trudna.

- Owszem. Wprawdzie to nasze zadanie, ale potrzebujemy wsparcia. Sami wszystkiego nie zrobimy.

- Wsparcia? Co masz na myśli, Vincente?

- Chociażby odpowiednie kształtowanie opinii publicznej.

- Masz rację, to jest niezbędne.

Komisarz był zadowolony z takiego przebiegu rozmowy. Teraz mógł bez trudu przedstawić propozycję, z jaką przyszedł. Wyciągnął więc odbitkę i położył na stoliku. Adwokat przeczytał tekst najpierw szybko, potem znacznie wolniej. Odłożył wreszcie papier i popatrzył pytająco na komisarza.



- Ciekawe...
- Prawda? Czasem zdobywamy coś takiego.
- Co zamierzasz z tym zrobić?
- Dobrze byłoby zapoznać z tym opinię publiczną.
- Też tak myślę.
- Chodzi tylko o to, że ja oficjalnie nie mogę udostępnić nikomu takich dokumentów.
- I dlatego przyszedłeś do mnie?
- Właśnie. Ty masz znajomości w prasie i jeżeli tylko zechcesz...
- Taki dyplomatyczny przeciek?
- Trafiliśmy w sedno, drogi przyjacielu. Właśnie przeciek...
- Co chcesz przez to osiągnąć?
- Większe zrozumienie społeczne. Tym bardziej że pewnie uda mi się zrobić następne przecieki.
- Myślę, że dziennikarze się tym zainteresują.
- Temu, który to wykorzysta, zagwarantujemy po zakończeniu sprawy wyłączność na nią.
- Dobrze, Vincente. Spróbuję.
- Będę ci bardzo wdzięczny.

Kręcimy się jak pies za własnym ogonem - to była jeszcze najłagodniejsza myśl Bernarda. Klął, ile wlezie, bo po śmierci Marco trop mu się urwał. Nie mógł też wypuścić na polowanie swych ludzi, gdyż kazano mu trzymać ich w pogotowiu. Wiedział, że Pasco coś spaprał - Bernard nie lubił tego zarozumiałego bubka - i zapewne trzeba będzie to naprawiać. Predrera trzymał go jednak w rezerwie i tak gnuśnieli w beczynności. Wreszcie odezwał się telefon, proszono pana Bernarda. Dowódca grupy usłyszał przejęty głos:

- Proszę pana, tu mówi Sanchez.
- I co powiesz, przyjacielu?
- Wolałbym osobiście.
- To przyjedź do mnie.

Bernard nie przywiązywał do tej rozmowy większej wagi, postanowił traktować ją jako rozrywkę w swym ostatnio nudnym życiu. Szef ciągle nie zlecał żadnych akcji. Czyżby szykował coś specjalnego?

Wkrótce chłopak zjawił się w pokoju. Przyjął z wielką wdzięcznością szklaneczkę wina i papierosa. Był zaszczycony tym poczęstunkiem. Bernard uśmiechał się łaskawie.

- Pij... Jak ci leci?
- Trudno o grosz, proszę pana.
- Masz coś ciekawego?
- To był Miguel Abalos, proszę pana. Ale on już nie żyje. Zabili go w Muzeum Ziemi.

- Pechowy jesteś, Sanchez. Co się tkniesz któregoś, to zaraz umiera.

- Naprawdę tak pan myśli?
- Po prostu nie masz fartu. Bywa...
- Proszę pana, ten Miguel miał kumpla.
- Co za jeden?
- Nazywa się Leonardo Guel.
- Kumpel, powiadasz? Od jak dawna?
- Razem zajmowali się prochami.
- Chłopie, czy słyszałeś kiedyś o Felipe Carreno?
- Pewnie! Ci chłopcy pracowali właśnie dla niego: Miguel, Marco, Leonardo Guel. Wszyscy.
- Gdzie mieszka ten facet?
- W naszej dzielnicy, niedaleko ode mnie.
- W porządku. Dam ci trochę forsy, a ty nie spuścisz go z oka, Sanchez. Dobierz sobie jeszcze kogoś i masz wybadać,

gdzie chodzi, co robi, z kim rozmawia. Umiesz robić zdjęcia?

- Nie próbowałem, proszę pana.
- Trudno. W takim razie pójdzie z tobą mój człowiek.
- Zaprowadzę go wszędzie.

A więc nareszcie coś drgnęło... Bernard pomyślał, że oto zyskuje wiadomość za zupełnie niewielką cenę. Podejmuje nowy trop. Szef powinien być zadowolony.

Leonardo Guel... Jakoś nie mógł przypomnieć sobie tego nazwiska, nie zetknął się z nim. Bernard, upewniwszy się, że nie będzie na razie szefowi potrzebny, pojechał do miasta. Przypomniał mu się bowiem Alfonso Goias. Przez pewien czas podsłuchiowano, co się dzieje w antykwariacie, jednak nie usłyszeli nic ciekawego. Ostatnio był najwidoczniej zastój w interesach.

Antykwariusz zdziwił się na widok Bernarda, ten zaś, nic nie mówiąc, poszedł w trzy miejsca, gdzie znaleziono „pluskwy” i rzucił je na stół.

- Widzisz, staruszkule?
- Coś podobnego?!
- Nie wiedziałeś o nich?
- Nie wiem tajemnic. Może mnie podsłuchiwać kto chce.
- Ktoś jednak czegoś się po tobie spodziewał.
- Nie mam pojęcia, kto to mógł być.
- Mam do ciebie sprawę, Goias.
- Słucham, proszę pana.
- Czy znasz faceta o nazwisku Leonardo Guel?
- Guel? Niech się zastanowię...
- Pospiesz się, bo nie mam czasu.
- Był taki u Carreno, w jego osobistej ochronie.
- Czyli blisko...

- Tak, zupełnie blisko.
- Co teraz ten Guel porabia?
- Ostatnio jakoś o nim nie słyszałem.
- Nie interesowałeś się, czy nie mogłeś zdobyć informacji?
- Nikt się o niego nie pytał.
- W takim razie przyjmij moje zamówienie.
- Ja wiadomości sprzedaję.
- Ach tak... A czy twoja głowa nie jest dostateczną zapłatą?
- Jak mam to rozumieć?
- Zostawię ci łeb na karku. Mało to czy dużo?
- Dowiem się, proszę pana.
- Postaraj się, Goias. Umieję być wdzięczny.
- Dobrze, proszę pana.
- I lepiej pilnuj interesu. Ciekawe, kto ci podrzucił to świństwo. Z kim jeszcze handlowałeś wiadomościami?
- Przychodzą tu ludzie po książki.
- Uważaj, Goias. Ze mną nie zginiesz, ale cholernie nie lubię grających na dwa fronty.
- Na pewno będę lojalny, proszę pana.
- Leży to w twoim dobrze pojętym interesie.
- Rozumiem, proszę pana. Dziękuję.

Przez moment Goias zastanawiał się, czy nie sprzedać temu łamignatowi ciekawskiego archeologa, jednak się powstrzymał. Peszyła go niejasność sytuacji. Za pana Jourdouina i tak nic nie dostanie - ten rzezimieszek nie miał najmniejszego zamiaru sięgać do portfela - a jeden Bóg tylko wie, z jaką potęgą zadarł. Była wystarczająco tajemnicza, aby się jej bać. Pan Jourdouin czynił zresztą aluzję do Managui, a Goias miał wiele powodów, aby starać się o tym mieście zapomnieć. Dlatego też uśmiechał się przymilnie i prosił Pana Boga, aby ten zbój nareszcie sobie

poszedł. Myślał przy tym ze skrucną, że wszystkiemu jest winna chciwość. Czy nie mógł skromnie żyć ze swoich dochodów? Po co człowiekowi pieniądze, jeśli może stracić przez nie życie?

Pokorny uśmiech Goiasa i jego pełne szacunku spojrzenie spodobały się Bernardowi. Klepnął antykwariusza swą mocną łapą, aż ten o mało nie przysiadł.

- Bywaj zdrow, przyjacielu. Możesz od dziś uważać, że się tobą opiekuję.

- Bardzo dziękuję, proszę pana.

Komisarz był bardzo zajęty i Rodrigez uznał, że nie ma szans na rozmowę z szefem. Zresztą coraz bardziej tracił chęć na oglądanie jego oblicza. Od chwili wzięcia teczek z dokumentami Ruiz jakby stracił zainteresowanie tą sprawą, cały paszтет pozostawiając aspirantowi. Prokurator był człowiekiem dokładnym i wymagał od śledczych precyzji. Trzeba było więc kompletować protokoły, opisy miejsc zdarzeń, wyniki ekspertyz. Tymczasem komisarz zachowywał się tak, jakby nareszcie dostał ulubioną zabawkę i pobiegł do swego kącika nacieszyć się nią. A więc?

Rodrigez postanowił zażyć trochę świeżego powietrza i pojechał na bulwar Zachodzącego Słońca. Były tam liczne parkingi, kawiarenki i bary, wypożyczalnie sprzętu, pawilony z piakami, kręcili się też gazeciarze i lodziarze. Aspirant zatrzymał się koło palmowego lasku, ulokował się pod parasolem, zamówił colę i zagapił się na morze i plażę. Usiłował się skupić. Było bowiem w tej sprawie coś niejasnego. Komisarz najwidoczniej prowadził jakąś grę. Co więc powinien poczuć on, Rodrigez?

Zawsze jest kilka możliwości. Pierwsza - jak gdyby nic...

Komisarz jest przełożonym i niech postępuje, jak chce. On, aspirant, ma robić policyjną robotę w wyznaczonym zakresie. I druga możliwość: ominąć komisarza i zameldować wyżej. Do stolicy. Dlaczego? Bo zwierzchnik nie reaguje. To naruszenie dyscypliny, fakt, ale dla dobra sprawy. Takie postępowanie nie leżało jednak w naturze aspiranta. Trzeba odczekać, niech komisarz bardziej odkryje swoje zamiary.

Była jeszcze trzecia możliwość: robić po prostu swoje. Zdobywać rozeznanie - co, kto, gdzie, jak... I w odpowiednim momencie działać. Gdy będzie jasność co do winy, wnioski nasuną się same. Więc nie można zdradzać zbyt wcześnie swych atutów, trzeba zaś działać i zdobywać punkty.

Komisarz... Tu Rodriguez miał coraz więcej wątpliwości. Cóż, Syndykat to potęga, mają sporo forsy, więc stać ich na kupowanie ludzi. Odpowiednich ludzi. Zwyczajny gliniarz patrolujący miasto nie dostanie oczywiście nawet centa, ale... No? Boisz się własnych myśli, Rodriguez?

Trzeba to stwierdzić bez ogródek: praktycznie nie mają żadnych wyników, jeśli chodzi o biały proszek. Czasami wpada jakaś ploteczka, jakiś gnojek nędzny, i tyle. A obok - czego prawie każdy się domyśla - przepływają duże partie towaru. Nawet najgłupszy posterunkowy widzi, że komisarz Ruiz omija te sprawy. Za ile? Żyje wprawdzie skromnie, ale kto wie, może gromadzi forszę w szwajcarskim banku? One są ponoć najpewniejsze.

Ale... Póki aspirant Rodriguez jest służbistą i wykonuje dokładnie rozkazy komisarza, nie musi się niczego bać. Ewentualny gniew stolicy nie spadnie na niego. Gdyby jednak zaczął grę na własną rękę, poniesie również ryzyko. Bądźmy jednak realistami. Co aspirant Rodriguez może zrobić Syndykatowi? No, po ostatniej akcji coś by się znalazło. Choćby te dokumenty...

Samotni rycerze mogą tylko atakować wiatraki. Potrzebni są sojusznicy, ludzie dążący do tego samego celu. Wtedy można by się pokusić o zrobienie porządku w Santa Maria. Ba, lecz kto jest tym zainteresowany? Wymiar sprawiedliwości? Dokumenty Syndykatu zdają się temu przeczyć. Burmistrz? Cóż on może zrobić bez policji? Więc kto w takim razie?

Doszedł wreszcie do wniosku, że wie jeszcze za mało. Nie została rozpracowana sama struktura Syndykatu. Drogi przemytu białego proszku, newralgiczne punkty, takie jak przerób, transport, magazynowanie. To dopiero byłyby zagrożeniem dla tej organizacji. Trzeba więc cierpliwie gromadzić informacje. Może potem zainteresuje nimi stolicę?

Tego eleganckiego pana zauważył dopiero po pewnym czasie. Palił długie cygaro i wpatrywał się w szklankę soku pomarańczowego. Gdy aspirant zerkał na niego, tamten zdawał się być zamyślony. Twarz wydawała mu się znajoma. Gdy Rodriguez łamał sobie głowę, gdzie widział tego człowieka, elegancki pan podniósł się i podszedł do stolika.

- Proszę mi wybaczyć natręctwo, ale pragnę złożyć panu wyrazy uszanowania.

- Proszę bardzo.

- Widzę, że pan mnie nie poznaje. Spotkaliśmy się w ratuszu na przyjęciu u pana burmistrza.

- Rzeczywiście! Dziękuję.

- Czy mogę się przysiąść?

- Oczywiście. Bardzo proszę...

- Nieraz myślałem, gdzie się podział ten interesujący młody człowiek. Nigdzie pana nie widuję.

- Ostatnio mam wiele pracy.

- Rozumiem. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że człowiek

nie może żyć tylko pracą. Tu są takie miejsca, gdzie można odetchnąć.

- Pan mnie zaciekawia.

- Na przykład kasyno „Esplanada”. Zna je pan?

- Nie byłem tam.

- W takim razie zapraszam. Będę czekał. Nazywam się Ayacucho.

- Kasyno „Esplanada”? Bardzo dziękuję, na pewno się wybiorę.

Patrząc na odchodzącego Ayacucho aspirant pomyślał, że oto coś zaczyna się dziać. Propozycja była wielce interesująca. A więc zależy im... Ciekawe, jak będą rozgrywać tę partię. Ale jak go wypatrzyli? Czyżby aspirant Rodriguez był dla nich niebezpieczny?

„Do szefa operacji «Złote runo»

Kontakt nawiązany. Przygotowane spotkanie trzeciego stopnia. Uważamy, że kontrahent jest przyparty do muru. O wynikach zameldujemy natychmiast.

Leon”.

Musiał maskować swoje działania. Kuba kręcił się po porcie, szukając dorywczego zarobku. Zatrudniono go wreszcie przy rozładunku rybackiego kutra. Setnie się zmachał przy noszeniu skrzynek. Poszedł potem do portowego baru, zjadł porcję smażonej ryby i zadowolony z dnia pomaszerował do siebie. Było ciemno, rzadko błyskały latarnie. Gdzieś jarzyły się ogniki papierosów. To włączyli się bywalcy barów. Kuba szedł pewnie, znał drogę, nie zdziwił się też, gdy od słupa oderwała się jakaś postać. Usłyszał ochryplą, przepity głos:



- Daj ognia.
- Chodź.

Człowiek zbliżył się. Był barczysty i zionął nieprzetrawionym winem. Gdy Kuba wyciągnął zapalniczkę, tamten zamachnął się do ciosu. Pięść jego minęła się z głową Kuby o włos. Kuba zrobił unik i uderzył pierwszy. Człowiek jęknął i cofnął się o krok. Kuba kątem oka dostrzegł drugiego napastnika. Zdołał odparować jego cios i sam zaatakował. Napastnik, trafiony ciosem karate, padł na ziemię. Drugi już się zbierał i znów skoczył. Jego precyzja była jednak osłabiona i dlatego Kuba gładko odparł ten atak. Gdy pochylał się nad barczystym, chcąc go zupełnie obezwładnić, poczuł mocne uderzenie i padł obok. Stracił świadomość.

Kuba leżał nieprzytomny dość długo. Kiedy się ocknął, usiłował podnieść głowę, ale opadł z jękiem. Przez ból rozsadzającej czaszkę przebijały się jakieś obrazy: walka, cienie migające w blasku słabego światła latarni, wreszcie... Cholera. Pewnie był też jakiś trzeci. Gdy usiłował się pozbierać, w uliczce błysnęły światła samochodu. Jechał wolno, najwidoczniej kierowca spostrzegł leżącego człowieka. Zatrzymał się. Dwaj policjanci podeszli bliżej, rozglądając się czujnie. W oczy Kuby uderzyło silne światło latarki.

- Pijany?
  - Chyba naćpany. To hipis.
- Dowódca patrolu trącił Kubę butem. Leżący jęknął.
- Słyszysz mnie? Coś za jeden? - dopytywał się policjant.
  - Mam paszport...

Policjant kucnęła i począł obmacywać leżącego. Przeszukał wszystkie kieszenie, podniósł się.

- Włóczęga... Nic nie ma.
- Bierzymy go?

- Oczywiście. Wstawaj!

Policjanci niecierpliwiili się, gdy Kuba dźwigał swe ciało, opierając się rękami o pobliski parkan. Stał wreszcie i sam począł obmacywać kieszenie. Nic w nich nie było.

- Okradli...

- Kto? O czym ty gadasz?

- Napadli mnie... Trzeba. Moja głowa...

- Pójdiesz z nami..

Wsadzili go do wozu. Nim się połapał, policjanci przykuli mu jedną rękę do uchwytu przy siedzeniu. Nie usiłował protestować. Noc ciemna, więc kto będzie wiedział, jakie ślady pozostawiły ciosy napastników, a jakie rozgniewanych policjantów?

Powoli przytomniał. Stopniowo przypominał sobie przebieg zajścia. Najgorsza jest strata dokumentów. No i charakter napadu... Przypadek? Możliwe. Koło portu zawsze kręcą się różne szumowiny. Wyrzucał też sobie nieostrożność. Wydawało mu się, że łatwo załatwi tych gnojów, a tymczasem... Jak mógł nie dostrzec tego trzeciego?

Zawieźli go na policję, zdjęli mu kajdanki i poprowadzili do środka. Tam dowódca patrolu złożył meldunek dyżurnemu, a ten obrzucił Kubę krytycznym spojrzeniem.

- Niech siedzi do rana.

- Ale...

- Zamknij się. Nikt cię nie pyta.

- Nic nie mówię.

Ludzie pełniący nocą służbę bywają nad ranem rozdrażnieni i znużeni, lepiej więc z nimi nie zaczynać. Kuba zresztą też czuł się zmęczony. Niech więc go przymkną, byleby dali mu spokój. Tym bardziej że napastnicy nie zabrali papierosów. Poprosił tylko o wodę, dostał ją, wypił cały kubek i z ulgą

położył się na pryczy. Był sam. Ból głowy nieco minął i mógł spokojnie oczekiwać ranka.

„Do Leona

Możemy gwarantować pełne bezpieczeństwo i naturalizację tylko za cenę lojalności, pełnej współpracy. Obowiązuje jednak ograniczone zaufanie. Niewykluczona walka o władzę wewnątrz organizacji. On musi dać niezbite dowody chęci pełnej współpracy.

Szef operacji «Złote runo»”.

## IX

Do rana ból głowy minął i Kuba obudził się z krótkiego snu dosyć rześki. Obmacał czaszkę i stwierdził, że ma z tyłu ranę. Uderzenie było silne. Krew już zaschła. Uśmiechnął się na wspomnienie szkoły, gdzie zawsze powtarzano, że głowa musi wiele wytrzymać. Czasem bowiem przywała, jak teraz, z całej siły.

Chciało mu się jeść i pić, na razie jednak zadowolili się papierosem. Nie wymyślał taktyki obrony, gdyż nie wiedział, czego będą od niego chcieć. Trzeba zachować spokój. Ciągle jednak wracał do nocnego zajścia. Przypadek? Gdyby jednak wypatrzył go Syndykat, czyżby skończyło się tylko na mordobicu? W takim razie kto? Swoi? Hipisi?

Przyłączył się do tej grupy na Karaibach. Razem biwakowali w palmowych gajach i kąpali się wieczorami w morzu, siadywali nocami przy ogniskach, śpiewali pieśni, drażniące tłustych turystów, zbierali się w hałaśliwe gromady i przeciągali ulicami, manifestując pogardę dla świata. Tam poznał Paulę i Allana, zaprzyjaźnił się z Pedrem, uznał autorytet Petera. Oni też go akceptowali. I właściwie nie miał w grupie zatargów. A więc chyba nie oni go zaatakowali.

Dwie możliwości: zemsta i przypadek. Najpierw drugi wariant. Mógł zwyczajnie nadziać się na portowe męty, których nigdzie nie brakuje. Okoliczności zajścia by się zgadzały. Późna

pora, odludne miejsce, wygląd bandziorów. Dorwali - jak sądzili - łatwy łup. Możliwe, że zabrakło im forsy na wino.

I wersja zemsty. Z kim zadarł? Tylko z jednym tutejszym człowiekiem. Simon... Czyżby się odważył napuścić na niego jakichś lumpów? Na tę możliwość wskazuje utrata paszportu. Zwykle żuliki kradną pieniądze, a nie dokumenty. Ci zaś...

Nie zdążył przeanalizować tego problemu, gdyż zgrzytnął zamek i w drzwiach stanął policjant.

- Wychodź.
- Na wolność?
- Zaraz się dowiesz. Szybko!
- Już idę.

W siedzibie policji wrzało. Korytarzami przechodzili ludzie, stukwały maszyny do pisania, terkotały dalekopisy. W jednym z korytarzy siedziało na ławce pod strażą dwóch skutych mężczyzn. Kubę posadzono opodal, a policjant wszedł do pokoju. Trwało to jakiś czas, wreszcie drzwi się otworzyły.

- Te, hipis! Chodź!

Biurko, z boku maszyna do pisania, na środku magnetofon, obok solidna szafa na dokumenty. Za biurkiem siedział policjant w cywilu.

- Siadaj - wskazał ręką krzesło.
- Dziękuję.
- Ćpasz?
- Nie.

Konwojent podszedł do Kuby i podciągnął mu rękawy, oglądając uważnie jego ręce.

- Nic nie ma.
- Więc nie ćpasz. Co w takim razie robisz?

- Wędruję po świecie.
- Skąd pochodzisz?
- Jestem z Polski.
- Gdzie to jest? W Europie?
- Tak jest. Polska leży w Europie.
- I było ci tam pewnie za ciasno, skoro się przywlokłeś aż do Kolumbii?
- Jestem ciekawy świata.
- Jak możesz udowodnić swoje pochodzenie?
- Teraz nijak, bo skradziono mi paszport.
- I mamy ci wierzyć na słowo?
- Zwrócę się do naszej ambasady i ona to potwierdzi.
- Dobrze. Co robisz w chwilach wolnych od poznawania świata?
- Pracuję, muszę przecież z czegoś żyć.
- Może palisz trawkę?
- Tylko zwyczajne papierosy. A o co chodzi?
- Dlaczego pytasz?
- Jestem spokojnym człowiekiem, nikomu nie wadzę. Napadło mnie paru łobuzów, pobiło, a tymczasem wy ładujecie mnie do pudła i teraz pytacie tak, jakbym to ja napadł na tych trzech facetów.
- Chcesz powiedzieć, że źle pracujemy? Masz prawo protestować.
- Mam też prawo zawiadomić naszego konsula.
- My tylko pilnujemy, by cudzoziemcy przestrzegali naszego prawa.
- Więc sprawdzajcie.
- Hipisi zażywają narkotyki. Skąd bierzecie prochy?
- Sam nie używam, więc nie śledzę innych.
- Czy pochwalasz zażywanie prochów?
- Nie.

- Dlaczego więc nie chcesz nam pomóc?

Nim Kuba zdążył coś powiedzieć, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł młody człowiek. Najwidoczniej przełożony, gdyż obaj policjanci zerwali się na równe nogi. Młodzieniec zaś przyjrzał się Kubie, potem zerknął na leżący na biurku arkusik papieru.

- Siadajcie, proszę. O czym rozmawiacie?

- Tego człowieka pobito dziś w nocy, panie aspirancie.

- Czy mógłby pan rozpoznać napastników?

- Było bardzo ciemno, a bójka trwała krótko.

- Zaraz pokażemy panu trochę zdjęć. Może rozpozna pan kogoś.

- Dobrze.

- Czy bardzo pana pobili?

- Dostałem w głowę i straciłem przytomność. Przedtem jednak i ja im dołożyłem.

- Ach, tak. Mogą mieć więc ślady. Zrobimy rozeznanie.

- Panie aspirancie, czy mogą już iść?

- Oczywiście. Nie mamy powodów pana zatrzymywać.

- Mogę poprosić o jakieś zaświadczenie o tożsamości?

- Dobrze. A tak przy okazji... Daleko się pan odbił od domu.

- Jesteśmy narodem lubiącym podróże.

- Rozumiem. Proszę mi tylko powiedzieć, jak pan trafił właśnie tu, do Santa Maria?

- Przypadkowo. Byłem na Karaibach, koledzy się wybierali, twierdzili, że tu jest ładnie, więc postanowiłem się przyłączyć.

- A może dla łatwości zdobycia prochów?

- Nie jestem ćpunem.

Co więc pana pociąga w tym trybie życia?

- Swoboda, panie aspirancie. Poznawanie świata. Kiedyś się ustabilizuję, ale na razie...

- Z jakimi środowiskami miał pan tu, u nas, do czynienia?

- Nie bardzo rozumiem, w czym rzecz. Czy to ma jakiś związek z napadem na mnie?

- Nie, nie. Jestem daleki od zadawania panu podchwytliwych pytań. Chcemy tylko wiedzieć, skąd wyszedł atak na pana. Szukamy punktu zaczepienia, motywów.

- Skoro tak... Najczęściej obracałem się wśród kolegów. Bywałem również w porcie, szukając dorywczych prac. Poznawanie świata kosztuje, a ja nie mam bogatych rodziców. Muszę sam na siebie zarobić.

Aspirant robił dobre wrażenie. Młody, bystry, spokojny. Przyjemnie się z nim rozmawiało, jego zachowanie odbiegało od zwykłych policyjnych manier. Kuba jednak uważał na słowa. Policja to policja.

Tymczasem przyniesiono album i następne kilkanaście minut Kuba spędził na przyglądaniu się zdjęciom. Kolekcja typów była rzeczywiście interesująca. Portowe miasto, więc świat przestępczy jest raczej międzynarodowy. I różny rasowo. W pewnym momencie Kuba drgnął. Ze zdjęcia patrzył na niego Simon. I od razu się zorientował, iż aspirant bacznie mu się przygląda. Przerzucił więc prędko kartkę, a tamten spytał:

- I co? Żaden się panu nie przypomina?

- Już mówiłem, że było ciemno.

- W porządku. Może pan iść, ale proszę być z nami w kontakcie. Chcemy informować pana o postępach w naszych poszukiwaniach. I radzę nie zapuszczać się wieczorami w pobliże portu.

- Będę uważał.



Teraz pozostało tylko sprawdzenie, czy policja nie dodała mu „towarzysza”. Kuba przeszedł ostrożnie kilka ulic, lecz nie stwierdził nic podejrzanego. Postanowił więc skontaktować się z kolegami. Był głodny, a nie miał pieniędzy.

To koniec. Z takim przekonaniem Frederico Cazalla wyszedł od szefa i pomaszerował do swego sfatygowanego samochodu. Teraz był już spokojny. Wiedział, co ma uczynić. Po tylu latach pracy nie miał wątpliwości co do obowiązujących zasad. Każdy musi płacić za swe uczynki. I to wysoką cenę. Czuł w kieszeni ciężar pistoletu. Był wdzięczny Jose, że mu go zostawił. Nie będzie musiał kombinować. To takie proste: odciągnąć bezpiecznik, lufa do skroni i...

Starał się nie myśleć o tej chwili. Przyjdzie... Nigdzie od niej nie ucieknie. Miał jednak do rozstrzygnięcia inny problem: czy żegnać się z rodziną? Może jednak pozostawić ich w nieświadomości? Żyli w Puerto Leguizano. Cazalla miał trzech braci i dwie siostry. Ojciec zmarł już dawno, dzieci pozostały pod opieką zaharowanej matki. On szybko odbił się od rodziny. Dzięki pomocy kolegi dostał pracę w Syndykacie i odtąd wędrował z miejsca na miejsce. Tamto zapyziałe miasteczko pozostało gdzieś daleko. Czasem tylko dochodziły wieści z domu: siostry powychodziły za mąż, bracia się żenili, rodziły im się dzieci. Bywał tam rzadko. Poprzestawał tylko na przesyłaniu drobnych sum na upominki. Ostatni raz był tam na pogrzebie matki. Mimo oddalenia, czuł się z nią związany. Pamiętał jej zniszczone ręce i cichy głos, którego nigdy nie podnosiła. A rodzina... Czuł się tam obco. Oni byli żywi, mieli swoje sprawy, rozumieli się. A on?

Napisać list? Do kogo? Głową rodziny jest najstarszy brat, Manuel. Frederico pomyślał: „A gdybym wtedy nie ruszył się z domu?” Miałby za sobą kawałek pracowitego życia, być może dorobiłby się splachetka własnej ziemi, którą by uprawiał, drżał o plony, czasem przeklinał Boga za obojętność dla jego losu, wysławiałby Go w latach urodzaju, miałby żonę i dzieci. Tu, w mieście, wziął sobie bezpłodną kobietę, a bratowe i siostry rodziły jak na zawołanie.

Pojechał do banku, wydał dyspozycje co do swoich skromnych oszczędności. Część przeznaczył dla parafii w Puerto Leguizano, część do dyspozycji Manuela. Postanowił napisać list do brata. Trzeba się z nim jakoś pożegnać. Pieniądze zaś niech rozda dzieciom. Ta część dla parafii miała wystarczyć na dwie msze: za matkę i za świętej pamięci Frederico. Pewnie nie był najlepszym synem, lecz teraz zrobi matce przyjemność. Jeśli patrzy na syna z nieba, a tylko tam mogła pójść taka pocziwina, to się do niego uśmiechnie. Po krótkim namyśle kupił też butelkę wódki. Trzeba wypić pożegnalny toa\*. Chociaż tyle mu się należy...

Papier, długopis... Nie, nie żadna ostatnia wola, nie ma przecież majątku, tylko krótki, serdeczny list do najstarszego brata. Wyciągnął z szuflady kilka zdjęć z młodości. Przyglądał się im. Mój Boże, mimo wielu kłopotów byli jednak szczęśliwi. Człowiek zaś goni po świecie za mirażami. I cóż z tego, że miał więcej pieniędzy niż oni? Czy był szczęśliwszy?

Aby nie poddać się temu nastrojowi, wypił kieliszek wódki i usiadł do pisania listu. Podarł dwie kartki, nim wreszcie uchwycił właściwy ton. Akurat kładł podpis, gdy odezwał się telefon. Cazalla wielce się zdziwił. Co ktoś jeszcze od niego

może chcieć? Tylko zawracają mu głowę... Sięgnął jednak po słuchawkę.

- Słucham.

- Bianka mieszka przy ulicy Nadmorskiej, numer dwadzieścia. Pierwsze piętro na prawo.

- Dziękuję za wiadomość.

- To drobiazg. Cześć.

Cazalla siedział długą chwilę, wpatrzony w aparat. To na pewno na rozkaz Jose. Przecież powiedział, że muszą ją dostać. Czyżby zrobił mu tym pożegnalny prezent? Dobry z niego szef... Któremu by to przyszło do głowy? Na pewno nie temu rzeźnikowi Pasco. On umiał tylko łamać kości.

Zerwał się, ruszył ku drzwiom, stanął, zawrócił, wyjął z szuflady pistolet, sprawdził magazynek, wsadził broń za pasek spodni. Ściągnął z wieszaka lekką kurtkę, przerzucił przez ramię i wyszedł.

Dom numer dwadzieścia był zwyczajną czynszową kamienicą, podniszczoną przez czas i morskie wichry. Cazalla postąpił chwilę przy wejściu. Przeszło obok niego kilkoro dzieci, potem dwie starsze kobiety z torbami pełnymi zakupów. Zdecydował się wreszcie. W sieni było ciemno, śmierdziało kotami, schody skrzypiały ze starości. Pierwsze piętro na prawo. Drzwi. Podniósł dłoń i zastukał. Cisza. Wydawało mu się, że czekanie trwa nieskończoność. Wreszcie usłyszał kroki. Pewnie nie spodziewała się niczego, gdyż otworzyła. Zobaczył w powiększającej się szparze jej zdumione oczy. Pchnął ramieniem drzwi. Odskoczyły. Bianka cofnęła się.

- Nie spodziewałaś się?

- Witaj... Wejdz, Frederico.

- Właśnie to zrobiłem.

- Proszę dalej.

Cofała się w głąb mieszkania, usiłowała się uśmiechać, lecz

wyszedł jej tylko grymas. W jej oczach widział strach. Była zaniedbana, oczy miała podkrążone, bez wyrazu. Czyżby rozpaczła po Lopezie?

- Ubierz się.
- Po co?
- Pójdziemy na spacer.
- Czego ty ode mnie chcesz?
- Porozmawiać.
- Jestem chora, nie mogę.
- Jak zdobyłaś klucze?
- Wiesz o nich?
- Wiem, ale musisz mi dokładnie powiedzieć co i jak.
- Lopez mi kazał dać ci coś na sen. On to wszystko wymyślił. Musiałam to zrobić, bo mi groził.

Mówiła coraz szybciej, coraz bardziej nerwowo. Była na granicy hysterii. On zaś patrzył na nią nieruchomym, ciężkim wzrokiem. I to napełniało ją coraz większą obawą.

- Zrobiłaś potem odciski.
- Tak.
- Lopez już za to zapłacił. A ty? Czy jesteś gotowa?
- On mi kazał...
- Ubieraj się.
- Będę wzywać pomocy.
- Tylko spróbuj. Zabiję cię jak parszywą sukę.
- Frederico...
- Nie mów tak do mnie.
- Przecież było nam ze sobą dobrze.
- Właśnie dlatego musisz umrzeć.
- O Boże!
- Masz pięć minut. Pospiesz się.
- Matko Przenajświętsza!

Ubierała się pospiesznie, łapiąc co tylko wpadło jej w ręce,

a on nie spuszczał z niej wzroku. Starał się nie myśleć o wspólnie spędzonych chwilach. Podsycał swą złość wspomnieniem kluczy w ręku martwego Miguela. Gdy była gotowa, powiedział cicho, z zimną zawziętością:

- Pójdziemy do samochodu. Tam mam spluwę. Jeden ruch, a zabiję.

- Będę spokojna.

Zdrętwiała i bezwolna, poruszała się jak manekin. Ze strachu nawet nie zamknęła drzwi mieszkania. Wyszli spokojnie na ulicę, doprowadził ją do auta. Ruszyli. W godzinę później samochód spadł z urwiska na łuku drogi za miastem. Odbijał się od kamieni, aż wreszcie spłonął na skrawku piaszczystego brzegu u podnóża skał. Policja stwierdziła potem, że w zasadzie nie było żadnego powodu, aby wóz skręcił w bok i uderzył w niziutką barierkę. Rozpoznano szczątki dwóch osób: mężczyzny i kobiety. W jakiś czas potere ustalono ich personalia: Frederico Cazalla i Bianca Corazzo. I na tym dochodzenie zakończono.

Mecenas Bello spisał się znakomicie. Komisarz z wielkim zadowoleniem przeglądał poranną prasę. Zamieszczono materiał, na którym mu tak zależało. No, niech sobie ludziska poczytają... Zatarł ręce z zadowoleniem. Przynęta rzucona, pozostało tylko czuwać, a gdy ryba podpłynie - trącić ją pyszczkiem. Ruiz był w znakomitym humorze, uśmiechał się do podwładnych. Powiedział też sekretarce, że ładnie wygląda, a ona aż pokraśniała z zadowolenia. Wybaczył też parę drobnych uchybień w dokumentach. A jednocześnie z wielkim napięciem wsłuchiwał się w dzwonki telefonów. Ktoś się musi odezwać...

Najpierw zgłosiła się prasa. Redaktor „Wiadomości” chciał rozmawiać z samym komisarzem. I zaczął od pretensji.

- Pan komisarz faworyzuje „Głos Poranny”, a nas pomija. My zawsze jesteśmy tak wam życzliwi, a tymczasem...

- Wszyscy mają do nas swobodny dostęp, nikomu nie utrudniamy kontaktu.

- No tak... Możemy dowiadywać się o drobnych włamywaczach, a lepsze kąski trafiają do innych.

- Trudno wszystkich obdzielić. Będziemy jednak pamiętać.

- Mam nadzieję.

- Może pan być pewny, panie redaktorze.

Łatwo poszło... Obiecał, a potem się zobaczy. Dziennikarze z działów miejskich zawsze włóczyli się po budynku, zaglądali w różne kąty, nagabywali. Każdy zresztą miał tu jakieś kontakty i znajomości. Tylko nielicznych wybranych dopuszczano przed oblicze komisarza.

Było jeszcze parę telefonów z innych gazet, ale tych natrętów zbył bardzo szybko. Nie o nich mu przecież chodziło. Ale ci, na których czekał, na razie milczeli. Oni muszą jednak mieć czas. Naradzić się, zastanowić, a dopiero potem działać.

Niespodziewanie jednak pojawił się aspirant Rodrigez. Poprosił o rozmowę, na co komisarz się zgodził. Aspirant trzymał w ręku „Głos Poranny”.

- Masz coś do mnie, chłopcze?

- Przeczytałem gazetę, panie komisarzu. Możemy mieć kłopoty.

- Niby dlaczego?

- Zdobyliśmy te dokumenty nieformalnie.

- Mów dalej.

- Jeśli zajmie się tym dobry prawnik, dadzą nam popalić.

- I tym się martwisz?  
- Pomyślałem, że trzeba pana uprzedzić.  
- W porządku, chłopcze. Cieszę się, że dbasz o dobro policji. Nie martw się jednak, nie przejmuj się drobiazgami. To jest taki materiał, że nikt się do niego nie przyzna. Rozumiemy się?

- Tak, oczywiście...

Ruiz wyczuł, że jednak nie przekonał podwładnego. Tamten zgodził się z szefem zapewne tylko dla świętego spokoju, bo cóż innego mógł zrobić? Komisarz nie miał jednak ochoty na dalszą dyskusję. Gra idzie o zbyt dużą stawkę, by mieszał się do niej ten młodziak...

Stopniowo, w miarę upływu godzin z coraz większą niecierpliwością myślał o wyjeździe do kasyna. Liczył, że tam się coś wyjaśni. Tu nikt nie przyjdzie. Palił więc cygara, chodził po gabinecie i czekał. Pająk pilnujący sieci... Nerwy połączone z rozciągniętymi nitkami... Niech tylko któraś drgnie... Już on nie popuści. Gdy zaś zmęczył się rozpatrywaniem rozmaitych wariantów działań, wsiadł do samochodu i pojechał do kasyna.

Oskar nalał komisarzowi drinka, Ruiz usadowił się na wysokim stołku i pociągnął spory łyk. Alkohol rozgrzewał przyjemnie przetyk. Świat piękniał w oczach. Nim jednak zdążył zapalić cygaro, pojawił się szef kasyna. Niby to rozglądał się po sali, lecz po chwili „dojrzał” komisarza. Szeroki uśmiech, w głosie sama słodycz.

- Witam szanownego komisarza!
- Moje uszanowanie.
- Jak cenne zdrowie? Czy jest pan zadowolony z obsługi?
- Dziękuję. Oskar serwuje najlepsze drinki w mieście.
- To prawda. Nasi goście bardzo go chwala.
- Jak interesy?

- Dziękuję, wszystko w porządku. A pan komisarz tak przy barze?

- Lubię tu sobie posiedzieć.

- Jeśli pan by się łaskawie zgodził...

- Na co, panie dyrektorze?

A więc nie mylił się. Już się zaczyna... Dobrze, podejmiemy grę. To łatwe, gdy się ma takie atuty.

- Mam wspaniały koniak, panie komisarzu. Gdyby pan nie odmówił...

- Koniak? To interesujące.

I jak para starych przyjaciół udali się do gabinetu szefa kasyna, który mieścił się tuż za barem. Było tu bardzo elegancko i nowocześnie. Comez podał koniak w przyległym saloniku.

- Francuski. Oni są jednak mistrzami.

- To prawda...

- Za naszą współpracę, komisarzu. Dzięki pańskiej życzliwej opiece nie mamy w kasynie żadnych kłopotów.

- Pragniemy, aby w mieście było bezpiecznie.

- Społeczeństwo to ceni, panie komisarzu.

- Cieszę się. Opinia społeczna jest zawsze dla nas najważniejsza.

I wtedy, jakby zupełnie przypadkowo, zjawił się w saloniku mecenas Ayacucho. Niby zmieszał się na widok komisarza, przeproszał, że zakłóca towarzyskie spotkanie, lecz usiadł i przyjął lampkę koniaku. Panowie porozmawiali chwilę o zaletach trunku i interesach. W pewnej chwili Comez przypomniał sobie, że musi wydać jakieś dyspozycje i wyszedł. Komisarz zaś bawił się w duchu oczekiwaniem, jak też się do niego zaborą. Musiał się mieć na baczności. Syndykat nie jest papierowym tygrysem. Ma ostre zęby. Mecenas podniósł kieliszek.



- Za pomyślność, panie komisarzu.
  - Zdrowie...
  - Jak pan sądzi, panie komisarzu, a pytam pana jako znakomitego fachowca, czy te materiały drukowane w „Głosie Porannym” są prawdziwe? Może prawdopodobne? Zapewne pan to czytał.
  - Najlepiej, oczywiście, orientuje się redakcja.
  - Oczywiście. Pomyślałem tylko, czy to czasem nie kaczka dziennikarska. Gazety zawsze szukają sensacji.
  - Trudno coś powiedzieć, ale i to możliwe. Tak mi mówi wieloletnie doświadczenie.
  - Interesujące. Swoją drogą, ci z „Głosu” są odważni.
  - Normalna dziennikarska robota.
  - Pan wie, panie komisarzu, że przedstawione przez nich ośrodki są doskonale zorganizowane.
  - Oczywiście.
- Mecenas Ayacucho bawił się lampką koniaku, ogrzewał ją w dłoni, napawał się bukietem, od czasu do czasu wypijając mały łyżeczek. Gładki, grzeczny, skromny... A jednak pokazał zęby. Pogroził. Komisarzowi nie spodobał się ten ton. Niech lepiej nie zaczynają z nim w ten sposób. Czyżby dawali do zrozumienia, że dużo mogą? Trzeba więc też się postawić. Upił łyk koniaku i spojrzał surowo na rozmówcę.
- Mamy wolność słowa, panie mecenasie, i jeśli się komuś taka publikacja nie podoba, może podać gazetę do sądu.
  - Tak, naturalnie.
  - Myślę, że „Głos Poranny”, decydując się na taką publikację, miał solidną podbudowę dokumentacyjną.
  - Oczywiście.
  - Nikt nie pchałby się w awanturę bez osłony. Pan, jako prawnik, wie o tym najlepiej.

- Myślę, że ma pan rację, panie komisarzu.

„A więc już wszystko wiesz - pomyślał komisarz. - Dokumenty są prawdziwe, tu chyba nie miałobyście wątpliwości. Wiecie też, że gazeta ma oparcie. Piłka jest więc na waszym polu. Czekam na ruch”. Komisarz dopił koniak, odstawił lampkę i zgasił niedopałek cygara. Mecenas poderwał się z fotela.

- Może ma pan ochotę na jeszcze jeden koniak, panie komisarzu?

- Dziękuję. Na mnie już czas.

- Tak się nam przyjemnie gawędziło...

- Mam jeszcze obowiązki.

- Rozumiem. Proszę powiedzieć, że zechce pan kontynuować tę interesującą rozmowę.

- Być może, panie mecenasie, być może. Bywam tu przecież.

„A więc to tak. Wasz ruch, szanowny mecenasie. Ja sobie poczekam, mam czas. Trzymam w garści dokumenty i jestem górą, wy zaś musicie pogłównkować, jak się ze mną dogadać. Bo rzucę na stół takie karty, że pospadacie z krzesel”. Mecenas zdawał się to rozumieć, gdyż zęgnął komisarza z wielkim uszanowaniem. A Ruiz szedł dumnie z podniesioną głową, bardzo z siebie zadowolony. Portierzy kłaniali mu się uniżenie.

Sanchez zwiżał się nieźle. Wkrótce odezwał się telefon. Bardzo przejęty chłopak meldował, że w polu widzenia pojawił się Leonardo Guel. Przyszedł do swego domu. Być może właśnie odpoczywa. Sanchez pochwalił się, że zorganizował stałą obserwację. Guel nie może się wymknąć.

- Dobrze. Zaraz będzie tam mój człowiek i powie, co robić.
- Tak jest, proszę pana.

Czekał. Był cierpliwy jak myśliwy na polowaniu. Jeśli zwierzyna została osaczona, to porusza się tylko w polu obserwacji. I podejdzie w odpowiednim momencie.

Człowiek wysłany do Sancheza wrócił po paru godzinach.. Zaraz potem na stole przed Bernardem znalazło się kilka zdjęć. Wyjście z domu, kupowanie papierosów, rozmowa z jakimś człowiekiem... Lat, na oko, ze trzydzieści, wysoki, usta wąskie, zawzięte, kędzierzawy. Wygląda na cwaniaka i twardziela.

- Co teraz robi?
- Pije wino.
- Jest pilnowany?
- Tak. Te chłopaki chodzą za nim jak psy.
- To jednak za mało.
- Może pójdzie ktoś z naszych?

Nie było innego wyjścia. Guel to jedyna szansa dojścia do tego przekłętego Carreno. Bernard przez chwilę miał ochotę zdjąć tego ptaszka, lecz po rozważeniu argumentów za i przeciw zrezygnował. Trzeba trzymać się zasady starannego rozpoznania i dopiero potem uderzyć. I mimo nie odwołanego pogotowia grupy specjalnej wyznaczył dwóch najbystrzejszych chłopaków do śledzenia „obiektu”. Jose Predrera nie dawał na razie żadnych zadań. Prowadził wprawdzie ożywioną działalność, ale nie wykorzystywał ludzi Bernarda.

Stopniowo wyłaniał się obraz życia tego człowieka. Guel mieszkał sam,, spędzał czas na przyjemnościach, pił wino, grał w bilard, spotykał się z koleżkami. Trochę to trwało, nim wreszcie dotarł meldunek: Leonardo Guel wrócił do domu.

Przebywał w nim krótko, wyszedł, wsiadł do autobusu i pojechał do dzielnicy portowej. Tam wszedł do kamienicy przy ulicy Humberta, gdzie przebywał dłuższy czas. Prawie cały dzień.

Bernard zakrzętał się energicznie. Najpierw zasięgnął języka, co obecnie robi Jose Predrera, potem wyposażył trzech swoich ludzi w furgonetkę z emblematami gazowni miejskiej i skierował ich na ulicę Humberta. Ludzie weszli do kamienicy i przebadali ją dokładnie, udając, że szukają miejsca ulatniania się gazu. Bernard czekał na wynik w samochodzie osobowym, zaparkowanym w pobliżu. Tam też zameldował się dowódca grupy.

- Mieszkanie numer sześć, szefie.

- Ach, tak...

Tam właśnie, według meldunku wywiadowcy, wszedł przypuszczalnie Guel.

- Otworzyła nam kobieta. Było tam też kilkuletnie dziecko. Dziewczynka. I jakiś mężczyzna.

- Widziałeś go z bliska?

- Nie. I to mnie właśnie zastanowiło. Trzymał się na uboczku. Ona zaprowadziła nas do kuchni, zrobiliśmy swoje i musieliśmy wyjść. Tamten facet był za drzwiami. Widziałem jego sylwetkę w lustrze.

- Kobieta, powiadasz...

Dowódca patrolu był człowiekiem dokładnym w robocie i Bernard mu wierzył. Na pewno zrobił, co mógł.

- Jaka ona jest?

- Ładna, szefie, zgrabna.

Bernarda ogarnęło podniecenie. Czyżby wreszcie trafili? Kobieta z dzieckiem. Człowiek Carreno. Zapewnia, jej ochronę czy korzysta po swoim szefie? Nieważne, trzeba ich pilnie obserwować.

Już po paru godzinach miał jej fotografię. Wychodziła z dziewczynką. Robiły zakupy - co też sfotografowano. Były same. Guel się nie pokazywał, pilnował mieszkania.

Bernard był zadowolony, gdyż miał co zameldować. Gdy wezwał go Jose Predrera, wpakował zdjęcia do niewielkiej teczki i pomaszerował do gabinetu. Szef był sam, chociaż szklaneczki po drinkach i dym cygar świadczyły, iż dopiero co wyszli od niego goście. Wyglądał na zmęczonego. Oczy miał zapadnięte, spojrzenie świadczyło o zmęczeniu. Kiwnął głową w odpowiedzi na powitanie Bernarda i przysiadł się do małego stolika. Tym razem jednak nie wyciągnął wódki.

- Dwóch sprytnych ludzi ma być stale pod ręką.
- Tak jest. Z jakim zadaniem?
- Sprecyzujemy to w odpowiedniej chwili.
- Tak jest, szefie.
- Masz się może czym pochwalić?
- Tym razem tak, szefie. Proszę spojrzeć.

Predrera oglądał fotografie z dużym zaciekawieniem. Na Guela ledwie rzucił okiem, najwidoczniej ta twarz nie kojarzyła mu się z nikim, za to kobieta zainteresowała go. Patrzył na jej zdjęcie, odkładał, znów spoglądał.

- Coś w niej jest, nie uważasz?
- Niczego babka, szefie.
- Żonę miał ładniejszą, to fakt, ale ta jest jakaś taka...
- Przylepna.
- Kobieca. Sama uroda to jeszcze za mało.
- Fakt, szefie.

Bernard był nieco zaskoczony opiniami szefa na temat kobiet. Sam się bowiem nigdy nad podobnymi sprawami nie zastanawiał. Kobieta to zaspokojenie. Zabawa. Przyjemność. Z żadną zresztą nie zamierzał żyć dłużej niż jedną, no, parę nocy. Czyżby Predrera miewał kochanki na dłużej?

Jose zainteresował się też zdjęciem dziewczynki. Wpatrywał się w nie z napięciem, przybliżał do oczu, oddalał, szukał lepszego światła. Wreszcie odłożył je na stół.

- Ciekawe... Jest w niej podobieństwo.

- Nie widziałem go z bliska.

- Ale ja znam go dobrze. Co wiesz o nich?

- Na razie niewiele, ale ciągle obserwujemy.

- Masz mi mówić o wszystkim. Dokładnie. Nie wolno ich jednak płoszyć. Oni są na pewno czujni, więc uważaj.

- Rozumiem, szefie.

- To ma być koronkowa robota, Bernard. Wiem, że przywykłeś do czego innego, ale tym razem musisz postępować delikatnie. Wszystko o nich - to mnie interesuje. Muszą się przeciec z kimś kontaktować. Masz nitkę i teraz szukaj kłębka. Koszty się nie liczą.

- Może pan być spokojny, szefie.

- Jeszcze jedno: nie grałeś jeszcze o taką stawkę, pamiętaj.

- Nie chcę obiecywać, szefie, ale zrobimy co w naszej mocy.

Może być pan pewien.

„Do szefa operacji «Złote runo».

Konieczny potrzebny namiar na policję. Musimy być ubezpieczeni na wypadek wykrycia, co jest prawdopodobne i co w końcu musi nastąpić. Chyba w tej Sodomie jest jeden sprawiedliwy?

Leon”.

Wizyty na poczcie stały się codziennym zajęciem Lefranca. Tak się do tego przyzwyczaił, iż nie zwracał już prawie uwagi na otoczenie. Idąc więc w stronę pocztowego budynku nie zauważył, iż wychodzący ze sklepu młody człowiek drgnął na jego

widok, zmienił się na twarzy i cofnął się. Gdy inspektor minął go, młodzieniec ruszył za nim. Szedł w tłumie, starając się nie zbliżyć do Lefranca. Inspektor nie robił żadnych manewrów, więc obserwacja była dość łatwa. Tak doszli do poczty. Chłopak nie wszedł do środka, został na zewnątrz. Gdy Lefranc znów się pojawił, był śledzony z możliwie małej odległości. Inspektor zaszedł po drodze do dwóch sklepów po zakupy. Przez cały czas myślał jednak o jednym: kiedy wreszcie odezwie się Carreno? Dlaczego to się tak przeciąga? Czyżby bał się zasadzki? Zamyślony, nie widział, że gdzieś z tyłu snuje się facet w jasnych spodniach i kraciastej koszuli. Takich było tu zresztą mnóstwo.

Inspektor, po załatwieniu swych spraw, zmierzał do portu. Minął bramę przystani jachtowej, zamienił kilka słów z nudzącym się dyżurnym bosmanem i przeszedł na pomost. Młodzieniec uznał, iż nie może iść wprost za nim, skrzył więc za budynek i zza rogu obserwował Lefranca. I tak dotarł do jachtu. Nie mógł z tego miejsca odczytać jego nazwy, ale przyjrzał się dokładnie, gdzie stoi. Pogapił się jeszcze chwilę. Nikt jednak z tamtej strony nie nadchodził, on zaś nie chciał zwracać na siebie uwagi. Pamiętał przeprowadę w kasynie. Na jej wspomnienie krew uderzyła mu do głowy. Teraz właśnie, gdy stał na rogu budynku i patrzył na jacht, zdawało mu się, iż tamci dwaj, którzy go zaczepili, musieli być w zмовie ze śledzonym facetem. Czyli miał obstawę, drań... Czyżby więc trafiła się sposobność odplacenia za tamto upokorzenie? I możliwość rehabilitacji w oczach Pasco? Młodzieniec uśmiechnął się i ruszył ku najbliższemu przystankowi.

Pasco był zajęty, ale młodzieniec nie zrażał się tym. Uparł się, że musi do szefa. Pilne. Ważne. I wpuszczono go. Pasco przywitał go z chmurną twarzą.

- O co taki gwałt?

- Szefie, znalazłem faceta, który pisał bilecik do pani Very, a potem się zgubił...

- Straciłeś go wtedy z oczu, ty ośle! Mów!

Zaraz przy pierwszych słowach chłopaka serce Pasco zabiło żywiej. Nareszcie sukces! Powodzenie! To chyba Carreno. Któż by inny kręcił się po ścieżkach Syndykatu? Ale spryciarz! Ulokował się na jachcie, czyli nie ma adresu. Odsunął się na bok i robił od czasu do czasu wypady. Cwaniak... No, ale każdy kiedyś wpada. I oto mamy rezultat, chociaż uważa się za bardzo przebiegłego.

- Opisz dokładnie, jak wygląda.

- Zapamiętałem drania, szefie.

Opis jakby nie zgadzał się z wyglądem Carreno, lecz Pasco składała tę niedoskonałość na karb głupoty obserwatora. Chciał koniecznie mieć Felipe i podciągał wszystko pod swój wymarzony obraz. Miał jednak na tyle rozsądku, aby rzecz dokładniej sprawdzić. Żeby zameldować, trzeba mieć niezbite dowody. Najlepiej byłoby położyć na biurku Jose zdjęcia. Właśnie!

- Jak można dojść do jachtu?

- Przycumowali na końcu pomostu.

- Czy z brzegu dobrze ich widać?

- Chyba tylko z dachu budynku.

- Zasuвай więc na przystań i zrób dokładny szkic położenia jachtu.

- Już lecę, szefie.

- Rozejrzyj się, czy jest w pobliżu wolne miejsce.

- Rozumiem.

Gdy młodzieniec pobiegł wykonać zadanie, Pasco ściągnął w trybie alarmowym fotografa i samochód. Czekali na chłopaka. On zaś penetrował przystań. Zadanie ułatwiał mu fakt, iż wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Obserwator udał się na



sąsiedni pomost. Mógł stamtąd dokładnie określić miejsce cumowania. Obok było jeszcze wolne miejsce. Ucieszony, pobiegł z meldunkiem. Pasco jednak nie dał się zbyć ogólnikami.

- Ile osób liczy załoga?
- Jest ich dwóch.
- Co robili?
- Wywalili na pokład jakieś muszle i wodorosty.
- Nazwa jachtu?
- „Zew oceanów”.
- Narysuj jego położenie.
- Tak jest.

Do portu ruszył następny zwiadowca. Miał nawiązać kontakty z ludźmi, popytać o załogę jachtu, co robią, jakie mają obyczaje i jakiej są narodowości.

Fotograf poszedł z młodzieńcem. Długo ich nie było i Pasco się niecierpliwił. Oni mieli jednak szczęście, gdyż Lefranc wybrał się ponownie do miasta. Fotograf uchwycił go teleobiektywem i trzasnął kilka zdjęć. Zaraz pognął z nimi do Pasco. A ten patrzył długo na nie, z chmurną zadumą. Poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymywał się. Były to oznaki złego humoru, młodzieniec nie wiedział jednak, o co chodzi.

- To na pewno on?
- Szefie...
- Pytam, więc gadaj! Bo jeśli się pomyliłeś...
- On kazał mi brać właśnie tego.
- I co ty na to, gnoju?
- Przysięgam, że on.

Oczywiście ani fotograf, ani młodzieniec nie znali powodu z osi Pasco. On zaś kłął w duchu najgorszymi słowami. To absolutnie nie był Carreno! A jeśli nie on, to kto?

- Ten był w kasynie?
- Ten.
- I widziałeś go potem na ulicy?
- Tak jest, szefie.
- I nie pomyliłeś się?
- Przysięgam na matkę, że to on.

Widząc, że więcej nic z niego nie wydusi, Pasco dał spokój wypytywaniom. Odprawił obu i zamyślił się głęboko. Oto zagadka. Chociaż... Są tu dwie możliwości: albo są to ludzie Carreno, albo Amerykanie. Czyli policja. I jedni, i drudzy są niebezpieczni. A jeszcze bardziej zagmatwał sprawę człowiek wysłany do portu. Wrócił bowiem z wiadomością, iż załoga jachtu zajmuje się podwodnymi polowaniami oraz zbieraniem rozmaitych okazów ńory morskiej. Mają też sporo muszli. Zbiory preparują, segregują i opisują. Stale widać pracujących na pokładzie. Pasco wysłuchał meldunku i spytał:

- Jankesi?
- To ludzie z Europy. Wyglądają na Francuzów, a jacht pochodzi z Marsylii.

I to był jeszcze jeden klin. Pasco długo rozważał rozmaite możliwości, lecz do niczego nie doszedł. Postanowił więc otoczyć tych ludzi możliwie szczelną obserwacją. Było to najważniejsze zadanie na najbliższy czas. Planował wprowadzić zajęcie się Papuzimi Wzgórzami, lecz na wszystko nie starczało już sił. Wszyscy ludzie byli w ruchu.

„Do Leona

Po analizie posiadanych informacji doszliśmy do wniosku, że najwłaściwszym kandydatem do kontaktu jest aspirant

Mateo Rodrigez. Nie jest posądzany o współpracę z Syndykatem, co oczywiście jeszcze nic nie znaczy. Bądźcie ostrożni w tej Sodomie.

Szef operacji «Złote runo».

Mimo wielu zajęć Jose Predrera jednak nie zapomniał o piosenkarce. Któregoś dnia, gdy akurat wróciła z salonu piękności, odezwał się telefon.

- Czy to ty, moja śliczna?
- Nie wiem, czy śliczna, ale to ja.
- Wiesz przecież, że jesteś piękna.
- Jestem skromną dziewczyną.

Ten głos poznałaby zawsze. On zapewne myślał, iż słodko grucha, ale dla niej był to pomruk drapieżnika chwytającego ofiarę.

- Czy dziś występujesz?
  - Tak, naturalnie.
  - W takim razie zjemy potem kolację.
  - W kasynie?
  - Czy nie odpowiada ci tamtejsza kuchnia?
  - Raczej otoczenie. Ja tam pracuję, wszyscy mnie znają i będą się bezczelnie gapić.
  - Nie przejmuj się plotkarami. Niech się tylko który ośmieli...
  - Trzeba by wyrwać języki całemu personelowi, a to raczej niemożliwe.
  - Wyrwać języki? Dziewczyno, jesteś wspaniała! Co za kapitalny pomysł! Zabawne, doprawdy zabawne.
  - Czy na tę kolację nie moglibyśmy pójść gdzie indziej?
- W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Predrera zamyślił

się. Propozycja wyjścia z tego zakłętego kręgu, w którym się obracał, była bardzo kusząca, ale ostatnio tyle się tam działo... Czy może zrobić sobie parogodzinny urlop? W kasynie miał ciągłą łączność z podwładnymi. W głębi budynku znajdował się dyskretny apartament, w którym można by spędzić upojną noc z kochanką. Ale... Namiętność walczyła w nim z rozsądkiem.

- Czy koniecznie chcesz gdzieś iść? Dlaczego?

- Po prostu chcę, byś zapomniał choć na chwilę, że jesteś człowiekiem interesu. Wątpię, czy w kasynie byłoby to możliwe.

- Masz jakieś propozycje?

- Nie orientuję się w tutejszych stosunkach. Zdaję się na pana wybór. Wierzę, że będzie dobry.

- Dobrze. Zaraz po występie pójdziesz do samochodu, a on zawiezie cię na miejsce. Zgoda?

- Bardzo dobrze.

Zdawało się jej, że usłyszała ciche westchnienie swego rozmówcy. Radosne? Dobrze, niech i on ma swe małe zwycięstwo. Tylko nie bądź, dziewczyno, głupia. Patrz na życie trzeźwo. Teraz jesteś ładna i zgrabna, lecz to już nie pierwsza dziewczęca świeżość. Za parę lat pojawią się zmarszczki. A co przez ten czas zdobędziesz? Niewiele... Prawda jest taka, że już nie zostaniesz wielką gwiazdą estrady. Nie czeka cię kariera w Las Vegas. Czegoś zabrakło: talentu, szczęścia, a może wytrwałości? Jesteś dobra tylko na tutejsze kasyno. Więc czego ci więcej potrzeba? Jose Predrera jest taki jak wszyscy mężczyźni. Technika też będzie ta sama, tylko osoba inna. I cóż z tego? Opieka Jose zapewni ci dostatni żywot w mieście i możliwość odłożenia czegoś na później. Z czasem uruchomi własny interes, jakiś

handel płytami i kasetami, zapewni sobie spokojny, syty żywot. Czy to nie lepsze niż udział w niespokojnym życiu Felipe? Poszłaby z nim na wszystko, on jednak nie chciał wyrzec się niczego dla niej. Niestety. Obracał się w świecie, który - mówiąc prawdę - przerażał ją. Domyślała się nawet jego bezwzględności, a nawet okrucieństwa. Mężczyźni walczyli w tym światku o władzę i wielkie pieniądze. Oni zawsze miewają takie dzikie pragnienia. Jej, na przykład, wystarczyłyby sztuka i miłość. Niech więc dzieje się to, co ma być...

## X

„Albatros” otrzymał wiadomość. Lefranc odebrał list i natychmiast go przeczytał. Obserwujący go byli zbyt daleko, aby się zorientować, o co chodzi, widzieli tylko, że „obiekt” odbiera w okienku pocztowym kopertę, rozrywa ją, czyta list i chowa go do kieszeni, a potem rusza szybkim krokiem ulicą. Pojechali za nim. I dlatego też umknęli uwadze obstawy. George rozejrzał się, ale nie zauważył, aby ktoś za inspektorem szedł.

Lefranc zaś zaraz po przybyciu na jacht zarządził wyjście w morze. Obserwacja „Zewu oceanów” była prowadzona tylko z brzegu. Człowiek z lornetką ulokował się, przekupiwszy dozorcę, na stryszku jednego z budynków. Było stąd widać jachty cumujące przy pomoście i oczywiście „Zew oceanów”. Swoją drogą, jego wyjście w morze nie zaalarmowało specjalnie obserwatora. Jacht codziennie wypływał na krańce zatoki, a załoga - jak stwierdzono to z motorówki - zajmowała się nurkowaniem. Pewnie teraz też...

Jacht wyszedł poza falochron i nabierał szybkości. Lefranc postanowił przeciąć na ukos zatokę, aby przejść w pobliżu rybackich łodzi. Być może rozmówca pojawi się właśnie stamtąd. A list donosił, że spotkanie może odbyć się dziś, poczynając od godziny dziesiątej. Na morzu. Wszyscy trzej wypatrywali więc niecierpliwie, skąd może się pojawić Carreno. Przedłużająca się

akcja męczyła ich. Denerwowało też poczucie braku bezpieczeństwa.

Byli już spory kawałek od brzegu, minęli kilka jachtów i sporo łodzi, gdy natknęli się na maleńki, straszliwie obdrapany kuter. Farba zesła z niego już dawno, pozostały tylko bure ślady, komin ledwie się trzymał i dymił niemilosiernie. Brodaty mężczyzna w podniszczonym roboczym ubraniu podniósł do ust tubę:

- Hej, „Albatros”!
- Słuchamy!
- Macie wizytę!
- Dobra!

Jacht musiał wykonać zwrot i po chwili się zatrzymał. Ze stateczku spuszczone łódkę, którą jeden z tamtej załogi przeprowadził się na „Zew oceanów”. Gdy stanął na pokładzie, Lefranc przyjrzał mu się nieufnie.

- Inaczej sobie pana wyobrażałem, panie Carreno.
- Ba... W tych warunkach... Każde maskowanie się jest dobre.

- Proszę do kajuty.
- Dziękuję.

Kuterek wykonał manewr, odsuwając się, jacht też ruszył ku pełnemu morzu. W kajucie inspektor wyciągnął butelkę szkockiej whisky i szklanki.

- Może drinka?
- Chętnie.
- Nareszcie się spotkaliśmy.
- Tak bardzo pan tego pragnął?
- Owszem. Stąd też te nasze zabiegi.

Rozumiem, że pan wie, kim jestem.

- Oczywiście. Mógłbym panu opowiedzieć jego życiorys i sądzę, że niewiele byłoby do dodania.

- Aż tak?  
- Teraz są przecież komputerowe banki danych.  
- Czyli policja... A konkretnie, proszę pana?  
- Międzynarodowa Organizacja do Walki z Kokainą. Grupa specjalna...

- Czyżby chciał mnie pan aresztować i oskarżyć?  
- Dowiedzieliśmy się, że pan chce spasować. Czy to prawda?  
- Istnieje taka możliwość.

Jak dotąd, Carreno był swobodny, rozluźniony. Sączył powoli drinka, założył nogę na nogę, wystawiając zdeptane buciorry, przyjął papierosa. Z bliska można było spostrzec ślady charakteryzacji. Postarzała go. Dopiero w rozmowie okazywało się, iż jest pełen werwy.

- Panie Carreno, jeśli pan rzeczywiście pasuje, jesteśmy skłonni panu pomóc. Ale jeśli...

- Co to znaczy?

- Jeśli pan walczy, na przykład, o ster władzy w Syndykacie, wtedy, oczywiście, musi pan działać na własną rękę. Chyba wyraziłem się jasno.

- Tak. A więc pierwszy przypadek: pasuję.

- Świetnie. Co, w takim razie, ma pan dla nas?

- Nie rozumiem.

- Po prostu wszystko ma swoją cenę, panie Carreno. Pańskie spokojne życie też.

- Nawet gdybym się całkowicie wycofał?

- Proszę pana, nie jest pan pełną cnót dziewicą, abyśmy mieli wpadać w zachwyt nad panem. Coś tam ma pan na koncie.

- Słucham dalej.

- Nie jestem sędzią ani spowiednikiem i nie mam zamiaru moralizować. Rozmawiamy jak ludzie świadomi faktu, że wszystko kosztuje.



- Jasne. Pańska cena?  
- Najpierw pańskie oczekiwania.  
- Tylko jedno: usunąć się, ale zachować życie. Za młody jestem na umieranie. Mam za co żyć, więc nie chodzi o pieniądze. Tylko bezpieczeństwo...

- Rozumiem. Pan odchodzi, ale Syndykat zostaje i my dalej z nim będziemy mieć do czynienia. Więc konkretnie: siatka na Karaibach i opłacani informatorzy. Kto, kiedy, ile...

- Nie mam takich dokumentów.

- Podobno jednak one istnieją.

- Tak. Właśnie czynię starania, aby je zdobyć, ale to cholernie trudna sprawa. Straciłem już paru ludzi.

A wydawało się, że są już u celu... Lefranc z trudem krył rozczarowanie. Tyle się namęczyli, aby dotrzeć do tego faceta! A on siedzi sobie jak w barze i powiada, że dokumenty są ukryte w sejfach Syndykatu. I gdzie jest ta skrytka? Niech diabli porwą wszystkich handlarzy białym proszkiem! Skuć by takiego i wtrącić do pudła, a nie częstować go szkocką. Musiał jednak robić dobrą minę do tej przekłętą gry.

- Rozumiem, że pan tę skrytkę zlokalizował.

- Oczywiście.

- Gdzie ona jest?

- Zaraz do tego dojdziemy.

- Bardzo strzeżona?

- W każdym razie zdobycie jej na pewno przekracza siły pańskiej załogi.

- Tak? A skąd pan wie, panie Carreno, jakie siły mogą mieć do dyspozycji? Może nawet dywizję *marines*?

- No tak...

Ton inspektora i jego słowa najwidoczniej zaskoczyły Carreno. Aby ukryć zmieszanie, pociągnął łyk ze szklanki i wpatrzył

się uważnie w czubek swojego papierosa. Zrozumiał własną słabość? Pełnomocnik na Karaiby... Swoją drogą, ma zapewne na sumieniu niejedno życie. I teraz będzie wybielony? Zaiste, sprawiedliwość chadza różnymi drogami...

- Nie bawmy się w chowanego, panie Carreno. Pan nie zdobył tych dokumentów, więc może będziemy działać razem? Gdzie one są?

- Muzeum Ziemi w Santa Maria, magazyn, wejście od tyłu.

- Oczywiście z ochroną.

- Naturalnie. Teraz na dodatek zaalarmowaną.

- Co więc ustalamy?

- Dam dwóch ludzi. Może trzech...

- I my trzech.

- Mam u nich człowieka. Znać go zresztą. On rozezna sytuację i zamelduje. Proponuję akcję za dwa dni.

- I sądzi pan, że się uda?

- Musi. Przecież gram o wszystko. Pan rozwinie żagle i popłynie po awans, a ja muszę jakoś tu żyć z rodziną.

- Z rodziną?

- Mam żonę i dziecko. Chcemy się gdzieś osiedlić i zapomnieć o tym kraju.

- Wprawdzie mówiłem, że nie jestem spowiednikiem, ale spytam: dlaczego pan to robi? W końcu jest to schodzenie ze szczytów...

- Faktycznie byłem wysoko, ale jak długo można chodzić po linie? Kiedyś noga musi się omsknąć i co wtedy? A jeśli mówimy o szczytach... Im wyżej, tym zacieklej walczy się o wszystko. Lubi pan kowbojskie filmy? Tam każdy rewolwerowiec spotyka w końcu kogoś szybszego i lepszego od siebie.

- Rozumiem.

- A więc dogadaliśmy się? Za dwa dni.
- Tak, za dwa dni.
- W takim razie do zobaczenia.

Ruiz, jak dawniej, odwiedzał kasyno i wypijał swego drinka. Nie przejmował się zwłoką. Po prostu będzie droższy. Ktoś musi zapłacić za czekanie. Niebawem jednak komisarz się przekonał, iż mecenas Ayacucho krzątał się koło interesu. W niedługim czasie po pierwszej rozmowie znów został zaproszony do saloniku. Tym razem mecenas był sam. Trunek podano znakomity, a cygaro było znacznie lepsze niż to serwowane przez Oskara. Komisarz postanowił się droczyć i dlatego miał chmurną, nieprzeniknioną minę. Odzywał się też jakby z łaski. Dostrzegł z zadowoleniem, że mecenas najwidoczniej niepokoi się obrotem rzeczy. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę, która zapowiadała się na trudną. Bąkał więc zdanka w rodzaju:

- Może jeszcze koniaczku?
- Proszę...
- To wspinała firma. Jaki bukiet...
- Owszem.

Mecenas jednak zdawał się nie zrażać komisarzkim chłodem. Dolewał koniaku, zachwalał trunek. Próbował też opowiadać anegdoty, lecz Ruiz ciągle zachowywał dystans. Wreszcie Ayacucho się zdecydował:

- Ubijemy interes, panie komisarzu?
- Słucham, o co chodzi?
- Nasza firma lubi konkretne załatwianie spraw.
- Słucham, panie mecenasie.

Tyle czasu żyliśmy w tym mieście w wielkiej zgodzie.

- Ja tylko czuвам nad przestrzeganiem prawa.

- Naturalnie! Wszyscy jesteśmy za tym, by prawo było szanowane. Ja, na przykład, jako prawnik, jestem po stronie prawa. Tylko...

- Słucham?

- Czasem powstają pozory, że coś nie jest w porządku, choć w rzeczywistości prawo nie zostało naruszone.

- Każdy ma prawo do uczciwego procesu.

- Mówię o sprawach handlowych. Tu zdarzają się różne sytuacje.

- Zapewne, panie mecenasie.

- W każdym razie nasza firma wysoko sobie ceni pana, panie komisarzu. Kierownictwo wyraża się o panu z wielkim szacunkiem.

- Cieszę się i dziękuję.

Ruiz bawił się piruetami mecenasa. Śmieszył go sposób, w jaki tamten zwiżał się, chcąc jakoś dojść do zasadniczego problemu. Sam odezwał się lakonicznie nie tylko dla podbicia ceny, lecz przez ostrożność. Zapewne mają tu podsłuch i nagrywają każde słowo. I czyhają na jego potknięcia. Nagrają, a potem szantaż... Wtedy atuty znajdują się w ich ręku. Niedoczekanie! Przybrał więc nieprzeniknioną minę i czekał na dalszy ciąg wypadków. A Ayacucho znów sięgnął po butelkę.

- Pan sobie życzy?

- Dziękuję. Już wystarczy.

- Panie komisarzu, jeszcze nie ubiliśmy interesu.

- Słucham pana.

- Wie pan, że miało miejsce pewne przykre wydarzenie. Zginęli ludzie.

- Tak, rzeczywiście.

- Panu jest to niepotrzebne.

- O czym pan mówi, panie mecenasie?

- Pański podwładny jest w posiadaniu niektórych dokumentów handlowych. Policji nic po nich, a nam ich brak utrudnia działalność.

- Dokumenty?

- Wziął je pański aspirant Rodrigez.

- Panie mecenasie, tam była taka kotłowanina... Wasi ludzie, jacyś włamywacze, znów wasi i dopiero wtedy przybyła policja. Urządzacie imprezy jak w kowbojskim filmie, a potem szukacie winnych. Niech pan się cieszy, że wasi wyszli za kaucją. W naszym mieście wymiar sprawiedliwości jest dość łagodny.

Komisarzowi ta surowość sprawiła wielką przyjemność. Do tej pory był kimś podrzędnym, gadał z nim tylko Oskar, a tymczasem teraz pan mecenas - zaufany człowiek Syndykatu - związał się i nadskakiwał mu.

- Panie komisarzu...

- Spytaam swoich ludzi. Proszę wpaść do mnie, to sobie wszystko wyjaśnimy.

- Rozumiem.

- Na mnie już czas.

I wstał z fotela. Ruiz był z siebie rad. Uznał, iż rozegrał tę partię znakomicie. Wymęczył mecenasa, a potem zostawił uchyloną furtkę. Wiedział bowiem, iż nie może doprowadzić Syndykatu do ostateczności. Mogą się zemścić, a są zdolni do wszystkiego. Mecenas zapewne zrozumiał intencję, gdyż żegnał komisarza z łagodnym uśmiechem.

Ruiz czekał potem w swoim biurze na dalsze wiadomości. Tak doczekał się zaproszenia na kolację do doktora Rivas, co go nieco zdziwiło. Z doktorem stykał się bowiem tylko na terenie magistratu. Do tej pory utrzymywali jedynie służbowe kontakty. Aż tu nagle kolacja... Więc Rivas też do nich należy? Są jednak mocni...

Ta czarnulka siedziała w czasie kolacji o dwa krzesła dalej. Gdy wstano od stołu, znalazła się w towarzystwie dwóch pań. Komisarz jednak podchwycił jej spojrzenie. Ładna. Swobodna. Trzymała w ręku kieliszek, ale prawie nie piła. W pewnej chwili, komisarz widział to wyraźnie, czarnulka powiedziała coś do gospodarza, a on wziął ją delikatnie pod ramię. Teraz nie było wątpliwości: doktor Rivas prowadził ją wprost do komisarza. Już z daleka uśmiechał się szeroko.

- Pan zna tu wszystkich, komisarzu, z wyjątkiem mojej kuzynki Julietty. Pragnęła pana poznać.

- Cieszę się, łaskawa pani, tym zainteresowaniem.

- Jest pan ogólnie znanym człowiekiem.

- Zaledwie zwyczajnym policjantem.

- Co za skromność! Nigdy jeszcze nie rozmawiałam z prawdziwym detektywem.

- Wyglądamy nieco inaczej niż w telewizji.

Doktor Rivas odszedł zaraz do gości, a oni zostali sami. Ruiz był oczarowany swobodą bycia młodej kobiety. Obyta towarzysko, to widać. Do tej pory nie proszono go do wszystkich domów, część z nich była niedostępna dla zwykłego policjanta, ale jeśli powiodą się jego zamysły, żaden próg nie będzie dla niego za wysoki. Wtedy wszędzie będzie spotykał takie kobiety. I uśmiechnął się bezwiednie.

- Wyobrażam sobie, jak pan kpi w duchu z takiej naiwniaczki jak ja. Telewizyjne wyobrażenia...

- Niestety, nasza praca nie jest fotogeniczna, proszę pani.

- Musi być jednak szalenie ciekawa. Rozwiązywanie zagadek, pościgi, niebezpieczeństwa...

- Rzeczywistość jest bardziej prozaiczna. To żmudna praca.

- Cieszę się, że pan nie kpi z mojej ignorancji. Proszę mi powiedzieć, jak to jest naprawdę?

- Naprawdę?

Tym pytaniem ujęła komisarza. Nareszcie ktoś nieoczekujący sensacji... I umiejący słuchać. Nigdy dotąd nic spotkał takiej kobiety. One na ogół lubią mówić. A tu swoboda bycia i wdzięk. Czuł się tak, jakby ta znajomość trwała już lata. Nie zauważył w tym zachwycie, że doktor Rivas kilkakrotnie uważnie się im przyglądał. Musiał się jednak koncentrować na rozmowie, gdyż panna Julietta zadawała bardzo konkretne pytania i oczekiwała szczegółowych odpowiedzi.

Komisarz wracał do domu oczarowany dziewczyną. Uzyskał też wstępną obietnicę spotkania. Było to powiedziane jakby pół żartem, ale wyczuł, iż ma pewną szansę. Oczywiście z taką dziewczyną trzeba postępować umiejętnie, delikatnie, bez pośpiechu. One lubią długą wstępną grę, nim wreszcie wpuszczą mężczyznę do łóżka lub same do niego wejdą. Wydawała mu się zapowiedzią spełnienia jego marzeń. Jeszcze trochę i żadna nie będzie niedostępna. To tylko kwestia ceny, Vincente... Pieńiądze olśnią każdą. Nie ma kobiety, która by nie chciała płać się w luksusie.

A tymczasem Julietta dotarła do swego mieszkania i nie rozbierając się, usiadła przy telefonie. Wykręciła numer i czekała chwilę ze słuchawką przy uchu. Gdy odezwał się głos, powiedziała:

- Poznałam go. Doktorek spisał się dobrze.
- Co osiągnęłaś?
- Ryba już obwąchuje przynętę.
- Nie podcinaj jej zbyt wcześnie. Ona jest ostrożna.
- Oczywiście. Musi się dobrze napalić.
- Pamiętaj: tylko u ciebie.
- Pamiętam.
- Pomyślnych łowów.

Samochód policyjny zjawił się w pobliżu hipisowskiej szopy dosyć wczesnym, jak na zwyczaje gromady, rankiem. Ludzie jeszcze spali. Dwaj policjanci podeszli kołyszącym się, niedbałym krokiem do drzwi i otworzyli je kopnięciem. Hałas zbudził Martina. Uniósł się na łokciu i widząc tylko sylwetki intruzów, spytał gniewnie:

- Czego, do cholery?
- Jest tu ten bez paszportu?
- Pewnie gdzieś śpi. Czy musicie budzić wszystkich?
- Nie mamy zamiaru wąchać waszych smrodów. Ty go poszukaj. Poczekamy przy wozie.
- Szukacie chłopca na posyłki?
- Ty, mądrala, zamknij się! Wołaj tego waszego, bo inaczej wpięprzymy tu gaz łzawiący i dopiero sobie pobiegasz!

I wyszli. Martin siedział chwilę na posłaniu, drapiąc się po rozczochranej czuprynie i klnąc w kilku językach. Wreszcie podniósł się obiecując sobie, że już nigdy nie ułoży się do snu obok drzwi. Odszukał Kubę i potrząsnął jego ramieniem.

- Wstawaj! Masz gości.
- Niech idą do diabła!
- Gliny czekają przy wozie. No, rusz się.
- I czego te świnię chcą?

Nie było jednak rady. Musiał podnieść się z posłania i ziewając, powlókł się do wyjścia. Oślepiło go słońce. Zobaczył policyjny wóz z tych dwóch, palących papierosy.

- Rusz się! Czekamy jak na ministra.
- Przyjmuję w innych godzinach. O co chodzi?
- Musisz pokazać swą fizjonomię u nas.
- Czego znów chcecie?

Oni jednak wsiedli do wozu, zostawiając uchylone tylne drzwi. Kuba „skorzystał z zaproszenia” i ruszyli ostro mimo wyboistej drogi. Policjanci nie odzywali się - nie uważali za



stosownie zadawać się z byle hipisem. Dopiero gdy stanęli przed komisariatem, jeden z nich zwrócił się w stronę Kubę.

- Masz iść na pierwsze piętro, pokój sto piętnaście.

- W porządku.

Puścili go samego, co uspokoiło Kubę. Więc nic groźnego. Szkoda tylko, że nie mógł się wcześniej skontaktować z inspektorem. Nie wiadomo bowiem, o czym będą z nim gadać. A po chwili znalazł się przed biurkiem aspiranta. Rodriguez był sam. Wskazał Kubie krzesło przy stoliku pod oknem, sam też usiadł.

- Wzywano mnie. To pan?

- Istotnie. Chciałem pana widzieć.

- W sprawie paszportu może?

- Niezupełnie. Panie...

- Nazywam się Kortyl.

- Jest pan hipisem.

- Tak. Już o tym rozmawialiśmy.

- Pamiętam, panie Kortyl. Wędrujący po świecie człowiek, ciekawy ludzi i ich spraw. Zgadza się?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza, panie aspirancie.

- Po prostu bardzo chcę wiedzieć, jaki jest prawdziwy cel pańskiego pobytu w Kolumbii. To wszystko.

- Czy ma pan jakieś podejrzenia? Jestem czysty.

- Coś panu w takim razie pokażę.

Rodriguez wstał, podszedł do biurka i wyjął dużą kopertę. Wydobył z niej zdjęcia i położył je przed Kubą. Fotografie przedstawiały przystań jachtową, wejście do portu, Lefranca, Jeana, George'a, malarza i, oczywiście, Kubę. Z malarzem i w pojedynkę. Zdjęcia były wyraźne, ostre.

- Panie Kortyl, czy zamawiał pan swą podobiznę u ulicznego fotografa?

- Czy mnie ktoś śledził? Dlaczego? Jakie macie zarzuty?
- Kim są ci pozostali panowie?
- O co tu w ogóle chodzi, panie aspirancie?

Rodriguez był poważny, skupiony. Oparł się rękami o stół i czekał. Tymczasem przez głowę Kuby przelatywały rozmaite myśli. Wiedział, że musi podjąć decyzję. Jeśli się wykręci - będą mieli na karku policję, co przekreśli ich misję. Tu nie miał wątpliwości. Policja nie popuści. A jeśli współpracują z Syndykatem - koniec. Chociaż... Gdyby tak było, nie oglądałby swego zdjęcia. Zaufać Rodrigezowi? Naruszy wtedy podstawowy kanon dyscypliny, który głosi: nigdy nikomu, w żadnych okolicznościach, bez zgody przełożonych.

- Zadawanie sobie wzajemnie pytań do niczego nie prowadzi, panie Kortyl. Gdzieś bowiem muszą być odpowiedzi.

- To prawda. Chciałbym jednak wiedzieć, z kim rozmawiam.

- Jeśli chodzi o mnie, widać.
- Tak, ale w Santa Maria rządzą dwie siły.
- Ach, o to panu chodzi...
- I prawdopodobnie w niektórych przypadkach się przeplatają.
- Wie pan coś o tym?
- Doświadczenie nakazuje ostrożność.
- Coś mi się zdaje, panie Kortyl, że jedziemy na tym samym wózku. Nikt nie może dać gwarancji, a uwierzyć trudno.
- Stawka jest bardzo wysoka.
- Oczywiście. Czy jednak nie uważa pan, panie Kortyl, że już was rozszyfrowano? Znają was i wiedzą, gdzie jesteście. Gdybym pracował dla Syndykatu, czy mówiłbym o tym?
- To brzmi interesująco.

Młodzieniec budził zaufanie. Spodobał się Kubie już w czasie pierwszej rozmowy. Rzeczowy. Twardy. Teraz mówił tak logicznie, że trudno było odmówić mu racji. Zdjęcia na stole zmuszały do zastanowienia. Ciągle jednak nie mógł pozbyć się wahań. Jakże decydować samemu? A musi coś uczynić, nim wyjdzie z tego pokoju...

- Skąd pan to ma?

- Przypadek. Zaobserwaliśmy faceta, który zachowywał się podejrzanie. Udało się zdobyć aparat, a plon sam pan widzi.

- Czyj to człowiek?

- Syndykatu.

- Panie aspirancie, jak pan sądzi, jaki będzie ich następny krok?

- Oczywiście uderzenie. I co pan o tym myśli?

- Trzeba się zastanowić.

- Jak pan chce. Najwyżej zarejestrujemy pięciu niezidentyfikowanych nieboszczyków. Przepraszam za brutalność, ale zwykłem nazywać rzeczy po imieniu.

- No cóż, po nas przyjdą następni.

- Dlaczego jednak nie możecie to być wy?

W taką loterię o własną głowę można grać tylko raz w życiu. Przecucie mówiło Kubie: uwierz temu facetowi. Doświadczenie zawodowe - odpychało od niego. Mój Boże, ilu tu cholerycznych rzezimieszków miało iście anielski wyraz twarzy i miód w ustach... Na tym właśnie polegała ich siła - na zdolności budzenia zaufania. W Centrali mówiono: uważajcie w Santa Maria, gdyż wszystko wskazuje na to, iż policja jest skorumpowana. Świadczą o tym ich wyniki. Łapią rzadko, i to same płatki, natomiast wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, iż tamtędy idzie sporo towaru. A ten młodzieniec o szczerym spojrzeniu...

- Jutro skontaktuję się z panem, panie aspirancie. Zgoda?  
- Dobrze.  
- Jeszcze jedno: czy kazał pan nas śledzić?  
- Nie. Skąd ten pomysł?  
- No, tacy kłopotliwi goście...  
- Prawdę mówiąc, panie Kortyl, dobrze byłoby to zrobić, ale policja nie jest wszechmocna. Nie mamy tylu ludzi. A na dodatek...

I urwał. Wahanie. Coś ukrywa? Tymczasem aspirant podjął decyzję, gdyż dokończył:

- Żeby była jasność... Proponuję współdziałanie nie z całą policją, lecz konkretnie ze mną.

- Ach tak...

- Co pana dziwi?

- To nie zdziwienie, lecz miłe zaskoczenie.

- Nie chcę się wdawać w szczegóły i niuanse...

- W porządku, wszystko zrozumiałem. Zatem jutro kontakt.

W pokoju Pasco było gęsto od dymu z cygar. On sam siedział nad kartką papieru i liczył. Chciał utworzyć dobrą grupę szturmową. Takich facetów bowiem, którzy przebyli morze, nie bierze się z doskoku. Nie można też użyć byle gnojzków, bo to muszą być sprawdzeni chłopcy. I nagle okazało się, że wcale nie ma ich tak wielu. Przeważali prościuchy, zdolni tylko do poganiania mułów. Owszem, umieli dźgać nożami, ale ci z jachtu są na pewno dobrze wyszkoleni. Pasco, oprócz chęci dopadnięcia tajemniczych przybyszów, miał jeszcze jedno pragnienie: utrzyć nosa Bernardowi. Myśl o nim zawsze go podniecała. Zarozumiałec! Pyszałek! Pacholek! Wyobraża sobie, że

jeśli kręci się koło szefa, to mu wszystko wolno. Wielki specjalista! I cóż takiego działała ta grupa specjalna? Siedzą, żrą, piją, a tymczasem taki Carreno chodzi sobie obok i kpi z nich. Przyszedł jednak czas pokazania, co kto potrafi. I on, Pasco, nareszcie upokorzy tego durnia Bernarda i delikatnie utrzyma nosa samemu szefowi. Powie: proszę, oto Carreno. Ja go wziąłem.

Na pewno jest to Carreno. Pasco doszedł do tego wniosku po dokładnej analizie sytuacji. Na zdjęciu figuruje wprawdzie inny facet, ale to niczego nie dowodzi. Przecież Carreno nie mógł tak po prostu przyjść do kasyna, gdzie znało go mnóstwo ludzi. Byłby szalony. Posłał więc człowieka, a sam... Czyżby ukrywał się na jachcie? Myśl ta wprawiła go w podniecenie. No proszę! Po tylu bezowocnych zabiegach sukces jest w zasięgu ręki. I to czyjej? Jego, Pasco... Predrera gębę otworzy ze zdziwienia.

Musi mieć do tego grupę ludzi. Trzeba wprawdzie wykonywać codzienne zadania, ale zapewne uda mu się skompletować odrębny zespół. Przypominał sobie ich zalety i możliwości. Ale najpierw rozpoznanie. I tu znów musiał się zirytować. Oto wysłany do portu człowiek wrócił z pustymi rękami. Na dodatek miał podbite oko... Chlipał żałośnie:

- Zabrali, szefie... I forszę też.
- Kto, niedorajdo?
- Chuligani... Dwóch włóczęgów.
- Bodaj cię muły rozdeptały!

I co można dziać z takimi głuptakami? Już nawet znudziło mu się obijanie im pysków. Wysłuchał więc przydługiej, a łzawej opowieści, jak to na kręcącego się w pobliżu przystani człowieka napadli jacyś dwaj oberwańcy. Aparat zniknął. Najbardziej zaś złościła Pasco niemożność dotarcia do tej cholernej

łajby. Bo jaki znaleźć pretekst? Celnicy odpadają, to jest dobre zaraz po przybyciu do portu, ale nie potem. Policja? Niby po co? Może porwanie kogoś? Nie, to wzbudzi tylko ich czujność. Pozostaje więc bezpośrednie uderzenie. Zaskoczyć ich, załatwić i zwiać, bez wdawania się w ceregiele. Jeśli poślą te duszyczki do królestwa niebieskiego, już tam Bóg się jakoś rozezna, kto kim był, jakie miał grzechy i zasługi.

Każdy ma wiedzieć tylko tyle, ile potrzebuje do wykonania zadania - więc Pasco nie wtajemniczał nikogo w swe plany. Wydawał polecenia, kto gdzie ma być przesunięty. Takie pojedyncze ruchy zdarzały się zawsze, więc i teraz nie wzbudziły niczyjzego zainteresowania. Umknęły też uwadze Ernesto Santovenii. Zajmował się nadal bieżącymi sprawami, a tymczasem Pasco zbierał siły.

Pojechał do portu, obejrzał starannie przystań jachtową, budynek administracyjny, pomosty. Nie wszedł tylko na ten właściwy. Carreno zapewne go pamięta, więc nie można się demaskować. W czasie tej wędrówki układał plan działania i porównywał go z terenem. Grupę uderzeniową trzeba wyposażyć w broń z tłumikami. Jachty stoją blisko siebie i zaraz byłby wielki alarm. Przy bramie i u wylotu pomostu stanie obstawa. Miejsce dla samochodów wybrał koło żywopłotu za budynkiem. Uderzenie trzeba wykonać w nocy. Błyskawiczny odskok, broń zaraz do schowka, samochody do garaży. Na miejscu nie powinno być żadnych dowodów rzeczowych. To się dopiero gliniarze zdziwią! Dostali ludzi Syndykatu już dwa razy, ale więcej to się nie powtórzy. I Pasco, wielce z siebie zadowolony, uznał, że plan został dopięty. Teraz tylko pozostawało wybrać moment uderzenia...

- Melduj, Bernard.  
- Tak jest, szefie. A więc prowadzimy ścisłą obserwację. Rzeczywiście, ten Guel jest z obstawy, gdyż przesiaduje tam jakby na zmiany.

- Czy rozpoznano jeszcze kogoś?

- Jeszcze nie, szefie. Nie możemy prowadzić obserwacji wewnątrz budynku, bo tam wchodzi też inni lokatorzy.

- Zdjęcia?

- Natraskaliśmy ich sporo.

Predrera oglądał je uważnie, niektóre od razu odrzucał, przy innych chwilę się zatrzymywał. Był niezadowolony, gdyż zaciskał usta.

- Jego tu jednak nie ma.

- A może dajmy ludziom zdjęcia? Łatwiej go zidentyfikują.

- Dobry pomysł. Zastanawiam się też, Bernard, czy jednak nie wziąć tej baby i dzieciaka. Może wtedy Felipe prędzej wyjdzie z nory?

- A jeśli machnie ręką?

- Nie sądzę. Jeśli zafundował jej obstawę, to znaczy, że zależy mu na niej.

- Nie mamy kanału łączności, aby postawić mu warunki. Nie ochronimy też przed uderzeniem wszystkiego. On zna doskonale nasz układ i wie, gdzie są czule miejsca.

- Masz rację, Bernard. Czuwajmy zatem u jej łóża. Mężczyźni zresztą najszybciej wpadają właśnie przez baby.

- Wydam dyspozycje.

Predrera zaś pomyślał, że jemu akurat niebezpieczeństwo ze strony kobiet nie grozi. Nie wiąże się z nimi. Trochę uciechy i żegnaj, laleczko, nie wspominaj mnie źle. Chociaż z Verą chyba nie od razu się rozstanie. Dobra. Zna technikę, a gdy wzbudzi się jej namiętność - a on umiał to robić - wtedy... Tak, ta noc się udała. Z początku wyczuwał w niej sztywność i jakby

chłód, ale to trwało króciutko. Jakoś się przełamała. Wtedy poczuł jej ręce na swym ciele. Co za dziewczyna! Był dumny, że sprostą jej oczekiwaniom.

Czyli pełnia powodzenia. Vera i Carreno... Ją już miał i jeszcze z nią będzie, jego zaś dostanie lada chwila. Gdy Carreno wpadnie w sidła, zginie też jego organizacja i znów wrócą dobre, spokojne czasy. No, jeszcze Ruiz... Ten przekłety gliiniarz! Cała nadzieja w tej dziewczynie. Ciarki mu chodziły po skórze, gdy pomyślał o ewentualnym okupie. Szefowie każą zapłacić z własnej kieszeni - kto bowiem pokpił sprawę? - a ile może ten zbój chcieć? Nie wystarczą oszczędności całego życia. A jeśli Carreno kupi wcześniej?

Musi czekać, czekać, czekać... Na zatrzaśnięcie się pułapki, na wyniki działań przekupionych policjantów - mieli zbadać, czy te materiały są w budynku policji - na efekty, starań Julietty. On zaś chwilami miał ochotę porozmawiać z komisarzem. Wiemy, co masz, a ile za to chcesz? Pogadajmy jak ludzie interesu. Uznajemy fakt, że chcesz zarobić, ale ty zważ, z kim zadzieras. Przyparciu do muru, nie cofniemy się przed niczym. Ale szybko odrzucał te pomysły. Tylko bez gorączki. Czekaj, a na pewno zyskasz...

Wiadomość nadeszła w chwili, gdy odprężał się po całym dniu wytężonej pracy. Przyjechał do kasyna, usadowił się na barowym stołku ze szklaneczką w rękę i czekał na występ Very La Pampa. Potem będzie kolacja, tym razem w apartamentach na tyłach kasyna. On teraz nie może się nigdzie ulatniać. Tam też odbędzie się ciąg dalszy, czyli miłosne igraszki. Wieczór zapowiadał się wspaniale. I wtedy zjawił się Bernard. Był wyraźnie podniecony.

- Jest, szefie!

- Masz pewność?



- Tak. Ludzie są zgodni w meldunkach, a widziało go dwóch. Wszedł do budynku.

- Obstawa?

- Ludzie już są na stanowiskach, szefie. Jaka decyzja?

- Brać. Najlepiej żywcem. Ruszaj, a ja będę u siebie.

Bernard pospieszył do wyjścia, a Predrera dopił szybko drinka i kazał wezwać wóz. Skinął też na Comeza.

- Laleczkę odstaw dziś do domu.

- Tam wszystko gotowe.

- Powiedziałem...

- Oczywiście, szefie.

Siedząc w samochodzie usiłował liczyć, ile czasu zejdzie Bernardowi. Jest w drodze, dojeżdża, staje, wysiada... Zniecierpliwiony Predrera wyprzedzał wydarzenia. Bernard bowiem nie podjechał pod sam budynek, lecz zatrzymał się za rogiem. Wysiadł, szedł szybko, udając zwykłego przechodnia. Po drodze dał rozkaz obserwatorowi, aby przybliżył się do budynku. Widział, jak w głębi ulicy zatrzymał się samochód. Przyjechali nim trzej jego ludzie. Zbliżali się teraz bez pośpiechu. To grupa szturmowa. Bernard polecił obserwatorowi:

- Wejść do bramy i pilnuj podwórka.

- Jasne, szefie.

W pobliżu byli ludzie, kręcili się jeszcze przechodnie, więc tamci nie rzucali się w oczy. Bernard stał koło bramy i czekał. Nie było już potrzeby się maskować. Carreno zapewne zabawia się z żoną i nie przychodzi mu do głowy, że oto zbliża się atak.

Bernard nie mógł oczywiście wiedzieć, że obstawa mieszkania obserwuje ulicę. Służbę pełnił akurat Hernandez, człowiek obyty i bystry. On właśnie rozpoznał Bernarda, którego znał od paru lat. Po chwili ujrzał też trzech ludzi. Nie było wątpliwości,

idą. Wpadł więc do pokoju, gdzie Carreno trzymał na kolanach dziewczynkę.

- Idą! Ratuj się, Felipe!

- Ilu?

- Grupa specjalna. Widziałem czterech.

Obaj mieli pistolety maszynowe i zapasowe magazynki. Carreno już w progu obrócił się do kobiety.

- Zamknij drzwi i nie otwieraj. My ich zajmiemy.

- Ratuj się, Felipe!

Hernandez zszedł nieco niżej i na półpiętrze przykucnął przy poręczy schodów. Słuchał. Szli. Ostrożne, skradające się kroki. Carreno zaś przesunął się wyżej. Chciał zbadać wyjścia na strych i dach. Znalazł drzwi, nacisnął kłamkę. Zamknięte. Tymczasem na pierwszym piętrze warknęła seria peemu. Odpowiedziały jej inne. Pociski zastukały tuż koło niego. Zaczął jeszcze energiczniej napierać na drzwi, lecz nie ustępowały. Tymczasem tamci przypuścili atak. Serie darły schody, pociski rykoszetowały od ścian, wszędzie rozpełzł się zapach spalonego prochu. I nagle broń Hernandeza umilkła. Tamci też przestali strzelać, podchodzili ku górze. Carreno otarł spocone czoło. Uspokoił się. Wiedział już, co się musi stać. Przez moment pomyślał o swoich planach. Nic z tego. I gdzie popełnił błąd? Zapewne wyspał ich pośrednik. I jeszcze jedna myśl: przecież są w mieście, wśród ludzi. Może zaraz zjawi się policja? Założył nowy magazynek i przesunął się o pół piętra w dół. Tamci byli już blisko, więc nacisnął spust.

Policję zaalarmował jeden z lokatorów. Słuchał przez chwilę strzałów na schodach, potem szybko wykręcił odpowiedni numer telefonu. Beładnie, chaotycznie opowiedział dyżurnemu o walce w budynku. Ten już w czasie rozmowy nacisnął sygnał alarmu. Załogi dwóch dyspozycyjnych patroli rzuciły się do

swoich wozów, wkładając po drodze kuloodporne kamizelki. Nie wyjechali jednak, gdyż nie było drugiego sygnału. Nie wiedzieli, że w chwili rozpoczęcia walki u komisarza zadzwonił telefon. Mecenasa Ayacucho, nie bawiąc się tym razem w dyplomację, domagał się obojętności policji. Na zakończenie powiedział:

- Pan ma do sprzedania coś, co nas interesuje. Jeśli będzie interwencja, nie dojdzie do żadnych pertraktacji. Chcemy się z panem dogadać, warunki do ustalenia. Teraz jednak potrzebujemy pół godziny spokoju. Zgoda?

- Zgoda. Pół godziny.

Komisarz przystał na to bez namysłu. Chociaż nie wiedział, o co chodzi, uznał jednak, iż nie może przypierać Syndykatu do muru. Są bowiem gotowi na dotkliwą ripostę. A jeśli podłożą bombę pod policyjny budynek? Alarmowe wozy już stały. Nic nierozumiejący dyżurny opowiadał zdenerwowanym kolegom bajeczki o potrzebie rozpoznania, a zdesperowanym lokatorom o policyjnej blokadzie dzielnicy.

Pilar Rincona tuliła do siebie córeczkę. Bała się. Lada chwila załomocą do drzwi. Na pewno przyjdą. A więc stało się. Felipe nie chciał jej słuchać i nie wyjechali stąd, zostali w tym przeklętym mieście. Stali się zwierzyną, aż myśliwi ich dopadli. Strzały nie cichły. I wreszcie ostatnia seria. Cisza. Kroki. Pojedynczy strzał. Znów kroki. Cisza. Stała pod drzwiami, nakazując córeczce milczenie. Potem wrzuciła do torby trochę rzeczy i obie zeszły na dół. Nie zapalała światła, więc nie zauważyła leżącego pod ścianą ciała Hernandeza. Felipe gdzieś zniknął. Może uciekł dachami? To nic, on będzie wiedział, gdzie szukać żony i córki. Wydostała się z domu, na pobliskim parkingu stał ich volkswagen. Zdążyła ruszyć, nim pod budynek zjechały się policyjne wozy. Ostrożnie, z bronią gotową do strzału, policjanci

wchodzili do środka. Śmierdział spalony proch, pod nogami walały się łuski, ściany były poorane seriami, kule podziurawiły poręcze i stopnie schodów. Znaleziono dwa ciała, jedno w połowie klatki, drugie na górze. Zastrzeleni nie mieli dokumentów ani broni. Spytano sąsiadów - ośmielili się wychodzić słysząc policję - nikt jednak nie znał ofiar. Tylko jeden człowiek pociągnął sierżanta za rękaw, dając mu znaki, aby odsunął się od grupki ludzi. Gdy znaleźli się nieco na uboczu, mężczyzna powiedział:

- Ten tu czasem bywał.

- U kogo?

- U pani Rincony.

- W porządku. Dziękuję.

W mieszkaniu jednak nie było nikogo. Dzwonili kilka razy, ale nikt nie otwierał. Zabrano więc ciała i policja wycofała się. W tym czasie Bernard położył na biurku Jose dwa pistolety maszynowe i kilka zdjęć.

- Oto skalp, szefie.

- Na pewno on?

- Proszę popatrzeć. Dla pewności daliśmy mu jeszcze kulę w łeb.

- A więc mamy go.

Predrera długą chwilę wpatrywał się w zdjęcia. Zakrwawiona twarz Carreno była dobrze widoczna. Nareszcie! Jaka ulga... Chciałeś spasować, a więc masz swój odskok. Tylko w niebyt, mój drogi, innej drogi nie ma... Zaraz trzeba wysłać meldunek, że zadanie wykonane. On nie żyje, a jego ludzie zapewne się rozproszą. Ale... I podniósł wzrok na Bernarda.

- A ona?

- Nie szukaliśmy jej. Mieliśmy zbyt mało czasu. Pół godziny...

- Pewnie zwała.
- Czy mamy to sprawdzić?

Prawdę mówiąc, Bernard nie lubił rozpraw z kobietami. A jeszcze dziecko... W głębi duszy był nawet rad, że stracili tę babkę z oczu. On zresztą uważał sprawę za zakończoną. Mieli dostać faceta - oto dowód, trup. I koniec...

- Straty?
- Jeden zabity i jeden ranny.
- Na razie siedzieć cicho. Niech policja sobie pobiega.
- Tak jest, szefie.

„Do szefa operacji «Złote runo».

Kontakt z aspirantem Mateo Rodrigezem nawiązany. Początek jest obiecujący. Czy można potwierdzić mu naszą tożsamość kanałem urzędowym, wyłącznie do jego wiadomości? Uważamy, że to ważne.

Leon”.

Jose Predrera, wbrew pozorom, był bardzo sprawnym mężczyzną. To Vera musiała przyznać. W każdym razie miała zupełnie miłe wspomnienia. Tyle że zaczęła prowadzić trochę dziwny tryb życia. Dwóch mężczyzn... Do czego to doprowadzi?

Felipe i Jose... Chyba trzeba się zdecydować. Gdyby Felipe chciał mieć ją na stałe, poszłaby za nim bez namysłu, a razie jednak o wspólnej przyszłości nie ma mowy. Jose zaś gwarantuje na pewien czas stabilizację i zapewne jakieś pieniądze. Co wybrać - romantyczną miłość czy spokój oparcie? Bo jeśli pozostawić na boku uczucia i ująć rzecz fizjologicznie, to było jej przyjemnie i z jednym, i z drugim. Ba ale trzeba znać zamiary obu mężczyzn, inaczej wybór będzie trudny. A więc Felipe...

Gdzie go szukać? Załatwia interesy czy też szuka rozkoszy w objęciach jakiejś dziwki? Och, Felipe... Ile mam przez ciebie zmartwień...

Bijąc się z niespokojnymi myślami, Vera wybrała się do pani Boltone. Miała szczęście, gdyż trafiła na Gabriellę. Gdy przyszła na nią kolej, pociągnęła fryzjerkę na zaplecze. Dziewczyna była nieco zdziwiona, lecz Verą nie dała jej ochłonąć.

- Muszę się z nim skontaktować.

- Ja nic nie wiem, proszę pani.

- Przecież przekazałaś mi wiadomość. Skąd ją wzięłaś?

- To Miguel...

- Jaki Miguel? O kim mówisz?

- Jest taki chłopak, proszę pani. Znajomy. I on mi powiedział, co mam pani przekazać.

- W takim razie spotkaj się z nim jeszcze raz. Niech powtórzy, że ja proszę o spotkanie w pilnej sprawie.

- Jeśli go tylko zobaczę, to z przyjemnością.

- Nie wiesz, gdzie on mieszka?

- On często wyjeżdża, proszę łaskawej pani, i potem długo go nie ma. Prowadzi dziwny tryb życia, więc nie wiem...

- Ach tak... Jednak zrób, Gabrielo, co tylko możesz. Bardzo mi na tym zależy. Wynagrodzę cię sowicie, zobaczysz.

- Postaram się, proszę pani, ale nic nie obiecuję. Jeśli się tylko uda, powiem.

Innego pomysłu Vera na razie nie miała. Jeżeli nie Gabriella, to kto? Właściciele tego hotelu, gdzie była z Felipe? Pojechać i spytać? Powiedzą zapewne, że bywa tu wielu gości... Czy można wszystkich zapamiętać? Więc musi czekać... Wsunęła do ręki Gabrieli banknot i ucałowała ją serdecznie. Dla zachęty... Niech wie, że bardzo jej na sprawie zależy. Mój Boże, ile to

trzeba się w życiu naczekać! Ile namartwić! Że też ma takie pieskie szczęście... Inne spotykają wspaniałych mężczyzn, wychodzą za mąż, żyją spokojnie, a ją akurat musiał spotkać taki niespokojny los... Może jednak nagrodą będzie szczęście? I trochę spokojniejsza wróciła do domu.

„Do Leona

Potwierdzenie dotrze do adresata natychmiast. Akceptujemy wasz krok, życzymy powodzenia.

Szef operacji «Złote runo»”.

## XI

Meldunek był obszerny. Komisarz udawał, że czyta, chociaż śledził tylko końcowe wnioski. Obejrzał dokładnie fotografie. A więc Carreno zginął. Tu nie ma wątpliwości. Zdjęcie było wyraźne: krew na twarzy, w oczach zastygłe podniecenie. Broni nie znaleziono, chociaż koło zwłok leżało dużo łusek. Wielki Carreno... Krzywe schody, obdrapany mur... Niczym szczur w pułapce... A jednak Syndykat to potęga...

Zadał podwładnym kilka rutynowych pytań, nieuważnie słuchał ich odpowiedzi. Postanowienie już zapadło: sprawa do odłożenia. Formalnie będzie śledztwo, ale bez specjalnych wysiłków. Zresztą, jeśli nawet przesłuchają tę Pilar Rinconę, to co? Powie, że był u niej Carreno? Sami o tym wiedzą. Problem tkwi w czym innym: kiedy odezwie się Syndykat? A odezwać się musi. Komisarz był tak zaaferowany swoimi problemami, że nie zwrócił uwagi na dziwną powściągliwość aspiranta. Nie zjawiał się z raportami, coś tam robił na własną rękę. Niech tam... To teraz mniej ważne...

Ruiz wreszcie nie wytrzymał. I tak miał przerwę w wizytach w kasynie. Wsiadł więc do samochodu i pojechał. Portierzy kłaniali mu się jak zwykle, Oskar postawił przed nim szkocką, podsuwał cygara, pytał o zdrowie. Komisarz nie czuł jednak zwykłego zadowolenia. To nie to... Ledwie jednak pociągnął



dwa łyki, obok bufetu pojawił się Comez. Szef kasyna prezentował jak zwykle wielką układność.

- Czy pan komisarz nie byłby tak łaskawy, aby pofatygować się na zaplecze? Bardzo prosimy...

- Stało się coś?

- Jest pewien problem...

- Jeśli to ważne...

- Bardzo nam na tym zależy.

- Dobrze.

Był przekonany, że właśnie nadeszła ta chwila. I rzeczywiście, w gabinecie szefa siedział mecenas Ayacucho. Komisarz, nie czekając na zaproszenie, usiadł w fotelu, założył nogę na nogę. Comez podsunął mu pudełko cygar. Czekali, aż zapali. On zaś dmuchnął dymem i powiedział spokojnie:

- Ostatni raz, panowie... Koniec z bitwami w mieście. Prasa weźmie nas na języki.

- Obawia się pan pismaków, panie komisarzu?

- Wasza potęga też nie jest nieograniczona.

- Na Santa Maria wystarczy.

- Na Bogotę też, mecenasie?

Przysłuchujący się tej wymianie zdań Comez uznał zapewne, że zbaczą w niebezpiecznym kierunku. Otworzył barek i wyjął butelkę koniaku.

- Po kropelce, panowie...

- Niech będzie...

- Za porozumienie.

- Jeśli na godziwych warunkach...

A więc padło wreszcie to słowo. Warunki... Chyba wiedzą, że on zdaje sobie sprawę z ważności dokumentów. I tanio nie sprzeda. W każdym razie nie za szklaneczkę szkockiej i cygaro. Ayacucho też najwidoczniej uznał, że przyszedł czas na poważną rozmowę, gdyż spytał:

- Gdzie są dokumenty, panie komisarzu?
- U mnie.
- Czy ktoś je jeszcze przeglądał?
- Szczegółowo czy w ogóle?

W głosie mecenasa było coś, co kazało zastanowić się nad odpowiedzią. A jeśli? Nie, do diabła, nie odważą się! Przypomniało mu się jednak zdjęcie trupa Carreno i poczuł na plecach lekki dreszczyk. Czy Syndykat nie zabijał już nawet wysoko postawionych osobistości? Cóż dla nich znaczy miejscowy komisarz? Trzymają się z dala od niego tylko przez te dokumenty. Inaczej... I powiedział oschle:

- Niech was nie obchodzą wewnętrzne sprawy policji. Rozmawiacie, panowie, tylko i wyłącznie ze mną.

- Proszę wybaczyć, komisarzu, lecz muszę mieć pewność. A jeśli po jakimś czasie zgłosi się jeszcze ktoś?

- Wykluczone! Ja za to odpowiadam.

- Czy w takim razie, panie komisarzu, daje pan również gwarancję, że dostaniemy wszystko?

- To znaczy?

- Nie będzie żadnych odbitek, kopii, odpisów. Nic.

- Muszę mieć jakiś ślad.

- Po co? Czyżby pan nam nie wierzył?

- Przestańmy rozpatrywać rzecz w kategoriach wiary, mecenasie. Znamy się zbyt dobrze.

- Pan chce konkretnych gwarancji, a nam ma wystarczyć słowo komisarza? A co będzie, gdy, na przykład, jankesi dadzą panu więcej?

- Nawiasem mówiąc, byłby to handel.

- Ale my jesteśmy pierwsi.

Ayacucho zaczął się już denerwować. Poczzerwieniał, odsunął niecierpliwie lampkę, znów napełnioną koniakiem przez

Comez, mówił też nieco szybciej. Szef kasyna uznał najwidoczniej, iż czas na interwencję. Uśmiechnął się szeroko i trzasnął wieczkiem pudełka cygar.

- Zapalmy fajkę pokoju, wielcy wodzowie. Proszę...

- Są znakomite.

- Panowie, pogadajmy jak handlowcy. Pan komisarz ma interesujący nas towar. Czy jest pan skłonny zawrzeć transakcję?

- To zależy od warunków.

- Płacimy po dziesięć tysięcy dolarów za sztukę.

- Hmm... Ten towar jest znakomity.

- Jaka jest więc pańska cena, komisarzu?

- Żeby nie być detalistą... Pół miliona za wszystko. Gotówką. Myślę, że towar jest tyle wart. Sami panowie wiecie...

- To duża kwota, panie komisarzu.

- To już jak uważacie... Swoje powiedziałem.

I znów odezwał się Ayacucho. On jednak był bardziej zadziorny. Chyba nie mógł wytrzymać napięcia...

- Jeśli nasza transakcja nie dojdzie do skutku, to co pan zrobi?

- Żadna tajemnica. Przeczyta pan o tym w gazetach, panie mecenasie.

- Pan najlepiej wie, że czasami zdarzają się dziwne wypadki.

- Na przykład?

- Wóz nie weźmie zakrętu i wypadnie z szosy.

- Nie wiem, z kim pan w życiu pertraktował, panie mecenasie, ale w tym stylu...

- Panowie, wypijmy po łyku, to nam dobrze zrobi. Comez wtrącił się w porę i napięcie spadło. Mecenas Panował zdenerwowanie, komisarz też się uśmiechał. Szef kasyna najwidoczniej

uznał, że osiągnął swój cel i teraz on przejął inicjatywę.

- Określmy więc swoje pozycje. My dajemy dziesięć tysięcy od sztuki, no, powiedzmy dwanaście. Co pan komisarz nato?

- Pół miliona za całość.

- Pan wybaczy, panie komisarzu, ale nie mamy upoważnienia na taką sumę. Musimy uzgodnić.

- Rozumiem.

- Postaramy się szybko dać odpowiedź. Czy to panu, komisarzu, odpowiada?

- Tak, w porządku.

Wiadomość o śmierci Carreno zaskoczyła Pasco. Przełamał się nawet i poszedł do Bernarda po potwierdzenie. Szef grupy specjalnej triumfował. Z wielką chęcią pokazywał zdobyczną broń - na kolbie była krew - oraz zdjęcia. Nie pozostawiały żadnej wątpliwości - to był Carreno. Więc koniec z tym wielkim niebezpieczeństwem? Kto w takim razie siedzi na tym przeklętym jachcie? Jego ludzie? Coś go jednak w całej tej sprawie niepokoiło. Jeśli zginął szef, podwładni powinni wiać, gdzie pieprz rośnie. Może tak uczynili? A jeśli nie są od Carreno, to od kogo?

Po powrocie do siebie wezwał Santovenię i wtajemniczył go w całą sprawę. Ernesto wysłuchał uważnie i spytał:

- A jeśli nie wywiali, szefie?

- Uderzymy dziś w nocy. Od tej chwili nie wolno spuścić z nich oka.

- Jasne, szefie.

- Trzeba wreszcie skończyć z tą zarazą.

- Rzeczywiście. Narobili nam tyle kłopotów.

- Szefa już nie mają. Carreno zabity.
- Coś podobnego!
- Bernard go zlikwidował.

Santovenia wykonywał nakazane czynności, lecz cały czas zastanawiał się nad sytuacją. Więc Felipe zginął... Nie uchronił się. Teraz trzeba pomyśleć o własnej głowie. Nie wydawało mu się, aby Carreno miał jakieś materiały, pozwalające na identyfikację współników. Jednak... Może ktoś dostał się w ich łapy? Santovenia dobrze wiedział, jak potrafią zmusić do mówienia. Był człowiekiem odważnym, ale bał się tortur. Co więc począć? Porozumienie się z tamtymi listownie było niemożliwe. Za mało czasu. Telefon? Do kogo dzwonić?

I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł. Ostatecznie nic go z tymi ludźmi nie łączy. Była sprawa - i już jej nie ma. A więc jeśli ma być uderzenie, to oczywiście śmiertelne. Ślad się urwie. Po prostu stamtąd nikt nie może wyjść żywy. I on musi tego dopilnować. Pasco to rzeźnik, on nie będzie się liczył z cudzym życiem. Tym bardziej że przywódca grupy, czyli Carreno, został zlikwidowany. A jeśli taki cwaniak jak Felipe nie zdołał wyplątać się z interesu, to co może zrobić zwykły człowiek? Być teraz gorliwym i lojalnym pracownikiem Syndykatu. Aż wszystko przycichnie...

Obserwator z przystani meldował, że jacht stoi na swoim miejscu. Załoga zajmuje się codziennymi sprawami. Dziś robili przegląd sprzętu do nurkowania i porządkowali podwodną zdobycz. Pasco zatarł z zadowoleniem ręce.

- Dostaniemy ich.
- Szykować chłopaków?
- Oczywiście! Oporządzić broń. Żadnego alkoholu.
- W porządku, szefie.

Gdy wyznaczeni ludzie przygotowywali broń i zapasowe

magazynki, a kierowcy szykowali wozy, wymieniano oczywiście krótkie uwagi o czekającej ich robocie. Wtedy właśnie można było wtrącić delikatne aluzje, że tym razem chyba nie trzeba się pieścić, jeśli będzie opór. Dobry Boże, spraw, aby był! Niczego więcej Santovenia nie pragnął. Podkreślał tylko w rozmowach, że muszą się dobrze spisać. Poprowadzi ich sam Pasco. Dwa samochody, dziesięciu ludzi. Dwóch zostanie przy maszynach, trzech ubezpieczy wejście na przystań, a pozostali, z szefem na czele, uderzą na jacht. Miękkie obuwie i broń z tłumikami. Zastanawiali się tylko, co począć z jachtem. Santovenia był za zatopieniem go wraz z zawartością, lecz Pasco po krótkim namyśle zdecydował, iż dadzą sobie z tym spokój. Akcja musi być przeprowadzona cicho, błyskawicznie.

Nie przyszło im do głowy, że na jachcie też podjęto przygotowania. Lefranc zarządził ściągnięcie obu luzaków i wieczorem obaj znaleźli się na pokładzie. Wydostali broń ze skrytki, czuwali po dwóch, ale reszta też była w pogotowiu. Obok budynku przystani kręcił się policjant wywiadowca. Rodrigez zarządził też obserwację głównej kwatery Pasco. Wywiadowca był bystrym człowiekiem i bez trudu spostrzegł dziesięciu ładujących się do samochodów ludzi. Zameldował o tym przez radiotelefon aspirantowi. Rodrigez ucieszył się. Miał już dosyć rozplywania się kolejnych spraw. I cóż z tego, że łapał ludzi Syndykatu, jeśli ich zaraz wypuszczano? Cóż z tego, że zdobywał broń i inne dowody przeciwko nim, jeśli dalsze śledztwo toczyło się ślamazarnie? Więc teraz im dopiecie! Nie przeszkodzi mu żaden komisarz, prokurator czy sędzia... Szanowny pan mecenas Ayacucho nie zdoła tego zatuszować.

Samochody skierowały się do portu. Gdy człowiek z rejonu przystani zameldował o nich, aspirant dał swoim ludziom sygnał

wyjazdu. Była już noc, ruch na ulicach minimalny, więc nie włączyli syren. Ludzie byli podnieceni, gdyż zanosilo się na ostre starcie.

A Pasco cieszył się z wyprawy. Nareszcie coś się dzieje! Dawno już nie miał takiej frajdy. Czyli wracają dobre czasy! Gdy rano rzuca na stół swą zdobycz, Jose Predrera będzie zdumiony. Jaką zdobycz? To się okaże. Na pewno broń, ale może też jakieś dokumenty? W każdym razie te tajemnicze historie powinny się skończyć. W Santa Maria znów zapanuje spokój.

- Wolniej... Podjedź cicho do rogu.

- Robi się, szefie.

Wóz Pasco wytracił szybkość i zatrzymał się przed końcem ogrodzenia przystani. Drugi stanął tuż za nimi. Santovenia wysiadł i spokojnym, spacerowym krokiem pomaszerował w stronę budynku. Koło bramy natknął się na swego zwiadowcę.

- Co jest?

- W porządku.

- Dozorca?

- Wlazł akurat do swej nory.

- Masz go przypilnować. Żadnych alarmów.

- Zrobi się.

- Gdy podejmiemy do wejścia, ma zgasnąć światło.

- Rozumiem.

Santovenia wrócił do samochodu i uniesionym kciukiem dał znak Pasco, że wszystko w porządku. Ludzie wysiedli, Starając się nie robić hałasu. Wokoło pustka. Pasco machnął ręką:

- Jazda!

Przesuwali się wzdłuż ogrodzenia, bardzo cicho, a gdy minęli wejście, trzech ludzi zajęło stanowiska za drzewami.

Pasco sam poprowadził grupę szturmową. Weszli na most, sięgający dosyć daleko w morze. Po obu stronach przycumowano po trzy jachty. Na przystani zapanowały ciemności. Sterroryzowany pistoletem dozorca wyłączył światło. Nagła ciemność zaniepokoiła czuwającego akurat Kubę. Nachylił się do malarza:

- Coś się dzieje.
- Zwykle śpięcie.
- Obudzę chłopców.
- Może to nic ważnego?

Tymczasem obok nich pojawił się Lefranc. Jeszcze nie spał. Chwilę wpatrywał się w ciemność.

- Co jest, chłopcy?
- Właśnie nie wiadomo.
- To mi się nie podoba.
- Uwaga!

Kuba był pewny, że się nie myli. Dostrzegł ciemne sylwetki. Położył się na pokładzie z bronią gotową do strzału. Malarz też poszukał osłony. Tamci się zbliżali. Nikt jednak z załogi jachtu, ani z ludzi z grupy szturmowej nie mógł widzieć tego, co działo się koło bramy. Dwa policyjne wozy wypadły zza rogu, jeden stanął obok samochodów Syndykatu. Wskoczyli z nich policjanci z bronią gotową do strzału.

- Ręce do góry! Policja!

Sprawnie obezwładnili kierowców, skuli ich i usadowili w jednym z wozów. Drugi samochód wpadł w bramę. Prawie równocześnie rozbrzmiały serie na pomoście i tu, między drzewami. Ludzie Pasco na widok policji wycofywali się i tylko jeden ostrzegł kolegów wystrzałami. Padł po chwili od policyjnych kul.

Tymczasem na pomoście walka rozgorzała w chwili gdy



pierwszy z napastników chciał przeskoczyć burtę jachtu. Seria Kuby odrzuciła go. Ludzie Pasco otworzyli ogień. Z jachtu odpowiedziały im trzy pistolety maszynowe. Santovenia spostrzegł, że Pasco leży na ziemi. Gdy podsunął się do niego, szef już nie żył. Dwaj pozostali usiłowali się cofać, lecz pomostem już nadchodziła policja. Ernesto nie zastanawiał się - przeskoczył na sąsiedni jacht i rzucił się w wodę. Jeden z jego ludzi zrobił to samo. Drugi już leżał na pomoście. Nagle światła znów rozbłysły, więc zajęto się rannym Jeanem. Dostał kulę, gdy wybiegał z kabiny.

Nim załogi sąsiednich jachtów otrząsnęły się z zaskoczenia i mogły wyjść na pokłady, ludzie Lefranca pochowali broń. Na pomoście już byli policjanci. Rodriguez musiał uspokoić wzburzony tłumek. Zaraz też uprzątnięto trupy. Aspirant był oficjalny, udawał, że nikogo nie zna. Korzystając z zamieszania, zdołał im tylko szepnąć, że zginął też Pasco. Oni zaś, po odwiezieniu Jeana do szpitala, zebrali się w kajucie. Lefranc wyciągnął butelkę koniaku, nalał do szklaneczek po sporej porcji.

- Mieliliśmy szczęście, chłopaki, i za nie wypijemy.
- Biedny Jean.
- Lekarz powiedział, że nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa.
- Chwała Bogu...
- Trzeba mu zorganizować opiekę.
- Oczywiście. Poprosimy centralę, aby zawiadomili francuskiego konsula.

Koniak grzał przyjemnie, odprężali się po niedawnym niebezpieczeństwie, mówili nieco bełładnie, wspominając epizody walki. Cieszyli się. Kosa tylko przeleciała nad ich głowami. Co znaczy mieć szczęście...

Informacja przedostała się do miasta i dziennik „Wiadomości” podał, że w nieznanym na razie okolicznościach został zastrzelony niejaki Felipe Carreno, człowiek uważany za handlarza narkotyków. Przez długi czas działał na Karaibach i śmierć ta zapewne jest skutkiem porachunków tamtejszych gangów narkotyków.

Vera przeczytała tę wiadomość przy śniadaniu. Była jak ogłuszona. Zdjęcie obok notatki nie pozostawiało żadnych wątpliwości. On! Więc go nie ma i już nigdy nie będzie. Rzuciła się na łóżko i gorzko zapłakała. Wiedziała wprawdzie, że kochanek nie ma zamiaru się żenić, lecz samo jego istnienie było dla niej źródłem radości. Taki wspaniały mężczyzna!

Stopniowo uspokajała się. Inna myśl poczyniała świdrować jej umysł. On już nie wróci. Czyżby wynikało z tego, że jest spadkobierczynią? Zerwała się i otworzyła szkatułkę, w której przechowywała wszystko, co uważała za cenne. Na dnie leżała paczuszka. Zawahała się. Przypomniała sobie jednak, co on niegdyś powiedział: oddasz tylko i wyłącznie mnie. A on... I lzy zakręciły jej się w oczach. Przecięła jednak sznurki, otworzyła pudełeczko. No tak, diamenty... Garść diamentów. Piękne! Bogactwo!

Poczuła wdzięczność dla nieżyjącego mężczyzny. Obdarował ją hojnie. Tak, jemu te kamienie już nie są potrzebne. Bez względu na to, jak bardzo będzie go żałować, już nic dla niego zrobić nie może. No, zamówi mszę za duszę tego wielkiego grzesznika. Inna rzecz, że grzeszyć z nim było bardzo przyjemnie. Nawet niezwykle przyjemnie...

Opanowała się. Służąca była nawet zdziwiona jej chłodną rozważą. Pani była czymś zaferowana. Zaraz po śniadaniu - a zjadła niewiele - pojechała do miasta. Powiedziała, że będzie u pani Boltone. Służąca nie miała pojęcia, że jej pani podjęła z

banku wszystkie pieniądze, zarobione i zaoszczędzone tu, w Kolumbii. Początkowo miała zamiar zająć się jubilerem, aby zorientować się w wartości diamentów, lecz wycofała się w ostatniej chwili. Kto wie, może pochodzą z nielegalnej transakcji? A może... Nie, on nie był bandytą, ale nie wszystkie jego interesy były zawsze legalne. Zdawała sobie z tego doskonale sprawę. Diamenty mają wielką wartość i musi je korzystnie spieniężyć. Ale nie tu...

Wróciła do domu, wysłała służącą do miasta, sama spakowała niedużą walizkę, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy - trochę jej było żal opuszczać to miłe mieszkanko. Musiała też zostawić sporo ciuchów. Zjechała windą w dół, jakby mimochodem opowiedziała portierowi o zaproszeniu od znajomych do odwiedzenia ich w wiejskiej posiadłości i wsiadła do taksówki. Trzy razy zmieniała samochody, nim dotarła na lotnisko. Tam, bacząc pilnie, by nie natknąć się na kogoś ze znajomych, podeszła do stanowiska meksykańskich linii lotniczych. Ich samolot bowiem odlatywał najwcześniej. Kupiwszy bilet, usunęła się w kącik, spłoszona i zląkniona. Teraz narzekała w duchu na swą popularność, która dotychczas ją cieszyła. Była rada, gdy rozpoznawano ją na ulicy, bawiły ją szeptki kobiet. Sprawiały jej zadowolenie spojrzenia mężczyzn. Zwykle był w nich podziw. Ale teraz chętnie by się zamieniła twarzą z kimkolwiek. Marzyła tylko o tym, aby wtopić się w otoczenie. Miała szczęście, akurat nikt z bywalców kasyna nie wybierał się w podróż samolotem. Gdy wywołano pasażerów do odprawy, odmówiła dziękczynną modlitwę. Jeszcze w ostatniej chwili przeżyła moment grozy, wydało się jej bowiem, iż dostrzegła z daleka Pasco. Był to jednak tylko ktoś podobny do niego.

Gdy samolot wystartował i nabierając wysokości głębokim

łukiem omijał miasto, Vera pomyślała, że oto odwraca się w jej życiu wielka karta. Miała za sobą przygodę z estradą, wyróżniała się wśród kobiet, ale tej kariery już wystarczy. Nie niosła zresztą tylko samych sukcesów, bywały i upokorzenia. Teraz trzeba poważnie pomyśleć o przyszłości, spieniężyć diamenty, umiejętnie ulokować kapitał w jakimś intratnym interesie - cudownie byłoby zamieszkać w starej Hiszpanii i prowadzić nieduży, uroczy pensjonat dla interesujących ludzi. I znaleźć odpowiedniego towarzysza życia. Dosyć, szaleństw... Jej potrzebne jest krzepkie, męskie ramię. Żeby się opiekował, kochał, doradzał... I dzieci...

Myśli o przyszłym życiu uspokajały ją. Była jednak cały czas czujna. Gdy samolot wylądował w Mexico City, przesiadła się do lecącego na Trynidad i dalej, na Wyspy Bahama. Stamtąd poleciała do Lizbony i pociągiem odjechała do Hiszpanii. Była zmęczona. Dysponowała niewielkim zapasem gotówki, ale mimo to nie opuszczało jej uczucie szczęścia. Była wolna, niezależna. Udało się jej przewieźć diamenty - celnicy uśmiechali się do młodej i ładnej kobiety - i znalazła się tam, gdzie chciała. Nawet już nie myślała o Santa Maria. Ten rozdział życia zamknęła definitywnie. I cóż, że nie stanie już w blasku światła na estradzie. Przeżyje teraz swoje ciche szczęście...

Mecenas Ayacucho tym razem nie mógł się opanować. Przybył do komisarza, uprzedziwszy go telefonicznie. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, ruszył do gniewnego ataku.

- Za kogo nas pan ma, komisarzy?! Nie damy się wodzić za nos, a na atak odpowiemy tak, że się całe miasto zatrzęsie!

- Panie mecenasie...

Mecenas wprawdzie dostrzegł, iż komisarz jest zaskoczony, lecz to nie ukoło jego gniewu. Durniów trzeba uczyć rozumu aż do skutku...

- Konfiskuje pan nasze dokumenty, by je potem sprzedać po wygórowanej cenie, a w tym samym czasie giną nasi ludzie. Co to ma znaczyć, u diabła?

- Jacy ludzie? Kto zginął?

- Pan nic nie wie?! Ilu jest więc komisarzy policji w naszym mieście? Kto tu właściwie rządzi?

- Zaraz sprawdzę, co to za historia.

- Nie przybyłem tu na dochodzenie. Przekazuję nasz warunek: transakcja odbędzie się tylko w przypadku wstrzymania wszelkich akcji przeciw nam. Natychmiast!

- To ten Mateo...

- Czy pan tu rządzi? A może się mylę i rozmawiam z niewłaściwym człowiekiem?

- Zapewnię spokój w mieście.

- Jak się nazywa ten gorliwiec?

- Ale...

- Jeśli pan nie potrafi, to może my wyperswadujemy mu, że się źle bawi? A ludzi trzeba wypuścić.

- Panie mecenasie, już ja zrobię porządek. Proszę zapewnić swoich mocodawców, że nikt więcej nie stanie im na drodze. Tylko wie pan, przy akcjach z bronią ja też nie mogę powiedzieć policjantom, aby się odwracali tyłem. Unikajcie strzałów, a wszystko będzie dobrze. Załatwimy naszą transakcję i utrzymamy spokój.

- Jutro się z panem skontaktuję.

- Dobrze.

Gdy komisarz upewnił się, że mecenas odjechał, kazał wezwać aspiranta. Gdy tamten wchodził do gabinetu, Ruiz pomyślał, iż

zrobił tyle dla tego chłopaka, co rodzony ojciec. Też dał mu życie. Przecież by durnia zabili... Ciągnie tygrysa za wąsy jak małe, nierozumne dziecko. A Rodrigez był pogodny, uśmiechnięty, rześki. Złożył komisarzowi meldunek o akcji w porcie. I chociaż komisarz był wewnętrznie spięty, nie miał się do czego przyczepić. Oto patrol policyjny wykrył uzbrojonych osobników; gdy usiłowano ich zatrzymać, odpowiedzieli ogniem. Jednych zabito, innych schwytano. Zdobyto też broń. Za taką akcję trzeba raczej pochwalić, a nie się czepiać. Aspirant położył na stole zdjęcia i wydruki komputerowe.

- Niektórzy są notowani, panie komisarzu.

- Widzę...

Ruiz nie miał wątpliwości. Oto zdjęcia trupa Augustino Pasco, obok zaś dane z komputera. Spora lista przestępstw, o których dokonanie był podejrzany. Gdyby mogli zdobyć chociaż część dowodów, groziłaby mu kara śmierci. Dobrze mówić mecenasowi, a co ma począć on, komisarz? Co powiedzieć temu zadowolonemu z wyników młodzieńcowi? Że nic się nie stało? Wypuścić tamtych zatrzymanych? I Ruiz zapragnął gorąco, aby to było już o trzy dni później. Po transakcji... Mógłby wtedy wziąć pieniądze i po prostu ulotnić się, zostawiając na biurku prośbę o dymisję. Zniknąć i uciec od tych cholernych kłopotów.

- Może ich wypuścimy?

- To niemożliwe, panie komisarzu. Broń, opór policji... Bandytów trzeba tępić, po to przecież jesteśmy.

- Kogo napadli?

- Nie zdążyli, gdyż im przeszkadziliśmy. Chodziło o jakiś jacht.

- Wiadomo coś więcej?

- Prowadził ich ten Pasco i miał wskazać, gdzie uderzyć.
- Sprawdzałeś, kto tam cumuje?
- Oczywiście. Wszyscy wyglądają na spokojnych żeglarzy.
- Chyba jakaś zemsta...
- A może konkurencja? Dziś rano dwa jachty wyszły w morze. Któryś z nich zapewne był ich celem.
- Przygotuj szczegółowy raport.
- Tak jest, panie komisarzu.
- Że też ty masz szczęście do drak...
- Tak się jakoś składa, panie komisarzu.

I Ruiz nie odważył się żądać czegokolwiek. Rodriguez był taki pewny siebie. A jeśli nie wszystko powiedział swemu szefowi? Jeśli jeszcze coś chowa w zanadrzu? Zmęczony tymi myślami i zdenerwowany przeciwnościami, komisarz postanowił odłożyć decyzję. Na dziś ma dosyć. W domu uchowała się butelczyna szkockiej, a więc się z nią zmierzy...

Po rozmowie z szefem aspirant upewnił się ostatecznie: komisarz Ruiz wpakował się w jakieś bagno. Widać po nim przygnębienie. Rodriguez jednak nie miał zamiaru go ratować. Decydując się na pracę w policji, człowiek powinien wiedzieć, do jakiej firmy wstępuje. Tu trzeba służyć, a nie kombinować. Jeśli więc Ruiz ma jakieś powiązania z Syndykatem, to jego sprawa i jego kłopot. Sam się musi wyplątać.

I tyle tylko pomyślał na temat szefa. Aspirant miał bowiem na głowie ważniejsze sprawy. Wiadomość z Bogoty o grupie specjalnej, działającej poza policyjnymi strukturami - urzędnik z centrali powiedział, że ponieważ Syndykat ma swoich agentów w policji, więc nie mogli ryzykować - bardzo go podniosła

na duchu. Postanowił zasłużyć na zaufanie. Przelotnie pomyślał o czekającym go zapewne awansie, lecz najbardziej pociągała go sama gra, tak odmienna od policyjnej szarzyzny.

Zaraz po rozmowie z komisarzem wsiadł do wozu bez policyjnych znaków i pojechał nad morze. Na skraju portu, gdzie zaczynała się aleja Palmowa, czyli nadmorski bulwar, dostrzegł stojącego obok budki telefonicznej człowieka. Przystanął na moment, lecz to wystarczyło, aby tamten znalazł się w wozie. Był to inspektor Lefranc. Rodriguez otworzył skrytkę.

- Proszę, tu są papierosy.
- Dziękuję, chętnie zapalę.
- Wszystko w porządku, inspektorze. Szef ma co prawda dziwną minę, ale pochwalił za wyniki.
- Co pan myśli o naszym planie, aspirancie?
- Moje dokumenty wam nie wystarczą?
- Są bardzo ciekawe, lecz jeśli już tu jesteśmy...
- Oni się teraz wściekają.
- Zapewne. Mimo wszystko pójdziemy.
- Bezpośrednio was nie wesprę. Nie mogę.
- Rozumiem.
- Nie pójdę na jawną drakę, inspektorze, ale dam wam osłonę.
- Bardzo dobrze. To nas urządza.
- Zablokujemy okolicę i nie dopuścimy posiłków. Damy wam dwie godziny spokoju. Więcej nie mogę.
- Dziękuję.
- Oczywiście jeśli zacznie się hałas, będę musiał wkroczyć.
- To jasne, aspirancie. Postaramy się być cicho.
- Omówmy sobie to wszystko na planie.
- Tak będzie najlepiej.



I aspirant skręcił na pobocze. Były tu zatoczki dla turystów, chcących popatrzeć na morze. Przez następne pół godziny uzgadniali szczegóły działania. Potem Rodriguez zawrócił i odwiózł Lefranca do miasta. Inspektor wysiadł w pobliżu portu i zniknął w tłumie.

Odprawa została wyznaczona na wieczór. Malarz i Kuba mieli podjechać wozem. Od ataku ludzi Pasco wszyscy członkowie grupy nie rozstawali się z pistoletami. Tak zarządził Lefranc. Zapowiedział też, że bezpośrednio po akcji wychodzą w morze. Wszyscy. Dostyc już wodzili szczęście za nos. Po takim ataku reakcja Syndykatu będzie zapewne gwałtowna. A więc żadnych kombinacji, odpływają i koniec.

Opuszczając obozowisko hipisów, Kuba pomyślał, że w gruncie rzeczy było mu tu dobrze. Ludzie życzliwi, pomagali jeden drugiemu. Kierowali się swoistą moralnością, ale przecież nikomu nie szkodzili. Byli po prostu inni. I to zapewne wielu drażniło... Najgorsze, że musi zniknąć bez słowa pożegnania. Niestety... Bo i co im powie? Że przez cały czas udawał? Że był kimś innym? Długo by musiał wyjaśniać motywy, dla których wziął się do tej policyjnej roboty. I zapewne nie podzieliliby jego poglądów. Wstał z posłania, przeciągnął się i wyszedł. Postął chwilę koło szopy i ruszył przez zarośla. Od razu nabrał wigoru. Wydostał się na ścieżkę prowadzącą do lasu.

Zebrali się w kabinie jachtu. Lefranc przygotował szkic okolicy i na jego podstawie zaczął omawiać plan akcji. Popatrywali na szkic, słuchali. Lefranc, człowiek dokładny, omówił szczegółowo punkt po punkcie, określając precyzyjnie zadanie każdego członka grupy.

Sprawdzili potem umocowanie tłumików, ostrość noży, załadowanie magazynków, całość sznurów i haków. Kolacja była

lekka, nie mogli przecież obciążać organizmów. Malarz wyszedł pierwszy, oni zaś kolejno podchodzili do samochodu. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi.

Sprawdzili, jak zwykle, czy ktoś za nimi nie jedzie, potem okrężną drogą dostali się w pobliże Muzeum Ziemi. Malarz ustawił wóz w małej uliczce od strony parku. Nikt się tu nocą nie kręcił. Lefranc sprawdził czas. Akurat zaczynała działać policyjna ochrona. Dwie godziny. Muszą przez ten czas uporać się ze wszystkim. Przesunęli się cicho przez ogrodzenie, przez zarośla podeszli w pobliże budynku. Tam ulokował się malarz. Lefranc poczołgał się pod mur. Z tej strony budynek miał ciemne okna. Część muzealna nie była strzeżona. Gdy inspektor dotarł na miejsce, ruszył George. Pochód zamykał Kuba. Od razu przystąpili do działania. Wspięli się kolejno po rynnie na ozdobny ganek, potem na dach budynku. Lefranc odszukał klapę i otworzył ją. Zeszli w dół po żelaznych prętach i znaleźli się na strychu. Przesuwali się ostrożnie, oświetlając sobie drogę błyskami latarek. Wreszcie odnaleźli następną klapę. Jeszcze raz zbadano położenie. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowali się nad korytarzykiem, prowadzącym z pokoju strażników do umywalni i ubikacji. Wypatrzył ją aspirant Rodriguez podczas swojej „wizyty” w tym pomieszczeniu. Przyklękli nad klapą i długą chwilę nasłuchiwali. Wreszcie Lefranc położył się z jednej strony, a Kuba z drugiej. Mieli broń gotową do użytku. George zaś powolutku, ostrożnie unosił klapę. W korytarzyku paliło się światło. Zdecydowali się błyskawicznie. Kłapa w górę. Kuba, chwyciwszy Lefrance za ręce, opuścił się w dół, zeskakując miękko na podłogę. Był to najbardziej niebezpieczny moment. Gdyby tak któryś strażnik... Nikogo jednak nie było. Kuba wyprostował się momentalnie, trzymając broń w pogotowiu. Za nim zszedł Lefranc, a potem George. On też sprawdził

umywalnię i ubikację. Kiwnął głową, że wszystko w porządku. Teraz przesunęli się ku drzwiom dyżurki. Gdy stanęli pod nimi, usłyszeli głosy. Najwidoczniej grano tam w karty.

Popatrzyli na siebie. Lefranc szarpnął drzwi, wpadł do środka, za nim Kuba. Trzech siedzących przy stole ludzi rzeczywiście trzymało w ręku karty. Znieruchomieli na widok skierowanych w ich stronę luf. Lefranc zaś uśmiechnął się i położył palec na ustach.

- Spokojnie, robaczki... Nic wam nie będzie.

Kuba przesunął się wzdłuż stołu, starając się nie znaleźć na linii strzału, i odrzucił broń do kąta. Każdy bowiem z tych kompletnie zaskoczonych ludzi miał przy sobie rewolwer i pistolet maszynowy. Lefranc pchnął lekko pierwszego z brzegu.

- Wyłącz alarm.

- Ja...

- Może wolisz mieć dziurę we łbie?

- Już idę...

Strażnik wstał i zerkając ze strachem na wycelowany pistolet maszynowy, podszedł do wiszącej z boku szafki.

- Co jaki czas dajecie sygnał?

- Co pół godziny.

- Ile minut zostało?

- Dwanaście.

- Dobrze. Zwiąż tych dwóch.

- Już się robi.

Wszystko odbyło się sprawnie. Strażników skrępowano, a jedyny problem stanowiły drzwi do biura. Były zamknięte na dwa skomplikowane zamki. George wziął się do roboty, a Lefranc zerkał niecierpliwie na zegarek. Czas płynął. Rychło minie pół godziny od nadania kontrolnego sygnału.

Z danych im dwóch godzin niewiele już zostało. A tymczasem zamki trzymały.

- No i co?
- Cholerne kombinacje.
- Idziemy na siłę?
- Chyba tak.

Strażników wyprowadzono do ubikacji, a w ich pokoju założono dwa ładunki plastikowego materiału wybuchowego. Inspektor miał nadzieję, że nie narobią zbyt wielkiego hałasu. Odpaliły obydwie i drzwi stanęły otworem.

Teraz pracowali w błyskawicznym tempie. George otwierał szafy, a inni pakowali dokumenty do worków. Nie wiedzieli, że biuro miało niezależną instalację alarmową. Na jej sygnał z „Karaibskiego Towarzystwa Handlowego” wypadł mikrobus z uzbrojonymi ludźmi. Niedaleko Muzeum Ziemi napotkali jednak policyjny patrol. Nie zareagowali na znak „stój”, więc natychmiast ruszył za nimi pościg. Minęli błyskawicznie bramę Muzeum Ziemi i klucząc nieco po ulicach, przedostali się wreszcie do starej dzielnicy. Zgubili wprawdzie policję, ale zatrzymali się w małej uliczce, bojąc się ruszyć. Jeden z uczestników „odsieczki” dotarł do ulicznego telefonu i zameldował, co się stało. Wówczas z firmy wyjechał samochód osobowy. Niezatrzymywany, dotarł do Muzeum Ziemi. Nie zastali tam już napastników. Po uwolnieniu strażników z więzów dowodzący akcją Santovenia przystąpił do szczegółowego przesłuchania. Wiedział, że będzie z tego ogromna awantura i chciał być dobrze przygotowany. W duchu zaś marzył o tym, aby napastnicy gdzieś się ulotnili. Wtedy zniknie ostatni ślad jego nielojalności w stosunku do Syndykatu. Chciał też być dobrze zorientowany i z tego powodu, że tylko w ten sposób mógł ocalić życie.

Aspirant Rodrigez nie miał zamiaru spać tej nocy. Sam czuwał nad przebiegiem akcji. Jego obecność bardzo się przydała. Kiedy dowiedział się o jadącym w stronę Muzeum Ziemi mikrobusie, kazał go zatrzymać. Pościg był mu na rękę, gdyż nie powodował dodatkowych komplikacji. Potem z ulgą przyjął wiadomość o fiasku i ściągnął obstawę. Oczekali jeszcze trochę, a kiedy nic się w mieście nie działo, pojechał na przystań jachtową. Tu panowała nocna cisza, półcieżarówka już odjechała, dozorca spacerował przy wejściu. Indagowany oświadczył, że nie widział nic ciekawego. Aspirant wezwał przez radio patrol, kazał im ustawić wóz w pewnym oddaleniu od wejścia, a następnie porozumiał się z policją portową. Nie mieli nic ważnego do zameldowania. Pomaszerował pomostem do jachtu, w pełni przygotowanego do wyjścia w morze.

- Ta cisza jest podejrzana. Przecież Pasco was rozszyfrował.
- Ale zginął.
- Dobra... Wejście do przystani macie ubezpieczone. Boję się morza.
- Myślisz, że mogą nas zaatakować?
- Właśnie tam nie wolno mi dać wam osłony. Nie należy to do moich kompetencji. To leży w gestii komisarza, a on...
- Kupili go?
- Chyba tak. Zachowuje się podejrzanie.
- Jakoś wyjdziemy w morze, a tam już mamy sobie radę.
- W takim razie trzymajcie się, chłopcy. Miło mi było was poznać.

- Posłuchaj, aspirancie. Otrzymujesz pseudonim „Kondor”.  
Podoba ci się?

- Świetnie!

- Bierz ten aparacik. Wszystkie dane do pracy radiostacji  
masz w tym notesie.

- Jasne, rozumiem.

- Może się jeszcze spotkamy. W każdym razie będziemy te-  
raz jakby w jednym szeregu. Sam wiesz, że te zmagania z Syn-  
dykatem skończą się nieprędko. No, na nas już czas. Ruszamy.

- Powodzenia, chłopaki.

- Ty też się tu nie dawaj.

Aspirant zeskoczył na pomost. Jacht drgnął. Zaczął praco-  
wać silnik. Rodriguez zdjął cumy z pachółków. Śruba burzyła  
wodę i po chwili jacht zaczął pogrążyć się w ciemnościach.

Rodriguez odczekał chwilę, a potem poszedł do wozu. Wywo-  
łał przez radio dyżurnego i dowiedział się, iż w mieście panuje  
spokój. Odwołał więc patrol z przystani i pojechał do domu.  
Alarm na dziś zakończony. Reszta nie zależy już od niego...

Aspirant oczywiście nie wiedział, że gdy tylko jacht znalazł  
się na pełnym morzu, podpłynął do niego niszczyciel. Wymie-  
niono odpowiednie sygnały, okręt zwolnił. Nad ranem, w bladej  
poświacie wstającego dnia, niszczyciel zastopował maszy-  
ny. Jacht zbliżył się i wtedy z okrętu spuszczone łódź. Zabrała  
ona z „Zewu oceanów” kilka worków podobnych do pocztow-  
ych. Jacht zasalutował banderą, z niszczyciela odpowiedziano  
również salutem i maszyny poszły w ruch. Lefranc patrzył  
przez chwilę na odpływający okręt, a potem zszedł na dół i  
zasiadł do radiostacji.

„Do szefa operacji «Złote runo»

Akcja udana. Dzięki pomocy «Kondora» weszliśmy do obiektu i mamy dokumenty. Przed chwilą zakończyliśmy spotkanie trzeciego stopnia. Bierzymy kurs na bazę.

Leon”.

Jose Predrera wybuchł nie od razu. Najpierw pojechał w towarzystwie Bernarda do Muzeum Ziemi i sam wszystko obejrzał, poczynając od klapy wejściowej na strych, poprzez zniszczone drzwi, aż do szaf. Nie mówił przy tym ani słowa, co przejmowało ludzi jeszcze większym strachem. Usuwali się, nie chcieli wpaść mu w oko. On zaś szedł z zaciśniętymi ustami, sprawdzając każdy drobiazg. Obok kroczył Bernard z kamienną twarzą. Było już wiadomo, że strażników przewieziono do piwnicy w „Karaibskim Towarzystwie Handlowym”. Wyglądało to jednak na poważną sprawę.

Gdy Jose skończył oględziny, usiadł w pokoju strażników przy stole, na którym jeszcze leżały porzucone karty. Wziął jedną z nich.

- Taka to i służba... - powiedział z niechęcią w głosie.
- Przegapili, szefie...
- Bernard...
- Tak jest, szefie.
- Bez hałasu. Załatwimy to jeszcze dziś w nocy.

Predrera podniósł wzrok na szafkę z urządzeniami alarmowymi.

- Kto się zajmował zabezpieczeniem obiektu? - spytał.
- Pasco, szefie. To jego działka.
- Skurwysyn. Wymknął mi się.
- Nie zabezpieczyli strychu.
- Tak. Ale skąd tamci wiedzieli? Bernard...

- Słucham, szefie.
- Poszperaj. Może Goias coś wie, może ktoś inny? Podejrzewam, że mamy wtyczkę. Musimy go dostać.
- Zrobione, szefie.
- Zawołaj teraz Santovenię.
- Tak jest.

Ernesto wszedł do pokoju okropnie zdenerwowany. Stąd można już było nie wyjść. Muszą przecież polecieć głowy, to za duża sprawa. Predrera wlepił w niego ciężki wzrok.

- Ty robiłeś dziś dochodzenie?
- Tak jest, proszę pana.
- Ustalenia?
- Strażnicy byli absolutnie zaskoczeni. Nic nie słyszeli.
- Jak mogli słyszeć, jeśli rznęli w karty? Masz coś jeszcze?
- Nic więcej, szefie.

Predrera wstał i poszedł do samochodu. Nie wydawał już żadnych poleceń, ale ludzie sami wiedzieli, że obiekt trzeba dokładnie zamknąć. Już ruszając, Jose zwrócił się do Bernarda:

- Bądź za dwie godziny u mnie.
- Będę, szefie.

Gdy wszedł do gabinetu szefa, zastał tam też mecenasa Ayacucho. Jose milcząco wskazał mu krzesło, a sam stał przy oknie, patrząc gdzieś w dal. Długo czekali, nim się do nich odwrócił. Był zmieniony na twarzy, poszarzały.

- Bernard, mówileś o jakimś policyjnym wozie.
- Tak jest, szefie. Chcieli zatrzymać chłopaków.
- Kto z obcych był w tym obiekcie? Tylko policja, tak?
- Tak, szefie.
- Jaki z tego wniosek?
- Czyżby to oni?



Predrera podszedł do barku, nalał sobie solidną porcję szkockiej i wypił jednym tchem, zapominając o nich. Potem powiedział twardo:

- Ruiz musi umrzeć.

- Tak, szefie...

- Nie będzie z nas kpił byle policyjny skurwysyn. Wycofać dziewczynę i uderzyć.

- Szefie, ale papiery...

- Trzeba go zabić dziś w nocy i dokładnie przeszukać mieszkanie.

- Może to mieć gdzieś schowane.

- Cicho, durnie! To spytajcie się szanownego pana komisarza, pytajcie dotąd, aż powie! Nie znacie sposobów?! Mam was uczyć?!

- Wszystko jasne, szefie. Zrobi się.

- On musi wiedzieć, że umiera. A wy... Nie przyjmuję żadnych tłumaczeń. Jeśli coś wam nie wyjdzie, rozwalcie sobie zawczasu łby. Zrozumiano? Dziś w nocy.

- Tak jest.

Odprawił ich ruchem ręki. Nie spojrział nawet na nich. Teraz zaczniesz odliczać godziny. Ile ich jeszcze zostało do rana? Niewiele... A rano przyjdzie z Medelin specjalny wysłannik kierownictwa Syndykatu. I jeśli nie zamelduje przybyszowi o jakimś sukcesie, łagodzącym nieco pasmo klęsk, to... Jose wiedział, co powie ten wysłannik: „To ty jeszcze żyjesz? Nie wolisz sam sobie strzelić w łeb, tylko czekasz na nas? Tak, Jose, nie potrafiłeś... Nie podołałeś! Syndykat otrzymał dotkliwy cios. Za klęski zaś trzeba płacić”. Sam nieraz powtarzał to ludziom, ale wtedy nie przychodziło mu do głowy, że i on może się znaleźć w podobnej sytuacji.

Wszystko wymknęło mu się z rąk... Sprawa Carreno ciągnęła się za długo, teraz ta historia z tajemniczym atakiem na Muzeum Ziemi. Nawet Vera... Nie dał sobie z babą rady. Wymknęła się, diablica, i przepadła bez wieści. Ale jakie to ma znaczenie? Byle do rana... I Jose znów sięgnął po butelkę.

„Do « Albatrosa » .

Jestem na posterunku. Nowiny: komisarz Ruiz i Jose Predrera nie żyją. Tworzą się nowe układy, lecz trzymam rękę na pulsie. Pozdrowienia.

« Kondor »,,